AUTORKA ***BLIZN PRZESZŁOŚCI***

KRYSTYNA MIREK

KAŻDY MOŻE ZGINĄĆ

Rodzina jest najważniejsza,
ale to bliscy krzywdzą najmocniej

FILIA

KRYSTYNA MIREK

KAŻDY MOŻE ZGINĄĆ

FILIA

ROZDZIAŁ 1

Tego dnia Hubert Górski od rana czuł dziwny niepokój, a momentami nawet prawdziwy strach. Trochę to było głupie i starał się nie zwracać uwagi na te bezsensowne wahania nastroju. Normalne popołudnie, wszystko w porządku, a on miał wrażenie, że zaraz zacznie krzyczeć. Najgorsze, że nie męczyła go taka zwykła obawa, przeczucie, że za chwilę może się wydarzyć coś niedobrego, ale okropny gryzący strach o własne życie.

Co za bzdura!

Wprawdzie strach o bezpieczeństwo to u policjanta nie jest coś zupełnie nieuzasadnionego, ale przecież nie tutaj, w Walewicach. Tu nigdy nic się nie działo. Odkąd w miasteczku wybudowano tuż po wojnie komisariat, żaden policjant nie zginął na służbie. Ba, nawet nie był ranny. Jedyny wypadek, jaki mieli, spowodował emerytowany już aspirant Wojciech, piętnaście lat temu. A i to wyłącznie dlatego, że uparł się po kilku wyjątkowo głębokich kieliszkach siadać za kierownicę. To się jednak nie liczy. Nie ujęli zdarzenia w żadnych statystykach. Wojtek bawił się na tych urodzinach prywatnie, po służbie.

Hubert starał się rozchodzić te głupie uczucia, maszerując wielkimi krokami po ogrodzie. Nagle odwrócił się, bo dostrzegł

skradającą się wzdłuż ściany postać. I od razu wszelkie niepokoje zniknęły, zdmuchnięte większym zdenerwowaniem.

– Nie pójdziesz w tym! – krzyknął.

Serce mu załomotało, a ciśnienie mocno się podniosło.

Szesnastoletnia Wika wymykała się właśnie przez taras w czarnej wydekoltowanej sukience mini i próbowała zwiać przez ogród, żeby tak ubrana dostać się na dzisiejszy festyn w parku miejskim.

– Wracaj do domu! – krzyknął Hubert, a potem zobaczył spojrzenie tak wrogie, że jego obawy o życie w sumie mogły okazać się słuszne. To oczywiście żart, ale wyjątkowo gorzki.

Gdzie jest moja córeczka? – pomyślał. – Kto mi ją ukradł? Odebrał?

I dlaczego nie ma ani śladu po tej słodkiej dziewczynce, z której tak się kiedyś cieszył, czuł dumę. Teraz patrzyła na niego kompletnie obca osoba, o której nic nie wiedział.

Ogród był duży, a ścieżka prowadząca dookoła domu – wąska. Nie sposób się wyminąć. Oczywiście Wika mogła zwiać przez trawnik. Wiedziała jednak, że ojciec policjant dopadnie ją bez trudu. Hubert dostał jeszcze jednym mocnym spojrzeniem. Zabolało. Przypomniało mu się, jak kiedyś ćwiczył na poligonie. Oberwał wtedy drewnianą belką od kolegi. Niechcący, ale w samo serce. Takie tępe uderzenie, które na moment pozbawia człowieka tchu. Nie do uwierzenia, ale teraz poczuł to samo.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i bez słowa tą samą drogą wróciła do domu. Chwilę później pobiegła na poddasze. Była drobna, ale łomot jej kroków niósł się po całym budynku. Hubert usłyszał trzaśnięcie drzwi. Zapewne tak głośne, jak wielki był jej gniew.

Oparł się o ścianę. Nie wszedł do środka.

– Kto tak trzasnął drzwiami?! Nie mam już do tego wszystkiego siły! Czy ty widzisz, co się dzieje?! Gdzie jesteś?!

Te słowa sprawiły, że Hubert stracił jakąkolwiek chęć do kontaktu z rodziną. Przymknął oczy. Wiedział, co się zaraz stanie. Żona go odnajdzie i zacznie męczyć swoimi niekończącymi się pretensjami. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spokojnie rozmawiali. Tylko kłótnie. Co więcej im zostało? Nic.

A, jeszcze syn! – przypomniał sobie.

Ten nie sprawiał kłopotów, bo praktycznie nie odrywał się od komputera. Przynajmniej był cicho. Ale to niczego nie zmieniało. Nie da się przecież tak żyć. Kto go w przyszłości utrzyma? Gdzie znajdzie pracę? Szkoła wcale go nie obchodziła i w ogóle nie miał takich myśli, by o siebie zadbać.

Hubert wrócił pamięcią do czasów, kiedy sam był młody. Miał marzenia, chciał czegoś, pragnął osiągnąć więcej niż jego rodzice. Mieć inne życie, zbudować dom, założyć rodzinę, taką prawdziwą, zarabiać pieniądze.

Strach znowu się pojawił. Nagle, jakby znikąd.

Hubert po raz kolejny rozejrzał się czujnie wokół. Ogród wprawdzie w ciągu lat rozrósł się gęsto, ale wiedział, że nikogo tu nie ma. Na wszelki wypadek przeszedł się jednak wzdłuż ogrodzenia. Miał ochotę popukać się po głowie, że tak daje się zwodzić. Nic mu przecież nie zagrażało. Dzisiejszy festyn w parku miejskim to żadna poważna impreza, terroryści nie interesują się takimi dziurami. Zwykła prowincjonalna zabawa, na której burmistrz chce się przed wyborami popisać, że niby mu zależy, pochwalić się osiągnięciami.

Wszyscy są bezpieczni. Co najwyżej ktoś wypije za dużo. Odetchnął głęboko.

Później zobaczył Wikę w niebieskiej sukience, którą sam jej kupił. Pięknie w niej wyglądała. Zeszła po schodach, spojrzała na

niego i bez słowa ruszyła w stronę drzwi. Tym razem głównych.

Jaka ładna dziewczynka – pomyślał.

W tej samej chwili znowu poczuł ten okropny strach. Atak okazał się jeszcze mocniejszy od poprzedniego. Czy coś mogło zagrażać jego córce?! – Ta myśl przeszyła mu mózg.

Próbował się uspokoić, zracjonalizować bezsensowne uczucia, które uparły się dzisiaj, by nim szarpać. Nie wychodziło. Był pewien, że nic się nie stanie, ale na wszelki wypadek postanowił pojechać na ten festyn wcześniej, niż planował. Nie tylko, by potowarzyszyć żonie, która suszyła mu o to głowę od tygodni, lecz także dyskretnie się rozejrzeć. Choć po raz pierwszy, odkąd istniała ta impreza, miał dzisiaj wolne.

I choć był całkowicie przekonany, że wszyscy są bezpieczni.

ROZDZIAŁ 2

Zrobiło się bardzo cicho. Niedaleko, w miejskim parku, zaczął się już festyn, bawiło się prawie całe miasto. Ale choć chwilę temu muzyka dobiegała także tutaj, teraz ucichło wszystko. Jakby nagle mury stały się grubsze.

Krew też płynęła bez najmniejszego szmeru, łagodną strużką. Wsiąkała w jasny dywan, tworząc na nim nieregularną plamę o mocnym, nasyconym kolorze. Trwało to dłuższą chwilę. Czerwona kokarda wyjątkowo dobrze pasowała i mężczyzna pogratulował sobie w duchu świetnego pomysłu. Dzięki temu od razu będzie wiadomo, o co chodzi.

Rozejrzał się jeszcze wokół i wyprostował.

Zadanie zostało wykonane perfekcyjnie. Odniósł wrażenie, że wokół panuje wyjątkowo uroczysta atmosfera. Majestat śmierci. Doświadczył go wcześniej, ale nigdy w ten sposób. Pierwszy raz zabił człowieka. Na dodatek z tak zimną precyzją.

Spojrzał w tamtym kierunku. Piotr Maszkowski leżał plecami do góry. Już nie mógł nic zrobić. Wypowiedzieć żadnego słowa więcej.

Ponoć ludzie nie umierają od razu. Ciało traci swoje funkcje, ale niektórzy twierdzą, że dusza jest przy człowieku jeszcze przez pewien czas. Słyszał nawet takie teorie, że może wrócić. On

jednak nie dał temu człowiekowi najmniejszej szansy. Głęboka rana biegnąca w precyzyjnie wybranym miejscu tuż pod łopatką przebiła serce na wylot. Nawet gdyby pomocy udzielono natychmiast, szanse były właściwie zerowe, a tutaj nikt nie przyjdzie przez co najmniej dwie godziny.

Spojrzał w kierunku ściany pewnym siebie wzrokiem.

– Jeśli tu jesteś – powiedział na głos, wyraźnie wypowiadając każdą sylabę. – To teraz już doskonale wiesz, dlaczego to się stało!

Rzucił jeszcze mściwe spojrzenie we wszystkie strony świata, po czym ruszył do drzwi. Wyszedł, zamknął je wytrychem, dokładnie w taki sam sposób, jak wcześniej otworzył, przemknął przez osłonięty tujami ogród, a potem ostrożnie wszedł pomiędzy rozłożyste choinki. Stanął tam, niewidoczny z każdej strony. Zdjął rękawiczki, kominiarkę, ciemną cienką kurtkę i ortalionowe spodnie w tym samym kolorze. Pod spodem miał jasną koszulę z krótkim rękawem i jeansy. Przeczesał dłonią włosy, wyprostował się, wrzucił ciuchy do plecaka i rozejrzał się wokół czujnie. Nikogo nie było.

Stał przez dłuższą chwilę, żeby się upewnić, czy nie pojawił się jakiś przypadkowy świadek. Ponoć wszystkiego nie da się przewidzieć. Ale jemu wyraźnie ta sztuka się udała. Wokół panował spokój, żadnych intruzów, nawet psa. Pokręcił głową dla rozluźnienia mięśni, poruszył ramionami, wreszcie wyszedł na asfaltową drogę i ruszył w kierunku rynku. Miał sporo czasu. Zabawa dopiero się rozkręcała.

ROZDZIAŁ 3

– Nie rób wstydu swojej żonie! – Ledwo aspirant Mateusz wypowiedział te słowa, pomyślał, że chyba wybrał najgorszy możliwy argument.

Facet ciągle upokarzał tę dziewczynę i Mateusz po raz pierwszy pomyślał, że chyba robi to specjalnie. Czerpie z tego jakąś chorą satysfakcję.

– Nie będziesz mi mówił, jak mam się zachowywać! – Grzesiek Malik zatoczył się mocno w lewą stronę. – Poza tym jakie masz ze mną szanse?! – rozdarł się jeszcze głośniej. – Pani prokurator wyciągnie mnie z każdego kłopotu.

Mateusz z trudem powstrzymał się od wypowiedzenia tego, co naprawdę myśli. Był na służbie, to zobowiązywało.

Temu kolesiowi brakowało klasy, opanowania, szacunku dla samego siebie, świeżego oddechu i stałego zatrudnienia, ale na pewno nie pewności siebie.

– Podskoczysz mi?! – Grzesiek rzucił się w stronę policjanta. Ten jednak bez trudu zrobił unik.

Malik zataczał się coraz mocniej i na dodatek zaczynał bełkotać.

Festyn uroczyście otwarto dopiero godzinę temu. Olga Maszkowska grała właśnie na pianinie. Przepięknie. To obcowanie z prawdziwą sztuką wyższego rzędu mieszkańcy

Walewic dostawali regularnie za darmo tylko dlatego, że Olga wyszła tutaj za mąż, zamieszkała i uczyła muzyki w liceum, zamiast robić zgodną ze swoim talentem karierę w jakimś wielkim mieście. Niektórzy rzeczywiście to doceniali, ale Grzesiek ani myślał zwracać uwagi na takie rzeczy.

Zdążył się doprawić, zanim inni w ogóle skierowali się w stronę darmowego piwa rozdawanego przez burmistrza. Wiadomo, wybory.

– Nie obchodzi mnie, jakie masz znajomości. – Mateusz szarpnął go mocniej.

Nie mógł na to patrzeć. Co ta Ania w nim widziała? Może dawniej Grzesiek faktycznie był przystojnym, nieźle zapowiadającym się facetem, ale przecież już wtedy pił, a teraz nie miał nawet pracy. Siedział całymi dniami w domu i od nie wiedzieć jak dalekich czasów przygotowywał się do zmiany zawodu.

Nie pora była jednak się nad tym zastanawiać. Należało Malika usunąć tak szybko, jak się da. Zanim ktokolwiek go nagra i wrzuci filmik do sieci. Kręciło się tutaj sporo przyjezdnych. A telefon w kieszeni ma teraz każdy. Mateusz chciał oszczędzić Ani skandalu. W jej zawodzie było to szczególnie ważne.

Spojrzał na kolegę, z którym patrolowali festyn, a ten bez słów wiedział, co trzeba zrobić. Potraktowali Grześka dość brutalnie. Bez zbędnego patyczkowania się. W obecności Ani oczywiście by się na to nie odważyli, ale ona siedziała teraz tuż pod sceną w pierwszym rzędzie jako honorowy gość koncertu. Nie mogła ich zobaczyć. Mateusz mocno wykręcił Grześkowi rękę, pochylił, przyciskając za kark, przeprowadził do bocznej ulicy, po czym wpakował do radiowozu. Był na niego wściekły.

Pojechali w stronę komisariatu.

Nie mieli tutaj izby wytrzeźwień z prawdziwego zdarzenia, ale na dole w budynku znajdowała się niewielka cela, rzadko używana. Raz czy dwa posiedział tu chwilę sprawca wypadku samochodowego przejeżdżający akurat przypadkiem. Miejscowi nie popadali zbyt często w konflikt z prawem, mieli inne zajęcia. Życie ich nie rozpieszczało. Żeby zarobić na dach nad głową czy chleb dla dzieci, trzeba tu było zasuwać. Niektórzy wyjeżdżali za granicę, inni budowali domy, spłacali kredyty, wychowywali dzieci. Czasem ktoś zdradził żonę, ale nawet to rzadko.

Grzesiek siedział tu najczęściej. Zawsze wtedy, kiedy potrzebowali go ukryć, żeby się nie kompromitował. Trzeba przyznać, że trochę nadużywali tej formy zabezpieczenia.

– W końcu będziemy mieć przez to kłopoty. – Młodszy aspirant Jacek odwrócił się w stronę Mateusza. – Wiesz, że nie wolno nam go ciągle tu trzymać. Wszystko teraz monitorowane, burmistrz oszczędza na kamerach, ale na komisariacie są, a ten buc gotów napisać skargę. Jeszcze by ją pani Ania musiała rozpatrzyć.

– Spokojnie. – Mateusz włożył w te słowa wiele nieszczerej pewności siebie. – Trzeba chronić koleżankę, i tyle. O resztę się na razie nie martw.

– Ja mam kredyt hipoteczny, nie potrzebuję stracić pracy przez głupiego pijaka. – Jacek nie dał się przekonać. – Następnym razem sam go pakuj do auta. Nic przecież nie zrobił, zaczął się szarpać dopiero, jak do niego podszedłeś.

– Spokojnie – powtórzył Mateusz. Starał się trzymać fason. – Potrzymamy go tylko chwilę. Jak się ściemni, wypuścimy. Niech się nie plącze po jakichś rowach. Wysadzę go pod domem, może pójdzie spać.

– No dobra. – Jacek kiwnął głową. Też lubił panią Anię Malik.

Zamknęli drzwi komisariatu, w którym został tylko jeden dyżurujący oficer. Pewnie też by się chętnie zwinął, ale jakieś

procedury musiały zostać zachowane. Będzie się tu okropnie nudził. Koncert wprawdzie usłyszy, ale niczego nie zobaczy, bo komisariat wybudowano spory kawałek od parku.

Zapowiadał się bardzo spokojny festyn. Burmistrz dbał, żeby przed wyborami panował porządek, i choć faktycznie rozdawali to piwo, to jednak większość mieszkańców korzystała z niego w sensownych ilościach, a Grzesiek siedział zamknięty. Pozostało tylko przypilnować, żeby nastolatki nie nadużywały tego, co dla nich niedozwolone, a żadni przyjezdni goście nie przekraczali granic.

– Zdjąłbym ten mundur – powiedział Jacek. – Znowu mi żona będzie suszyć głowę, że wszystkie kobiety mają z kim tańczyć wieczorem, tylko ja wiecznie na służbie.

– No niestety. – Mateusz westchnął ciężko, dręczony tą samą myślą. – Za mało nas jest, żeby na imprezach się zmieniać. Chociaż podobno szef pojechał do domu.

– Tak – przyznał Jacek z zazdrością. – Nie chciało się komisarzowi Łódzkiemu łazić wśród bawiących się ludzi i trzymać powagi. A Hubert też spędza miły czas z żonką, bo jego dzieci już na festynie – dodał.

– No to pewnie się tam u nich dzieje – roześmiał się Mateusz.

Sam był ojcem dwójki rozbrykanych przedszkolaków i bardzo sobie cenił te chwile, kiedy dzieci jechały na przykład do dziadków, a oni z żoną mieli wolny wieczór. Aż mu się ciepło zrobiło na samo wspomnienie tego ostatniego. I skręcała go zazdrość, że Hubert może korzystać z przyjemności życia, a oni muszą tu marnować czas. Miał nadzieję, że przynajmniej kolega dobrze się bawi.

ROZDZIAŁ 4

Było wczesne popołudnie. Hubert Górski leżał na łóżku w sypialni tuż pod dachowym oknem i patrzył na plecy swojej żony, jej doskonale znane ciało, którego od dwudziestu lat dotykał, które głaskał, wykorzystywał do zaspokajania swoich potrzeb i przytulał. No, to ostatnie właściwie chyba najrzadziej – dotarło do niego nagle.

Z jakiegoś powodu był na nią zły. Jakby miał żal, że powinna się lepiej postarać i nie pozwolić, by te wszystkie lata upłynęły tak szybko.

Twarz jej się zmieniała, piersi bez oporu poddawały prawu grawitacji i wściekało go, że może to właśnie przez nią także i on ma po raz pierwszy w życiu wystający nad paskiem brzuch, siwe włosy i te najbardziej wkurzające go zakola zamiast bujnej niegdyś grzywki. Przecież kiedy poznał Martę, wcale taki nie był, wszyscy pamiętają. Uprawiał sport, uważano go za podporę i dumę miejscowej drużyny piłkarskiej.

Miał ochotę gorzko się zaśmiać. Co za bzdura! Małe miasteczko na końcu świata. Kogo obchodzi, czy wygrali jakiś mecz? A tymczasem oni byli gotowi nogi sobie połamać, byle tylko strzelić bramkę. Nadal tak się emocjonowali na każdym meczu, nawet na tym festynie, który bez amatorskich rozgrywek

piłkarskich nie mógł się oczywiście obejść. Jego kolega skręcił kiedyś kolano, bo mu się wydawało, że czterdziestka to nowa dwudziestka. Dwa lata chodził na rehabilitację.

Hubert znowu spojrzał ze złością na plecy żony. Tyle mieli planów! I co się właściwie z tym wszystkim stało? Pracowali, wychowywali dzieci, trudzili się każdego dnia, by podołać wszystkim obowiązkom. Wozili dzieciaki do szkoły i na zajęcia, taszczyli do domu niekończące się zakupy, gotowali, zmywali równie niekończące się naczynia, pilnowali terminów. Ale nie czuł, że dostają za to wystarczającą rekompensatę. Dominowało zmęczenie.

– Dzieci podrosną – mawiała mu matka – to odpoczniesz.

I gdzie ten odpoczynek?! – miał ochotę zawołać. – Podrosły i nic!

Wieczna gonitwa za obowiązkami, pyskowanie, brak kontaktu. Do tego nudna praca, której jedyną perspektywę stanowiło czekanie na emeryturę szefa, bo na posterunku było to jedyne stanowisko, na które Hubert mógł wskoczyć. Wyjątkowo patowa sytuacja, ponieważ z komisarzem Łódzkim byli prawie w tym samym wieku. Rok różnicy. Śmiech na sali. Po tak długich latach pracy może się nacieszy przez rok awansem, o ile nie przyślą kogoś z zewnątrz. Różnie przecież bywało.

Życie. Miał wrażenie, że oszukało go na każdym polu.

Ten festyn też zapowiadał się wyjątkowo nudno. Wiecznie te same atrakcje. Nie chciało mu się tam iść. Pozbył się swoich głupich obaw, a wspomnienie córki w niebieskiej sukience sprawiło, że znowu poczuł, że sprawy idą swoim bezpiecznym torem. Co nie oznaczało, że całkiem dobrym.

Plecy żony nawet nie drgnęły, choć hipnotyzował je swoją złością, gniewem i rozżaleniem.

To od tygodni ich pierwsze spokojne popołudnie w domu. Bez dzieciaków, ich kolegów, koleżanek, chłopaków, dziewczyn, byłych

miłości, przyszłych miłości, aktualnych wrogów, przyjaciółek, zdrajców. Te stanowiska kolejne osoby zajmowały i traciły tak szybko, że czasem już nie był w stanie ogarnąć, czy Ola to wciąż przyjaciółka, a może już wróg? A Basia? Jeszcze miesiąc temu chodziła z Kamilem, potem stwierdzili, że się tylko przyjaźnią, a w ostatni weekend z kolei Hubert dostał od syna opierdziel, że w ogóle wpuścił ją bez pytania do domu. Ponoć zrobiła mu coś okropnego. Zgłupieć można.

Teraz jednak tutaj panowała upragniona cisza. I co zrobiła jego żona?! Poszła się położyć, żeby odpocząć. Akurat teraz!

Istnieje takie powiedzenie, że można zabić śmiechem. Hubert czuł, że gdyby jego gorzki śmiech rozległ się teraz w pomieszczeniu, to miałby właśnie taką moc.

Zamiast tego rozdzwonił się telefon. Żona nawet nie drgnęła. Hubert podniósł się lekko na łokciu i odebrał, ziewając przy tym. Służbowy numer. Nie spodziewał się niczego interesującego.

– Przyjedź natychmiast do komisariatu! – usłyszał głos szefa, stanowczy jak mało kiedy.

– Co znowu? – zapytał Hubert zniecierpliwiony. – Grzesiek się upił? Przecież sobie z tym pora….

– Natychmiast! – przerwał mu szef. – Mamy morderstwo!

– Co macie? – Hubert nie przejął się ani trochę. – Chyba zwariowałeś. Co się stało? Ktoś się zakrztusił piwem, udławił kiełbasą czy może nasi miejscowi artyści zawyli go na amen? – Nie zawsze był taki cyniczny, ale dzisiaj włączył mu się wyjątkowo słaby nastrój.

– Przestań, mówię poważnie! – Szef krzyknął tak głośno, że Hubert wreszcie zaczął słuchać. – Zamordowano Piotra Maszkowskiego. Żona znalazła go w domu.

– Przecież jego żona jest na festynie. Gra.

Hubert znał na pamięć plan całego święta, bo Marta pracowała intensywnie przy przygotowaniach. Może dlatego była dziś taka zmęczona? – przemknęło mu przez głowę. Ale nie zdążył się nad tym zastanowić.

– Tak – odpowiedział szef mocno już zniecierpliwionym tonem. – Pojechała do domu na chwilę. Zapomniała ponoć jakichś nut, nie wiem. To nieważne! – wrzasnął znowu. – Człowieku, ogarnij się. To polecenie służbowe. Masz być natychmiast w komisariacie! Wszyscy w stanie najwyższej gotowości. Mamy zamordowanego człowieka!

– Spokojnie. – Hubert wstał i spuścił nogi na podłogę, po czym leniwie poszukał kapci. Okropnie mu się nie chciało ruszać z miejsca. – Pewnie jakiś zawał – powiedział tonem człowieka doświadczonego. – Wszyscy teraz chodzą tacy nerwowi. Narobicie hałasu, a potem przyjedzie ekipa i stwierdzi naturalną przyczynę śmierci.

Faktycznie tak już się dwa razy zdarzyło w przypadkach znalezienia kogoś martwego w domu. W ogóle coś takiego miało miejsce w tej okolicy zaledwie dwa razy w ciągu ostatnich lat. Po to kończył szkołę oficerską? Po to się męczył z przekraczającymi prędkość kierowcami? Temu oddał swoje życie i najlepsze lata?

Mieszkańców tego miasteczka nawet nie było przed czym chronić.

– Mówię do ciebie, że mamy morderstwo! Głuchy jesteś?! – Szef miał dość. – Sztylet wbity w plecy. W taki sposób, że żaden człowiek sam sobie tego nie zrobi. Patrol jest już na miejscu, służby też. Jesteś ostatni, do którego dzwonię. Natychmiast masz być w komisariacie!

Szef się rozłączył.

Hubert podrapał się po głowie. Parę razy w swojej karierze dał już się tak wciągnąć, myśląc, że wreszcie ma do czynienia

z poważną sprawą i jego kompetencje będą mogły zostać zauważone. Ale zawsze kończyło się to rozczarowaniem. Wielki przekręt finansowy okazywał się zwykłą pomyłką przy wypełnianiu przelewu, morderstwo – wypadkiem, samobójstwo – zawałem. A uprowadzenie dziecka wyjaśniono w banalny sposób. Po prostu chłopiec wysiadł nie na tym, co trzeba przystanku, i trochę pobłądził po okolicy. Nie zdążono nawet wszcząć porządnego alarmu i się odnalazł. Trudno się zgubić w okolicy, gdzie wszyscy cię znają i każdy wie, czyim jesteś dzieciakiem. Nie dość, że chłopca doprowadzono na miejsce, to jeszcze nakarmiono rosołem. Co za banał! Nawet do szpitala go nie zawozili. Nie było sensu męczyć lekarza.

Ale takie ostre polecenia służbowe dostawał niezwykle rzadko.

Zszedł więc na dół, przebrał się, napisał żonie kartkę z wiadomością, że dostał pilne wezwanie, przykleił ją na lodówce w tym samym co zawsze miejscu i przypomniało mu się nagle, jak ponad dwadzieścia lat temu wieszali sobie tutaj zupełnie inne komunikaty. Nie istniał już ten mężczyzna, który mówił do żony „Słoneczko moje najukochańsze”.

Aż wydął usta. Boże, co za banał! Teraz by mu to przez gardło nie przeszło. Ale też i nie miał do kogo mówić takich dyrdymałów, bo na trwałe zniknęła tamta wesoła dziewczyna, która wtedy nie chciała wyjść z jego myśli nawet na chwilę. Dziś zapominał o niej, ledwo tylko zatrzasnął za sobą drzwi.

Morderstwo! Wzruszył ramionami. Trzeba by głupiego, żeby się dał na to nabrać.

Piotr Maszkowski. Kojarzył oczywiście tego gościa, mąż Olgi Maszkowskiej, którą wszyscy tutaj znali. Szary, nudny człowiek bez tajemnic. Takich się nie morduje. Był mniej więcej w jego wieku, chodzili razem do szkoły. Piotr, szczupły chłopak, bez zamiłowania do sportu, uczył się średnio i nie cieszył zbyt dużym

powodzeniem wśród dziewczyn. Potem jednak znalazł całkiem miłą, na dodatek wybitnie utalentowaną brunetkę, która urodziła mu trójkę dzieci, wzięli kredyt we frankach i prowadzili spokojne życie pełne zwykłych codziennych wyzwań. W każdym razie Hubert nigdy nie słyszał żadnej plotki, która byłaby z nimi związana.

– Takich się nie morduje – powtórzył, ruszając w stronę komisariatu.

Prędzej był gotów uwierzyć, że ten sierota potknął się nieszczęśliwie, przewrócił na coś ostrego i w ten spektakularny sposób zakończył swoje szare życie.

Zdenerwował się, wsiadając do auta, aż mocniej trzasnął drzwiczkami. Czy on sam miał powody, żeby tak się wywyższać? Myśleć o kimś pogardliwie? Czyż jego życie nie było równie bezbarwne? On, niegdyś najbardziej wysportowany chłopak w szkole, wysoki, świetnie zbudowany, dowcipny. Dziewczyny bez przerwy czekały na niego przed szatnią. I co? Jechał teraz zupełnie zwykłym samochodem do swojej niezbyt prestiżowej pracy. Liczył każdą stówkę z wypłaty, żeby na wszystko wystarczyło. I nic nie świadczyło o tym, by cokolwiek miało się w najbliższym czasie zmienić. A w domu spała obojętna mu żona, która dawno przestała być laską.

Zaparkował pod komisariatem tak gwałtownie, że omal nie uszkodził elewacji.

No to by się przynajmniej wreszcie coś tutaj wydarzyło! – pomyślał ze złością.

Nudna lokalna gazeta miałaby o czym pisać. Współczuł im. Skąd mieli brać ciekawe historie? Nikt tu nie miał żadnych tajemnic, jak w tych fajnych filmach o pozornie zwyczajnych ludziach, którzy skrywają mroczne sekrety.

Brat Huberta, Adam, pracował w urzędzie skarbowym i nieraz opowiadał, że w Walewicach od dwudziestu lat nie było ani jednego porządnego oszustwa skarbowego. Adam prowadził identyczne nudne życie. Rano pił kawę z żoną, potem jechał do biura, wypełniał w kółko te same obowiązki i złościł się na rozbrykane dzieci.

Zamknął auto i bez przekonania ruszył w stronę komisariatu.

– Wsiadaj! – Trącił go nagle szef biegnący w stronę radiowozu. Trzymał pod pachą jakieś dokumenty. – Szybko! Właśnie stamtąd wróciłem. Jedziemy znowu. Przysłali nam ekipę z Krakowa, bo ponoć nasi technicy nie za dobrze sobie radzą. Ja się z tym nie zgadzam, chłopaki są bez zarzutu.

Hubert przewrócił oczami, ale oczywiście wsiadł do służbowego auta. I tak przecież nie miał nic lepszego do roboty. Sto razy lepszy nawet zwykły wypadek niż ten cholerny festyn.

– Co za tajemnicza sprawa! – emocjonował się komisarz Łódzki.

– Jesteś pewien, że to nie było jakieś zdarzenie losowe? – zapytał Hubert wyłącznie dla podtrzymania rozmowy, bo nie miał co do tego wątpliwości.

– Żadnych szans – zaoponował stanowczo Łódzki. – Doktor Orłowski powiedział, że morderca wybrał miejsce wbicia narzędzia zbrodni z ogromną precyzją. Nie ma wątpliwości, że to zawodowiec. Nikt przypadkiem tak celnie nie uderza. No i żadnych śladów.

Hubert spojrzał w okno. Przeciągnął się. Narzekał na to leżenie w łóżku z żoną odwróconą do niego plecami, ale lepsze to jednak niż jazda obok faceta, który omal nie podskakuje na siedzeniu, bo mu się pierwszy raz w życiu trafiła poważna sprawa. A za chwilę się dowie, że wyjaśnienie jest prostsze, niż ktokolwiek się spodziewał.

Nawet doktora Wiktora Orłowskiego, którego często nazywali Kurą, ponieważ sam już w szkole podstawowej mianował się Orłem, zaczął tytułować po nazwisku i zawodzie. A przecież znali się od lat i pili razem piwo na każdej większej imprezie w mieście.

– A Oskar? – zapytał Hubert. – Jego też wezwaliście?

Był to drugi miejscowy lekarz. W trudnych przypadkach ludzie ufali diagnozie, tylko jeśli została potwierdzona przez obu.

– Owszem. Wszystko potwierdził.

To mogło być nieco bardziej niepokojące, ale i tak nie przekonało Huberta.

Kwadrans później znaleźli się na miejscu. W Walewicach właściwie wszędzie było blisko. Wysiedli.

Hubert spojrzał na dom ofiary, choć z trudem przychodziło mu określanie Piotra w ten sposób. Maszkowski mieszkał tak sielankowo i zwyczajnie jednocześnie. Niewielki budynek z ogródkiem, taras z drugiej strony, dookoła tuje, jakieś kwitnące krzewy, trochę kwiatków, wszystko starannie wypielęgnowane. Wiedział, kto się nad tym wszystkim trudził.

Olga, żona Piotra, to była taka typowa dobra dziewczyna. Pracowita, oddana rodzinie, niezwracająca na siebie uwagi. Gdyby nie jej wyjątkowy talent muzyczny, pewnie mało kto by zauważył, że w ogóle tu mieszka.

Zwykle kiedy zdarza się morderstwo, a ofiara zostaje znaleziona we własnym domu, pierwsze podejrzenia padają na najbliższych. W tym przypadku, rzecz jasna, nie mieli do czynienia z morderstwem. A nawet gdyby, i tak nie miałoby to sensu. Hubert znał Olgę bardzo dobrze. Uczyła jego dzieci. Nie byłaby zdolna do żadnych gwałtownych czynów. Jeśli ktoś przepracuje dziesięć lat w polskiej szkole i nigdy nie wyjdzie z siebie, to znaczy, że mistrz zen może mu buty czyścić. Bez szmatki. Gołymi rękami.

Szedł w stronę tego niewielkiego domu spokojnie, ale im bardziej się zbliżali, tym trudniej było mu zachować to opanowanie. Coś tu jednak nie pasowało.

Na podwórku zebrało się już sporo ludzi. Wieść rozniosła się szybko. Wyglądało na to, że tylko on tak opornie się zbierał. Inni przybyli błyskawicznie.

– We własnych łóżkach nas pomordują, a policja nic nie robi! – Kaśka Brożek zawsze miała najwięcej do powiedzenia, zwłaszcza w sprawach, na których niespecjalnie się znała.

– Prowadzimy profesjonalne śledztwo – obraził się natychmiast Łódzki, ledwo spoglądając w jej stronę. Był bardzo czuły na punkcie swoich kompetencji. – Proszę się odsunąć i nie przeszkadzać.

– W czym przeszkadzać?! Czy wy coś robicie?! – rozległy się krzyki. – Złapiecie go? Czy to ktoś miejscowy? Zgłupiałeś?! Na pewno przyjezdny! Kto to widział! Kiedyś tego nie było! Dokąd ten świat zmierza?

Te wszystkie pytania, zarówno konkretne, jak i metafizyczne, pozostały bez odpowiedzi. Komisarz Łódzki szybko pokonał ciasno stłoczony tłum, a Hubert przemknął równie pospiesznie za jego szerokimi plecami.

Weszli do niewielkiego przedpokoju. Tu też kręciło się sporo osób.

Hubert rozejrzał się zaskoczony. Sprowadzono chyba każdego, kto w promieniu wielu kilometrów w jakikolwiek sposób był związany z pracą policyjną: techników, dwóch lekarzy, panią prokurator, sporo funkcjonariuszy. Chodzili po domu, zabezpieczali ślady. Ale też tworzyli małe grupy i szeptali między sobą. Atmosfera niepokoju nie pozwalała skupić myśli.

W kuchni przy stole siedziała Olga Maszkowska. Bardzo blada. Hubert zauważył do połowy opróżnioną szklankę z wodą

o dziwnym kolorze, pewnie z jakimś lekarstwem uspokajającym. Obok leżały nuty.

Dziś już nie zagra – pomyślał. – Posypie się cały plan pikniku.

Olga akompaniowała przy większości występów. Przy fortepianie siedziała zawsze z prostymi plecami, uśmiechnięta, szczęśliwa i często patrzyła gdzieś daleko, jakby mogła widzieć rzeczy dla innych niedostępne.

Teraz kuliła się i kołysała, obejmując mocno ramionami. Zapewne w szoku. Zwłoki jej męża wciąż znajdowały się w pokoju obok. Nawet nie udawał, że potrafi sobie wyobrazić, co ona czuje.

Ruszył w tamtą stronę. Być na miejscu zbrodni to zawsze trudna sprawa, ale robi się szczególna, gdy chodzi o kogoś znajomego. Poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach, a dłonie stają się wilgotne. Jednak mieli do czynienia ze zbrodnią. Prawdziwą. Zrozumiał to natychmiast, gdy zobaczył ofiarę i wciąż wystający z pleców sztylet. Właśnie go wyciągano z zachowaniem wszelkich procedur i ostrożności.

Jakiś dziwny ten nóż – pomyślał szybko.

Nigdy takiego nie widział. Z misternie rzeźbioną rękojeścią. Nie zdążył się dokładnie przyjrzeć. Jedno było jasne. Nikt sobie w taki sposób sam niczego w plecy nie wbije. Ktoś to Piotrkowi zrobił.

Strużka potu znów przeleciała mu po plecach. Okropnie nieprzyjemne doświadczenie, zwłaszcza kiedy połączone jest z trudnym do opanowania strachem, który wciąż narasta. Paskudnym wrażeniem, że morderca na niego patrzy, jakby czekał, że Hubert zrozumie.

Ale, do cholery, co? Co ma zrozumieć?!

Męczyło go dziwne przekonanie, że to morderstwo w jakiś sposób osobiście go dotyczy, i natychmiast poczuł niechęć do służbisty z centrali, który z wyrazem wyższości na twarzy łaził

właśnie po pokoju i wmawiał wszystkim, że ta sprawa jest bardzo prosta.

Hubert był przekonany, że nie jest. Też tak wcześniej sądził, ale szybko potrafił się przyznać do pomyłki.

– Pewnie to jakaś przypadkowa bójka. – Antoni Makarski, ważniak z województwa, żeby tu szybko przybyć, musiał przerwać bieg, maraton, co bardzo mu się nie spodobało. Trenował miesiącami przed tym startem. Wciąż miał na sobie sportowy podkoszulek. – Czasy ciężkie – dodał tonem znawcy. – Nawet zwykłym ludziom zdarza się stracić nad sobą panowanie. A wy macie ten cały festyn. Może denat się upił, a potem z kimś pokłócił…

Doktor Wiktor Orłowski tylko na niego spojrzał. Z charakterystyczną dla siebie wyższością. On z kolei wyglądał jak z żurnala. Walewickie uosobienie sukcesu. Przystojny, świetnie zarabiający pięćdziesięciolatek z perspektywami na dalszą karierę. Zawsze dobrze ubrany, ponoć szył sobie garnitury na miarę, czego tutaj nikt wcześniej nie robił. A teraz promieniał dodatkową dumą. Jego syn skończył z wyróżnieniem studia medyczne i w przyszłym tygodniu się żenił. Hubert odnosił wrażenie, że z każdym krokiem doktora Wiktora w pomieszczeniu sypie się złoty pył, jak w bajkach. Tak bardzo ten mężczyzna był dumny, zadowolony, pewny siebie.

– Miejsce zostało wybrane z chirurgiczną precyzją – powiedział stanowczo. – Przypadkowy człowiek tego raczej nie zrobił. Trzeba znać się na anatomii, żeby tak dobrze wycelować. To fachowiec.

– A skąd! – Specjalista z województwa się skrzywił. – Czego by tutaj szukał? – Rozejrzał się po zupełnie zwyczajnym wnętrzu domu. Meble z sieciówki, typowe jak wszędzie. Zwykły dywan, jasne ściany. Główną ozdobę pomieszczenia stanowiły wypielęgnowane kwiaty w doniczkach i stare pianino, jedyny

ciekawy element wystroju. Ale nawet ono pewnie nie było wiele warte. – Niczego nie ukradziono, nie ma też żadnych śladów poszukiwań – dodał z wyższością znawcy. – Po co jakiś fachowiec miałby tutaj przychodzić? Obstawiam, że gość miał kochankę albo długi. To się często zdarza.

Hubert z Wiktorem oraz drugim lekarzem spojrzeli na leżącego mężczyznę. Nie byli w stanie sobie tego wyobrazić. Ani jednej, ani drugiej opcji. Górski sam nie wiedział, która wydaje mu się mniej prawdopodobna.

No, ale przecież zdrada często jest zaskoczeniem, a hazardziści nie mają wypisane na czole, że lubią ryzyko. Mogli się przecież mylić.

– Gdzie on miałby w te długi popaść? – zapytał Łódzki z powątpiewaniem. – U nas nawet nie ma żadnego kasyna…

– I co z tego? – oburzył się Makarski. Westchnął ciężko. Ci prowincjonalni policjanci doprowadzali go do szału. – Internet przecież jest! – zawołał. – Pewnie denat wpakował się w jakieś podejrzane transakcje i ktoś przyszedł odebrać dług. Pojedźcie do niego do pracy – pouczył ich. – To się z pewnością dowiecie, że ostatnimi czasy zachowywał się inaczej niż zwykle. Zrobił się nerwowy, spóźniał się, zawalał terminy. Albo pogadajcie z żoną, jak tylko dojdzie do siebie, czy nie było jakichś wyjazdów, częstszych konferencji, szkoleń.

– Nie było. – Olga stanęła w progu salonu, starając się wyraźnie patrzeć w inny punkt niż na podłogę. – Nie miał kochanki, rzeczywiście bardzo dużo siedział w pracy, żadna kobieta by tego nie wytrzymała. Ale to nic nowego, zawsze tak miał.

– Może wcale nie siedział, tylko kłamał? – zapytał prowokująco Makarski.

Wyraźnie lubił własne teorie i podważanie ich uznawał za osobistą obrazę.

– Tu się nie da kłamać – odpowiedziała Olga głosem tak spokojnym, że kontrast pomiędzy jej opanowaniem a nerwowymi ruchami speca z centrali od razu rzucił się w oczy. – Pracuje biurko w biurko z synem sąsiada – dodała. – A kierownikiem działu jest szwagier mojej przyjaciółki. Wiedziałabym natychmiast, gdyby cokolwiek się zmieniło. Czy to w pracy, czy w domu nic takiego nie nastąpiło. Wstawał jak zawsze, wracał o tej samej porze, a wieczorami otwierał laptop i siedział dalej. Mamy kredyt do spłacenia, więc brał dodatkowe projekty.

No tak, cena za dom – pomyślał Hubert. – Coraz wyższa. Życie, związki, dzieci, wszystko odkłada się na bok.

Rozejrzał się wokół. Maszkowscy spłacali już siedemnaście lat. Pamiętał, bo mniej więcej w tym samym czasie on też kupił swój dom. Czy było warto?

Nie zdążył sobie odpowiedzieć.

– Po co jest ta kokarda? – Anna Malik, pani prokurator, chodziła dookoła leżącego ciała, starając się nie zacierać śladów. Jej wysokie szpilki przyciągały wzrok. – To dziwne – powiedziała. – Nigdy się z czymś takim nie spotkałam.

– A przy dużej liczbie morderstw pani pracowała? – zapytał kpiąco Makarski.

Nie miał wcześniej z nią do czynienia i od razu z tego powodu sklasyfikował jako słabego fachowca. Ale być może nie było w tym nic dziwnego, sprawiał wrażenie człowieka, który wszystkich klasyfikuje niżej niż siebie. Dlatego w ciasnych pomieszczeniach tego domu omijali się z doktorem Orłowskim, jak tylko mogli. Dwie wielkie osobowości nie mieściły się na tak małej liczbie metrów kwadratowych.

– Ja – pochwalił się Makarski – mam taki instynkt, że wyczuwam przestępcę od razu. Czasem nawet zanim zaczną się przesłuchania, już wiem.

Hubert poczuł, że ten dupek z centrali w jednym faktycznie ma rację. Łatwo w dzisiejszych czasach stracić nad sobą panowanie i przyłożyć komuś mocniej, niż się zaplanowało.

– Z tego, co się domyślam, to wasze pierwsze morderstwo – wyjaśniał Makarski, wyraźnie delektując się swoją przewagą. Spojrzał na komisarza Łódzkiego. – Nie macie doświadczenia – powiedział. – Myślicie, że wszędzie czai się jakaś ciekawa zagadka. Tymczasem rozwiązanie na pewno jest banalne.

Hubert zagryzł wargi, słysząc echo swoich własnych przemyśleń sprzed kwadransa. Życie szybko uczy pokory.

– Przejrzyjcie jego komputer – mądrzył się Antoni. – A odpowiedź się znajdzie. Najpóźniej w poniedziałek zamknę śledztwo – dodał. – Ta kokarda to po prostu głupi żart. Amatorzy często tak robią. Myślą, że są tacy oryginalni, a po prostu każdy z nich próbuje się popisać. Widziałem w swoim życiu wiele morderstw.

Ania słuchała tego w milczeniu, wykonując swoje obowiązki. Zachowała spokój i klasę. Nie licytowała się z tym głupkiem, choć przecież także w niejednej sprawie uczestniczyła, a fakt zameldowania w małym mieście nie chronił jej przed wyjazdami do wielu trudnych przypadków. Wyraźnie jednak była zdania, że z niektórymi ludźmi nie ma sensu dyskutować.

Hubert także zmilczał, ale nie dobrowolnie. Zmusił się ostatkiem sił ze strachu, że jak tylko zacznie, puszczą mu wszelkie hamulce. Miał wrażenie, jakby właśnie pogryzł cisnącą mu się odpowiedź, a potem ją przełknął. I że to jest w jego życiu już chyba milionowy raz, kiedy to robi, a jego wnętrze wypełniają po brzegi niewypowiedziane nigdy przeżute i przełknięte gorzkie słowa. Takie, które powinny być skierowane do przełożonych, żony, dzieci. A także że dochodzi do jakiejś niebezpiecznej granicy, za którą znajduje się miejsce, w którym nic już więcej się nie

zmieści. Co się wtedy stanie? Nie miał pojęcia. Czuł, jakby nic w jego życiu nie zależało od niego.

Specjalista z centrali zwinął się wreszcie i pojechał. Była niedziela, pewnie mu się spieszyło do ciekawszych zajęć, może jeszcze wróci na ten maraton, choćby tylko jako widz. To i tak niesamowite, że pojawił się tak szybko.

Pół godziny później zabezpieczono i zabrano ciało, a ekipa techniczna wykonywała sprawnie swoje obowiązki.

Może nie mieli zbyt wielkiego doświadczenia w tego typu zbrodniach, ale przecież nie byli kompletnymi amatorami. Czy centrala uważała, że policja powinna być dumna, jeśli w rejonie dzieje się wiele złego? A gdy jest spokojnie i bezpiecznie, to stanowi dowód jej nieudolności. Co za okropny paradoks.

A może my po prostu jesteśmy super? – pomyślał Hubert. – Tak dobrze pilnujemy, że wszystko świetnie działa, i tyle.

Strach na chwilę ustąpił. Podobnie jak inne przeczucia. Brak ciała szybko sprawił, że zbrodnia nieco się oddaliła. I tak wydawała się czymś kompletnie nierealnym.

– To ja też jadę. – Oskar Lenartowicz, drugi z wezwanych lekarzy, podszedł bliżej, podał Hubertowi rękę.

Miał podkrążone oczy. Pracował sporo, ale choć zasuwał od rana do wieczora, nie robił kariery, jak jego wytworny kolega, obecnie już zastępca ordynatora jednego z krakowskich szpitali. Przyjechali tu obaj. Wiktor robił notatki, wszystkim dowodził, ale Hubert interesował się raczej zdaniem Oskara. A ten zbierał właśnie swoje rzeczy.

– Jak dzieciaki? – zapytał Górski trochę odruchowo i szybko zrozumiał, że powinien był jednak lepiej to przemyśleć. Może się przymknąć.

Twarz Oskara ściągnęła się wyraźnym uczuciem przykrości.

– Nie wiem – odparł powoli. – Chyba wszystko w porządku, bo Aśka nie dzwoni. Jadę do nich dopiero w przyszłym tygodniu na weekend – dodał gorzkim tonem.

Hubert nawet nie potrafił sobie tego wyobrazić, jak to jest mieć kontakt z własną córką czy synem co dwa tygodnie. Oskar chyba też nie bardzo umiał sobie to wyobrazić, bo cierpienie wyraźnie malowało się na jego twarzy, w podkrążonych oczach, bladej cerze, wiecznym przemęczeniu.

Fakt, jako zbyt miły lekarz nie miał tutaj lekko. Urodził się i wychował w tej małej miejscowości. Wszyscy go znali, czuli się więc swobodnie. Dzwonili do niego w nocy, w weekendy, wieczorami, kiedy tylko coś się wydarzyło. Niedawno stracił ojca, a rok wcześniej wyprowadziła się od niego żona, zabierając mu ukochane dzieci. Ciężki los, na jaki, zdaniem Huberta, nikt nie zasługiwał. Tym bardziej że właściwie ludzie nie rozumieli, o co chodzi. Lenartowiczowie sprawiali wrażenie udanej rodziny, dobrego związku.

Cóż! Wyraźnie pozory czasem mylą – pomyślał Hubert. – Coś musiało przecież być na rzeczy, skoro Aśka spakowała się i wyprowadziła, na dodatek dość daleko.

– Możesz wracać do domu – wyrwał go z zamyślenia komisarz Łódzki. Zamykał działania.

Właściwie to Hubert na nic się nie przydał. Ale nie żałował, że tu przyjechał. Nie chciał być palantem jak Makarski i kreować się na najlepszego specjalistę od zbrodni. Czuł jednak, że jest w tym miejscu jakaś wskazówka, coś, co wszyscy widzą, ale czego jeszcze nie rozpoznali jako ważne.

Miał nadzieję, że we właściwym momencie skojarzy fakty. Nie miał tylko pojęcia, czy tego chce. Jakby prawda mogła mu w jakiś sposób zagrozić.

ROZDZIAŁ 5

Wrócił do domu. Wiedział, że powinien zadzwonić do żony, która pojechała już na piknik, ale najpierw pilnie potrzebował posiedzieć chwilę w ciszy. Zebrać myśli, trochę się odnaleźć w tej całkiem dla niego nowej sytuacji. Miał wrażenie, że jakiś ważny wniosek czai się na wyciągnięcie ręki. Tylko go złapać. Ale ledwo tylko wysiadł z auta, usłyszał głośne powitanie.

– Cześć, synku!

Mama nie odwiedzała ich często, wiedział więc, że ma poważny powód, by się pojawić w jego domu.

Westchnął, po czym gestem dłoni zaprosił ją do środka. Włożył klucz do zamka i zauważył, że trzęsą mu się dłonie. Przysunął się bliżej, żeby to ukryć. Stanowczo musiał się uspokoić.

– Wiesz, że ja się nie wtrącam… – zaczęła mama, ledwo tylko przekroczyła próg. – Ale miałam po drodze, to pomyślałam, że wstąpię... Nie tak prosto być rodzicem, sam zobaczysz już niedługo. Kompot wam przyniosłam. – Wyciągnęła z siatki duży słoik, po czym postawiła go na stole w kuchni.

Nie potrzebowała pretekstu do odwiedzin, a jednak zawsze coś wymyślała, kiedy chciała do niego przyjść. Czasem dziwne rzeczy. Ta wymówka z byciem po drodze wydała mu się szczególnie słaba, tu się nie dało przejeżdżać przypadkiem, na ich domu kończyła się

droga. Dalej były już łąki, a potem las. Kompotu też nikt w rodzinie nie pił.

– Mamo, mam dzieci od wielu lat. – Hubert wzruszył ramionami.

Nie miał teraz ochoty na pogawędki. Musiał pilnie podjąć decyzję, czy jechać na ten cholerny festyn. Żony w domu nie zastał, więc zgodnie z jego przypuszczeniem już tam była. Naszła go pokusa, by skorzystać z okazji, wskoczyć na kanapę, obejrzeć dobry kryminał o jakimś świetnie przeprowadzonym śledztwie i prawdziwej zbrodni. Zapomnieć na chwilę o wszystkim.

Wzdrygnął się, bo przypomniało mu się, że taką prawdziwą zbrodnię właśnie mają u siebie. I zapewne mama na ten właśnie temat będzie chciała porozmawiać. A jednak go zaskoczyła.

– Jesteś taki spokojny – powiedziała, bacznie go obserwując. – Pewnie jeszcze jej nie widziałeś…

– Jej? – zdumiał się.

Sądził, że chodzi o wstrząsający obraz zwłok Piotra Maszkowskiego. I dziwne, że mama nie dostrzegała, jak mocno jest tym przejęty. Ale ona miała chyba coś innego na myśli.

– A tak – wyjaśniła sobie sama. – Nie byłeś na festynie…

Hubert wysilił mózg, ale doprawdy nie umiał sobie wyobrazić niczego, co mogłoby kogoś zszokować bardziej niż zabójstwo niewinnego człowieka. Co takiego go ominęło?

– Wiesz... – zaczęła mama powoli, w charakterystyczny dla siebie sposób zawieszając głos. – Nasza Wika miała dziś na sobie taką dziwną sukienkę… Spory dekolt i ledwo jej tyłek zasłaniała…

– Co ty mówisz? – Hubert nie zdążył się nawet oburzyć, że to przecież niemożliwe, gdy mama rzuciła kolejną bombę.

– Ona spotyka się z tym Frankiem od Zalewskich, a wszyscy wiemy, że to prawdziwy diabeł, nie dziecko. Ostatnio właził na

słupy elektryczne. Cud, że w ogóle żyje.

Hubert wziął głęboki wdech. Czy życie zna w ogóle jakieś granice? Co go jeszcze spotka? Co to ma znaczyć?

Znał doskonale tego Franka. Nie mieli zbyt wielu licealistów regularnie odwiedzających komisariat. A ten zaczął już w szkole podstawowej. To był okropny chłopak, najgorszy, jakiego mógłby chcieć dla swojej córki. Nie wierzył, że to możliwe.

Miał ochotę zniknąć. Zamknąć oczy i po prostu się zdematerializować.

– Niemożliwe! – zawołał głośniej, niż miał zamiar. – Widziałem przecież, jak wychodziła z domu. Miała na sobie tę niebieską sukienkę, co jej kupiłem…

– No ja też widziałam. – Mama usiadła ciężko na krześle. – Widocznie się przebrała…

Hubert nie miał żadnych powodów, by podejrzewać własną rodzicielkę o kłamstwo. Ale to się po prostu nie mieściło w głowie. Jego syn Kamil, owszem, cieszył się sporą popularnością wśród dziewcząt, właściwie nie wiadomo dlaczego. Chłopak nie uprawiał sportu, uczył się średnio, ciągle wpadał w jakieś kłopoty. Ale miał po ojcu dobre ciało i jasne loki nad czołem. Piękny uśmiech swojej mamy. Widać niektórym to wystarcza.

Ale Wika to zupełnie inny typ dziewczyny. Cicha, nieśmiała, ze świetnymi ocenami i widokami na przyszłość. Sądził, że chociaż przy niej odpoczną jako rodzice. Nie spotykała się jeszcze z chłopakami, a już na pewno nie z kimś takim jak Franek.

– Wiesz, jakoś dzisiaj rano zaczęłam się bać…

Mama jednak wstała, a potem sama zaparzyła sobie herbatę, bo on z tego wszystkiego zapomniał nawet o tak podstawowych zasadach gościnności. Nie zareagował też na jej słowa. Odwrócił się. Nie dlatego, że nie obchodziły go jej problemy, tylko po prostu się zablokował. Nie wierzył w takie głupoty, że ludzie mogą mieć

przeczucia, a już najbardziej, że wspólnie. Poza tym nie chciał jej wystraszyć tym, że w gruncie rzeczy sam też bardzo się boi.

Coraz bardziej!

– Wiesz, ta śmierć Piotra to coś okropnego – zmieniła gwałtownie temat. – Ludzie mówią, że to na pewno ktoś obcy. Przecież u nas nikt nie byłby zdolny do takich rzeczy. – Teraz już nie przerywała ani nie zawieszała głosu. Słowa wyskakiwały z jej ust jedno za drugim. – Tak się tu dobrze mieszkało – przyspieszyła jeszcze bardziej. – Można było rowery zostawiać przed domem, furtki pootwierane. Przecież wiesz, że tu za bardzo nawet nikt nie kradnie, a jeżeli już, to i tak od razu wszyscy wiemy kto.

Hubert ciągle nie odpowiadał. Zaciskał zęby, a dłonie włożył do kieszeni, żeby nie było widać, że ma ochotę nerwowo je zaplatać. Znowu zaczął się bać.

– I wiesz, powiem ci. – Spojrzała na niego i znowu, jakby nie dostrzegła tego, co on czuje. Czy to jej własny strach sprawił, że straciła swoją uważność? A może tylko tak mu się wcześniej wydawało, że mama świetnie go rozumie? – Ludzie też się niepokoją – mówiła dalej. – Wszyscy mnie pytają, czy już znaleźliście rozwiązanie. Podobno ten gość z województwa opowiadał, że sprawa jest bardzo prosta. Proszę was. Znajdźcie tego człowieka i zamknijcie, najlepiej gdzieś daleko, żebyśmy znowu mogli spokojnie żyć.

Hubert poruszył ramionami. Gdzie się kończy wiara w misyjną rolę policji? Spotykał się z nią w przedszkolach, kiedy prowadzili zajęcia dla dzieciaków. Z zachwytem wpatrywały się w obrazki i słuchały opowieści o roli ubranych w mundur obrońców. A potem już w liceum zdarzało się przecież, że ktoś padł ofiarą przemocy i policja nie znalazła sprawcy albo wręcz wcale się nie przejęła. Następnie pojawiają się mandaty dawane w najbardziej

bezpiecznych miejscach, byle tylko wyrobić normę. Bezsensowne przepisy, degrengolada moralna na wysokich stanowiskach. To wszystko sprawia, że ludzie tracą optymizm i wiarę. Śmieją się z głupich dowcipów i szydzą. Ale jednak w trudnej sytuacji nagle zwracają się do policji i patrzą z nadzieją, że dostaną pomoc i wsparcie.

Hubert wiedział, że słowa mamy są wyrazem nastroju społecznego, który ta kobieta wyczuwała. I chyba właśnie zaczynała się rozczarowywać jego wycofaną postawą, brakiem konkretnej odpowiedzi.

– Mamo! – westchnął ciężko. – Sprawa jest świeża. Dopiero zaczynamy śledztwo, a wy już byście chcieli, żeby mordercę wyprowadzić w kajdankach. I to najlepiej na oczach wszystkich gapiów. To tak nie działa.

Rozczarował ją. Wyczuwał tę emocję bardzo wyraźnie. A przecież tylko powiedział prawdę.

– Wiesz… – Mama pokręciła głową. – Tak sądziłam, że policji nie będzie łatwo.

Hubert się wyprostował. Odczuł to jak policzek.

– My z dziewczynami z chóru – kontynuowała – na wszelki wypadek spisałyśmy wszystkich obcych, którzy byli na pikniku. To może ci pomóc.

– Rany boskie! – przestraszył się Hubert. – Jak żeście to zrobiły? I po co się wtrącacie? Dajcie pracować fachowcom. Policja ma swoje metody.

Zdenerwował się. Zdawał sobie sprawę, że w tym przypadku określenie „dziewczyny” było mocno symboliczne, średnia wieku w chórze, do którego zapisała się mama, wynosiła siedemdziesiąt parę. Mogły się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– Prosto – odparła mama z wyższością, dając mu przedsmak tego, co go zapewne czekało w najbliższych dniach. Wiele osób

będzie się uważało za bardziej kompetentne niż policja, zaczną się teorie i prywatne śledztwa.

Znów westchnął ciężko.

Oby ta sprawa jak najszybciej się zakończyła – pomyślał. – Niechby ten cały Makarski miał swoją rację.

Teraz nagle zamarzył, wbrew wcześniejszym oczekiwaniom, by sprawa okazała się jednak banalna, a życie mogło wrócić na swoje tory.

– Grażyna nawet porobiła zdjęcia – kontynuowała mama. – Oczywiście mógł się ktoś przemknąć w krzakach po ciemku, zaczęłyśmy szukać późno, jak już wyszło na jaw, co się w ogóle wydarzyło. Szok! Wcześniej nawet nie przyszło nam to do głowy. Ale Grażynka jest czujna. Powyżej czterdziestego roku życia żaden facet nie uszedł jej uwagi. Wiesz, że ona wierzy w miłość i ciągle nie straciła nadziei. Zawsze dobrze obserwuje każdego obcego.

– Dziękuję ci, ale policja sobie poradzi – powiedział odruchowo i zdał sobie sprawę, jak bardzo sam w to nie wierzy.

Nic się w tej historii nie zgadzało, a ten głupek z województwa nawet sobie nie wyobrażał, w co wdepnął. Technicy już sprawdzali komputer i kolega właśnie wysłał mu esemesa, że nic tam nie ma. Żadnych długów, hazardu, pornografii, listów z pogróżkami, podejrzanych interesów ani podwójnego życia. Jutro oficjalny raport pojawi się w komendzie, ale on wiedział już dziś, że to wszystko jest bardzo dziwne.

I ta kokarda! Kto robi takie rzeczy? To ma być jakieś przesłanie? Jeśli tak, to naprawdę kompletnie niezrozumiałe.

A najgorsze, że cały czas dręczyło go przeczucie, iż morderca ciągle tu jest, i co gorsza, że to może nie być ostatnia taka zbrodnia. Nie mógł tego opanować. Z każdą chwilą coraz gorsze myśli przychodziły mu do głowy.

Szybko poruszył ramionami, a potem przytulił mamę. Nieważne, czy się do końca rozumieli. Wiedział, że się o niego troszczy.

– Nie martw się – powiedział z bardzo dobrze udawanym spokojem. – Naprawdę zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Myślę, że to jakaś bezsensowna, przypadkowa śmierć. – Sam czuł, że gada jak Makarski, ale nie umiał znaleźć innych słów. – To się już nigdy więcej u nas nie zdarzy.

Nie miał się z tym dobrze, że kłamał. Ale sianie paniki nikomu nic pożytecznego przynieść nie mogło.

Chyba jej nie uspokoił. Poszła jednak tym samym tropem. Udawała, że też liczy na to, że wszystko się ułoży. Zaczęła się zbierać do wyjścia. Nie upiła nawet odrobiny herbaty, którą sobie przygotowała. Udawał, że tego nie widzi. Miał wobec niej wiele sympatii. Ale dziś chciał, żeby go zostawiła samego.

Pożegnali się i mama pojechała na rowerze do siebie. Odetchnął. Znowu poruszył ramionami. Nie pomogło. Wziął do ręki telefon, ale to był błąd.

Taki odruch, sprawdzać, co słychać. Czasem jednak powoduje bolesne zderzenie z rzeczywistością. Okazało się, że nie odczytał aż szesnastu wiadomości od żony. Pytała, gdzie jest. Potem – dlaczego tylko jego brakuje, skoro nawet komisarz Łódzki już dotarł na festyn. Wiedział, co go teraz czeka. Znowu się pokłócą. Wypuścił wstrzymywane powietrze. Widać tak musi być. Cokolwiek by zrobił, i tak skończy się jak zawsze.

Spojrzał na zegarek. Mógł jeszcze zdążyć. Ta osławiona zabawa taneczna, na punkcie której kobiety w okolicy od tygodni dostawały prawdziwego fioła, miała się zacząć dopiero za godzinę.

Ale chyba nikt nie oczekuje od policjanta, choćby i nie na służbie, że będzie tańczył tuż po tym, jak wezwano go na miejsce zbrodni. To nawet nie wypada.

Usiadł w fotelu z poczuciem ulgi. Takie rozumowanie było przecież logiczne. A potem nalał sobie do szklanki mocnego koniaku. Dostał od kolegów pół roku temu i wciąż nie trafiła się okazja, by otworzyć butelkę. Dzisiejszy wieczór okazał się do takich celów wprost idealny. Nie wiadomo, czym się denerwować w pierwszej kolejności. Wypił jednym haustem, aż przez moment nie mógł zaczerpnąć powietrza. A potem znowu wypełnił szklankę magicznym napojem dającym chwilę upragnionego zapomnienia. I kolejną…

ROZDZIAŁ 6

Następnego dnia życie już o wczesnych godzinach porannych wystawiło mu rachunek, przypominając, że człowiek po czterdziestce nie powinien pić do północy, a nawet nie do dwudziestej drugiej. Po prostu wcale nie powinien. Zwłaszcza jeżeli spodziewa się wcześnie udać się do pracy.

Ledwo wstał z łóżka. W głowie dzwoniły mu kościelne dzwony. Miał wrażenie, że jakiś idiota specjalnie huśta się na sznurze, żeby było głośniej i boleśniej. Z dołu, z kuchni, też dobiegały okropne dźwięki, które tylko pogarszały sprawę. Żona szykowała dzieci do szkoły. Oczywiście się kłócili.

Wika znowu nieodpowiednio się ubrała, a Kamil, z tego, co Hubert słyszał, wciąż chodził po domu w podkoszulku i bokserkach. Ani myślał szykować się w odpowiednim tempie. Marta musiała ich podrzucić do szkoły na czas nie tylko dlatego, żeby się nie spóźnili na lekcje, lecz także by sama mogła dotrzeć punktualnie do pracy.

To jakiś koszmar. Jakby te dzieciaki niczego nie ogarniały. Co się stanie z ich życiem, jeśli rodzice przestaną pracować, wozić, nakłaniać, by jedli, ubierali się i pili wodę zamiast coli?

Przez chwilę poczuł pokusę, żeby im pozwolić sprawdzić. Ale wiedział, że tego nie zrobi.

Siedział wciąż na łóżku, w głowie mu pulsowało. Na samą myśl, że ma zejść na dół i trafić w sam środek konfliktu, poczuł, że byłby naprawdę wdzięczny, gdyby coś go z tego wyratowało.

I wtedy jak na zawołanie zadzwonił telefon.

Wziął go do ręki bez niepokoju. Po pierwsze, nie zdążył go poczuć, a po drugie, kac niwelował wszelkie inne doznania. Dziś nie dręczyły go żadne obawy. Zapomniał nawet przez moment o wczorajszym morderstwie.

– Przyjedź szybko, mamy kolejną śmierć! – usłyszał głos w słuchawce.

Doprawdy świat mógłby się bardziej przyłożyć do tych próśb wysyłanych każdego dnia, a pozostających latami bez odpowiedzi, a nie spełniać natychmiast tych, które się człowiekowi w emocjach wyrwały. Na dodatek w taki sposób.

Hubert od razu zmienił zdanie. Już nie chciał, by coś go wyratowało. Śniadanie z nastolatkami wydało mu się teraz bardzo kuszącą opcją. Nawet jeśli towarzyszyłby mu koszmarny ból głowy. Ale nie było już powrotu do życia sprzed pięciu minut.

– Kto tym razem? – Zastanowił się, szukając szybkiego ratunku. Przed oczami przebiegł mu obraz jakiegoś wypadku samochodowego albo innego nieszczęśliwego zdarzenia. Próbował rozpaczliwie złapać się nadziei, że to nie jest to, co jako pierwsze przyszło mu do głowy.

– Bronisława Nowakowska – odpowiedział Łódzki.

– A wiem, znam. – Hubert poczuł wielką ulgę. Aż nogi się pod nim ugięły. Pani Bronisława miała dobrze ponad osiemdziesiąt lat. Należała do tego samego chóru co jego matka. Miała prawo odejść z naturalnych przyczyn. – Co się stało? – zapytał. – Zawał? Wylew?

– Morderstwo.

– Przestań! – zawołał. – Co ty opowiadasz? Jakie znowu morderstwo? To starsza pani. W tym wieku to się zdarza…

– Takie samo jak przedtem – przerwał mu stanowczo Łódzki. – Precyzyjny cios w plecy, sztylet z rzeźbioną rączką i kokarda na szyi.

– Nie wierzę. – Hubert zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – Coś zabrali? – zapytał, łapiąc się jeszcze tego tropu.

Liczył, że tak, choć szansa była słaba. Zwykła emerytka chodząca do kościoła od lat w tym samym płaszczu raczej nie stanowi łakomego kąska dla włamywaczy. Ale posiadała dom. Całkiem spory. Miał już swoje lata, jednak w dzisiejszych czasach ceny nieruchomości rosną w zastraszającym tempie. I łąkę – przypomniał sobie, jakby to miało go uratować. Miała łąkę na płaskim terenie, kwadratową, to przecież majątek.

– Może któreś dziecko? – rzucił szybko oskarżeniem, byle tylko uspokoić łomocące nagle serce.

– Nie – odparł ze znużeniem Łódzki, jakby był przygotowany na ten tok myślenia. Pewnie sam go również przeszedł. – To się wydarzyło dzisiaj o siódmej. Mają żelazne alibi. Wszyscy troje. Najstarszy syn był w szpitalu, od tygodnia leży tam jego dziecko. Na dzisiaj zaplanowano poważny zabieg. Cała rodzina siedziała na korytarzu. Wszyscy ich widzieli. Syn pani Bronisławy, synowa, dwójka starszych dzieci.

– Może… – zaczął Hubert.

– Nie ruszyli się nawet na krok. Szpitalny korytarz ma monitoring… – tłumaczył tym samym zrezygnowanym tonem komisarz Łódzki.

Chyba też by wolał inaczej. Żeby można było się czegokolwiek złapać, choć dla pozoru rozpocząć śledztwo. Przesłuchać jakiegoś podejrzanego, zyskać nieco na czasie.

– Jeśli chodzi o pozostałe dzieciaki – dodał z westchnieniem – też, jak wspomniałem, mają alibi. Córka pielęgniarka była wtedy na dyżurze, a drugi syn w Warszawie. Punktualnie rano stawił się w pracy. Nie miał szans przejechać od nas takiej odległości. Wiesz – powiedział po chwili – to jest trochę tak, jakby ten morderca specjalnie dbał, by rodzina zawsze miała zabezpieczenie, żeby się znajdowali wtedy w publicznym miejscu, widziani przez wiele osób. To jest nie do podważenia.

– Ale spokojnie. – Hubert postanowił, że nie da się zwariować. Przecież to niemożliwe, żeby się nie znalazło logiczne wyjaśnienie. – Może jakiś daleki kuzyn liczył na spadek? Trzeba przeczytać testament.

– Ja wiem, wiem – westchnął znowu Łódzki. – Zaraz tu przyjedzie ten ważniak z województwa i będzie mówił to samo, ale obaj słusznie się domyślamy, że nie było żadnego testamentu. Moja matka nie miała i twoja też nie ma. Po prostu dzieci wszystko odziedziczą. Są jedynymi ewentualnymi zainteresowanymi osobami. I to oni właśnie mają żelazne alibi. A poza tym pewnie znowu nie znajdziemy tropu.

– Musi coś być! – zawołał Hubert z mocą.

Zachrypł szybko, bo nagle poczuł, jak ze strachu zasycha mu w gardle, a po plecach płynie ta dobrze już znana okropna kleista strużka potu. Nigdy jeszcze tak się nie bał. Nie chciał dopuścić do siebie tej strasznej myśli, która po raz pierwszy jasno skrystalizowała mu się w głowie. Już wiedział, co go tak przeraża.

Może być następny!

Nie no! Co za głupota! Dlaczego akurat on? Tylko dlatego, że prowadzi zwyczajne życie? W tym mieście żyło wiele osób, których nikt nie miał powodu mordować. Każdy mógł być następny na liście. Czemu akurat on miałby zainteresować jakiegoś chorego psychopatę?!

Kompletnie nie rozumiał logiki tego mordercy. Pojęcia nie miał, co łączy informatyka w średnim wieku z pobożną emerytką. I dlaczego wydaje mu się, że jest do nich pod jakimś względem podobny?

– Mordercy w ten sposób nie postępują – bronił się, jakby udowodnienie, że te dwa zdarzenia nie są powiązane, było w ogóle możliwe. – Można zabić przez przypadek jedną osobę, choć nie wierzę, żeby komuś chciało się wiązać jej kokardę na szyi, ale dwie to już jest doprawdy dziwne.

– Tak, to też wiemy – zakończył gwałtownie Łódzki. – Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj na miejsce!

Hubert nagle rozejrzał się wokół, bo poczuł, że coś się w jego domu zmieniło. A tak! – skojarzył. – Nastała cisza. Rodzina wyszła.

Powinien był poczuć ulgę, wreszcie doczekał się tego wymarzonego ukojenia. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Dźwięczało mu i piszczało w uszach, powodując jeszcze gorszy ból głowy.

Zszedł ostrożnie na dół, choć w planach miał szybko zbiec, ale już po podaniu pierwszego stopnia musiał trochę spauzować. W skroniach mu dudniło. Wszedł do kuchni. Wszędzie panował bałagan. Marta nie zdążyła posprzątać po śniadaniu, które przygotowywała dla wszystkich, jednocześnie ogarniając dzieciaki i siebie, by mogła wyjść do biura. Pracowała w urzędzie miasta, codziennie przyjmowała wielu petentów. Musiała dobrze wyglądać. Wiedział, że nieraz rano nie zdąża się uczesać czy pomalować i to ją frustruje. Żeby te dzieci chociaż trochę bardziej słuchały… Były za cokolwiek wdzięczne.

Przygotował sobie kawę, a potem zajrzał do szafki z lekarstwami. Zażył na wszelki wypadek kilka. Musiał się szybko zreanimować. Na stole kuchennym jak zawsze przygotowany był

talerzyk z kanapkami dla niego. Szybko je zjadł, a potem również wyszedł. Pusty kubek po kawie i talerzyk zostały tam, gdzie je położył. Spieszył się przecież.

Miał naprawdę ważny powód.

Dopiero w samochodzie zerknął w lusterko i zobaczył, w jak nędznym jest stanie. Nie ogolił się, a u niego to zawsze skutkowało konsekwencjami. Nawet jednodniowy zarost mocno rzucał się w oczy, brzydki i nieestetyczny. Siwiał i było to wkurzające. Czuł się młody, ale wcale tak nie wyglądał. Oczy miał podkrążone i ogólnie wyglądał tak, że nic, tylko walić głową w kierownicę. Ale wtedy oczywiście włączyłby się klakson, a tego policjant w miejscu publicznym raczej robić nie powinien. Westchnął więc ciężko i ruszył w drogę.

Mniej więcej pamiętał, gdzie mieszkała pani Bronisława, a już bliżej tego miejsca nie było żadnych kłopotów, żeby znaleźć właściwy adres, bo stało tam mnóstwo samochodów, a także niestety jeszcze więcej gapiów. O wiele liczniejszy tłum niż wczoraj. Ludzie zgromadzeni na chodniku wyciągali głowy i stawali na palcach, choć i tak przecież nie mieli szans, żeby zobaczyć, co się dzieje w domu. Ostro dyskutowali. Hubert chyba przybył jako ostatni. Znowu.

Zaparkował krzywo na chodniku, ale nie chciało mu się tego poprawiać. Przerastały go dzisiaj najprostsze nawet rzeczy. Wysiadł i trzasnął drzwiczkami.

– Panie Hubercie, panie władzo! – zawołał jakiś starszy mężczyzna. Był uprzejmy, choć wyraźnie przestraszony. – Co tu się dzieje? Wszystkich nas pomordują?! Czy my jesteśmy bezpieczni?

Górski sam chciałby to wiedzieć.

– Co wy w ogóle robicie?! – Stojący obok niego czterdziestolatek nie silił się na grzeczność. Sprawiał wrażenie, jakby za chwilę

miał dostać zawału. – Czym właściwie zajmuje się policja na tym posterunku?! Dwa morderstwa w tak krótkim czasie, a sprawca hula gdzieś na wolności! Pewnie jest między nami. Może nas nawet obserwuje?!

Jeśli chciał wystraszyć pozostałych, to mu się udało. Choć było ciepło, ludzie zaczęli nagle otulać się szczelniej swetrami, obejmować ramionami, przytulać się do siebie, przestępować z nogi na nogę i rzucać ostrożne spojrzenia wokół. Jakby te śmielsze mogły skutkować tym, że spojrzą mordercy w oczy.

– Spokojnie – powiedział Hubert, starając się brzmieć tak profesjonalnie, jak to tylko możliwe. – Policja jest już na miejscu. Wszystkie czynności przeprowadzane są prawidłowo. Niedługo go złapiemy.

– No ja mam nadzieję! – zawołała Kaśka Brożek.

Miała dziś wyjątkowo mocny makijaż. Jej mina i głos mówiły wyraźnie, że raczej na nich nie liczy.

Jakieś kobiety zaczęły krzyczeć i Hubert szybko wbiegł po schodkach prowadzących do bramki. Teraz już nawet nie zważał na ból głowy. Ten nagle zniknął. Pozostały tylko ten okropny dławiący strach i przekonanie, że nie jest w stanie nikogo uspokoić, bo jego samego ogarnia coraz większe przerażenie. Tak, to oczywiste. Byli w niebezpieczeństwie, sprawa zaczęła robić się poważna. Mimo kaca jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

Bez wątpienia morderca musiał znajdować się blisko, planować z wyprzedzeniem. Musiał wiedzieć, że dziecko Ostrowskich ma dzisiaj operację do tego stopnia poważną, iż ojciec weźmie wolne w pracy i będą siedzieć na tym korytarzu, czekać na wyniki. Musiał wiedzieć, że drugi syn Bronisławy pracuje w Warszawie, w jakich godzinach, a córka jest pielęgniarką i ma poranny dyżur.

Sporo informacji.

Zadbał o alibi dla bliskich, podobnie jak w poprzednim przypadku, gdy postarał się, by moment zabójstwa Artura wypadł na czas, kiedy jego żona Olga koncertowała i wszyscy ją widzieli. Na widowni był obecny brat ofiary, teściowa, wszystkie bliskie osoby, które mogłyby się znajdować jako pierwsze na liście podejrzanych. Zawsze ich chronił.

Hubert nie miał w swojej pracy zawodowej wcześniej do czynienia z takim prawdziwym śledztwem dotyczącym morderstwa, ale czytał sporo kryminałów. I nigdy się z czymś takim nie spotkał. Mordercy raczej nie mają empatii i nie dbają o nikogo, nawet o samych siebie. Nie potrafią. A tu ktoś wyraźnie pilnował, by podejrzenie nie padło na niewinną osobę. Dziwne.

Pokonał czerwoną taśmę i szybko wszedł do środka. Pani prokurator, dla niego Anka Malik, choć też została zapewne zerwana z łóżka wcześnie rano, wyglądała perfekcyjnie. Nienagannie ułożone blond włosy, makijaż, biała bluzka i idealnie wyprasowane ciemnozielone spodnie mu zaimponowały. I te piękne błyszczące buty na wysokim obcasie. A przecież też musiała rano zawieźć dzieci do szkoły, bo po wczorajszej imprezie jej mąż z całą pewnością jako pomocnik się nie sprawdził. A może zdarzył się cud i jednak się sprawdził? – zastanowił się przez chwilę.

Nie ma szans – stwierdził szybko.

Nigdy nie był naiwny i nie cenił ludzi, którzy żyją złudzeniami. Grzesiek pewnie miał jeszcze większego kaca. A jednak Anka dała radę, choć z pewnością nie miała lekko, a Hubert nie. Poczuł się od tego znacznie gorzej. Życie momentami go przerastało, a to o tyle wkurzające, że jednocześnie miał poczucie, że przecież nie jest to żadne wyjątkowe życie, ot, po prostu przeciętna egzystencja policjanta w małym, nieliczącym się komisariacie.

Surowy wzrok Łódzkiego przywołał go do porządku. Musiał się skupić, bo wyraźnie jego słaby stan psychiczny zaczynał rzucać się w oczy. Rozejrzał się wokół.

Dom pani Bronisławy został wybudowany w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, a w swojej najstarszej części jeszcze przed wojną. Zamieszkała tam razem ze swoim mężem, a potem dobudowali piętro dla syna, zrobili łazienki, elewacje. Wszystko to stało się dość dawno temu i dziś nikt pewnie by tego miejsca nie uznał za ładne ani nowoczesne.

Zabić człowieka za dwa piętra starych ścian? Wydało się to bardzo mało prawdopodobne. Ale przecież nie takie rzeczy się zdarzają.

Wchodził do środka powoli. Najpierw staroświecki ganek. Uczucie było dość makabryczne. Pod oknem na niewielkim stoliku przykrytym ceratą, jakiej dzisiaj nikt już nie używa, stały jakieś słoiki z konfiturami, garnek, a w nim zapewne rosół z wczoraj przygotowany na dzisiejszą pomidorową. Zwyczajne normalne życie. Szare aż do granic.

Skąd w takim miejscu morderca? Kto wpadł na pomysł, żeby wybrać akurat taką osobę?

Nie mogła się tego spodziewać. Pewnie jeszcze wieczorem kładła się do łóżka w poczuciu, że jest całkowicie bezpieczna. Może martwiła się jakimiś drobiazgami. Że od dwóch tygodni nie spadł deszcz i kwiaty w ogrodzie więdną albo ceny prądu idą w górę, a dzieci nie gaszą światła. Takie normalne troski, a teraz wszystko nagle się skończyło…

Wszedł do niewielkiej kuchni, zobaczył kubek z herbatą i talerzyk z okruszkami. Nie znał dobrze pani Bronisławy, ale dzięki swojej babci rozumiał obyczaje takich starszych osób. Jeśli spodziewały się gościa, pucowały dom na wysoki połysk. Musiała zostać zaskoczona, skoro okruszki wciąż tu leżały. Dla niektórych

kobiet tamtego pokolenia to dowód zbrodni najwyższego kalibru, niegospodarności oraz niedostatecznego zamiłowania do sprzątania bez granic. A ona nawet ich nie starła.

Nie chciał o tym myśleć, nie chciał sobie tego wyobrażać. Komu mogła przeszkadzać miła starsza kobieta? Czy ktokolwiek w związku z tym mógł się poczuć tutaj bezpiecznie?

Kaśka Brożek miała sporo racji. Sprawy szły w niedobrym kierunku.

– No to będzie bardzo proste śledztwo – usłyszał nagle i się odwrócił. Makarski zaledwie skinął mu głową na powitanie. Tak był zaaferowany swoją rolą. Dziś włożył garnitur, przez co wyglądał jeszcze oficjalniej. – Ludzie nic o sobie nie wiedzą! – zawołał w progu. – Myślicie, że to zwykła starsza pani, ale ja znam takie przypadki. Mogła mieć miliony na ukrytych kontach, nieślubne dziecko, które teraz zażądało sprawiedliwości, albo być dealerką narkotyków. Zaraz będziecie wszyscy w szoku. Mogła też mieć długi.

Hubert spojrzał w głąb pokoju. Ania, podobnie jak wczoraj, milczała.

No tak – pomyślał. – Ona dużo lepiej znała panią Bronisławę. Chodziła z jej córką do klasy.

Spojrzał na nią tylko przez moment. Miała wszystko wypisane na twarzy. Już wiedział, że niczego nie znajdą. Żadnych nieślubnych dzieci, długów ani tajemnic. A jednak z jakiegoś powodu ten morderca, który absolutnie nie krył się z faktem, że znowu to on właśnie ją wybrał. I starannie przygotował swoją zbrodnię. Tu nie mogło być mowy o przypadku.

A byłoby to naprawdę wygodnym wytłumaczeniem. Tragiczny zbieg okoliczności. Dramatyczny wypadek. Co za wspaniałe słowa. Jak ładnie można nimi zamknąć sprawę. I choć nikt o szczątkowej choćby zdolności kojarzenia nie był w stanie przeoczyć powiązań

pomiędzy tymi wydarzeniami, Hubert miał przeczucie, że w taki właśnie sposób skończą się oba te śledztwa, jak wiele innych nierozwiązanych z powodu braku dowodów. Tak się to nazywa, kiedy policja jest bezradna i nie ma pojęcia, co zrobić. Czasem naprawdę wszystkie tropy się urywają. Tutaj nawet się nie zaczęły.

Wreszcie zrobił kilka kolejnych kroków i musiał tam spojrzeć. Ledwo to zniósł. Coś okropnego. Starsza kobieta w długiej ciepłej spódnicy i zwykłym swetrze leżała na brzuchu, jak w poprzednim przypadku. W plecy miała wbity cienki sztylet o bogato rzeźbionej rączce. Dokładnie w tym samym miejscu, precyzyjnie wyliczonym przez kogoś, kto musiał się na tym znać. Gwarantujący szybką śmierć, nawet gdyby nadeszła pomoc.

– Kto ją znalazł? – zapytał doktora Oskara Lenartowicza. Ponoć przybył tu dziś jako pierwszy i kończył właśnie wstępne oględziny.

– Sąsiadka – powiedział mężczyzna, z trudem podnosząc się z kolan. Miał niewiele ponad czterdzieści lat, a wstawał jak staruszek. Czasem zmartwienia przygniatają ciężej niż upływający czas. – Przychodzi do niej codziennie rano na kawę – dodał.

– Gdzie ona jest? – Hubert się rozejrzał.

– Zabrała ją karetka – odparł Oskar. – Dostała strasznych spazmów, tak mocnego ataku, że boję się o jej życie. Dałem jej na miejscu leki, ale nie wiem, czy pomogą. Też ma swoje lata.

– Trzeba ją koniecznie przesłuchać bez względu na wszystko – powiedział Makarski, podchodząc do nich. – Na pewno coś wie. Jeszcze dziś się tym zajmę. Ludzie mówią, że odwiedzały się codziennie.

Nie wie – pomyślał Hubert, ale się nie odzywał.

Makarski niczego nie znajdzie. To jasne. Ale wyjaśnienie przecież istniało. Ta zbrodnia nie została dokonana przypadkiem.

Zbyt dobrze ją zaplanowano.

Myśl! – nakazał sobie. – I patrz.

Tropy zawsze znajdują się na miejscu zbrodni. Mniej lub bardziej widoczne. A jemu wciąż towarzyszyło wczorajsze przekonanie, że ma na wyciągnięcie dłoni jakąś ważną nić prowadzącą prosto do celu, a nie umie jej zobaczyć.

Dlaczego?

Jest zbyt delikatna, nieoczywista? A może wręcz przeciwnie? Tak wyraźna, że się na nią nie zwraca uwagi?

Wytężając nie tylko wzrok, lecz także wszelkie siły umysłowe, czuł, jak narasta w nim przerażenie. Jakby niebezpieczeństwo znajdowało się blisko. Tuż obok. W pierwszej kolejności pomyślał o Makarskim, który właśnie wyszedł mądrzyć się do innego pomieszczenia. Był najbardziej pozbawionym skrupułów i empatii człowiekiem związanym ze śledztwem. Może potrzebował morderstwa do awansu? To oczywiście bezsensowny pomysł. Jak ten człowiek awansował, pozostawało zagadką, ale raczej nie byłby zdolny do tak dobrze zaplanowanej zbrodni.

A kto byłby?

Ania Malik? Od razu przyszła mu na myśl. Pani prokurator, z której dumni byli rodzice, dyrektor szkoły i sąsiedzi. Zwykła dziewczynka z domu położonego wśród starych brzóz dzięki swojej pracowitości skończyła prawo i została prokuratorem. Kiedyś to było naprawdę coś, a i dzisiaj robiło na niejednym wrażenie.

O tak. Jeśli ona się do czegoś brała, to wykonywała swoje zadanie doskonale. Uznawano ją za świetną specjalistkę od zbrodni. Wiedziałaby, jak wbić sztylet, zapewnić komuś alibi. Wszystkich tutaj znała. Cieszyła się autorytetem. Jedyną rysę na wizerunku stanowił jej mąż, ale nawet to wzbudzało raczej współczucie. W razie czego mogła liczyć, że podejrzenie na nią nie padnie.

Ale na litość boską! Nie miała żadnego powodu, by mordować niewinnych. Zwłaszcza bezbronną staruszkę. To byłby koniec jej pracy zawodowej, roli matki, dobrej opinii, wszystkiego, do czego przykładała wagę i czemu poświęciła życie.

Hubert się ocknął. Te rozmyślania prowadziły na manowce. Mama miała rację. To musi być ktoś obcy. Odwrócił się.

Oskar właśnie zamykał torbę lekarską, chował stetoskop, a jeden z techników suszył mu głowę o jakąś receptę dla żony. Lekarz cierpliwie odpowiadał, próbował chyba odmawiać, ale Hubert obstawiał, że się w końcu zgodzi. Dobrze znał Oskara Lenartowicza. Ludzie ciągle go napastowali, a on i tak im pomagał. A jeszcze powtarzał, że lubi swoją pracę. To był najbardziej empatyczny człowiek w mieście. Że też właśnie jego musiało spotkać takie ogromne prywatne nieszczęście.

Życie nie zna sprawiedliwości. Co do tej myśli Hubert był aktualnie najmocniej przekonany. Sam czuł się potraktowany bardzo nie w porządku. I kompletnie nie rozumiał dlaczego.

Zastępca ordynatora dzisiaj nie przyjechał. Doktor Orłowski ponoć nie mógł wyrwać się z pracy, ale aspirant Mateusz właśnie coś szeptał do Łódzkiego, że chyba pojechał rano osobiście sprawdzić salę weselną, którą już dekorowano na mające się niebawem odbyć wesele. Ten z kolei zawsze myślał w pierwszej kolejności o sobie. Żadnego większego przejęcia morderstwem, dramatem tej starszej osoby.

Może tak właśnie trzeba? Hubert aż się wzdrygnął na samą myśl. Świat pełen zapatrzonych w siebie egoistów z pewnością byłby strasznym miejscem.

Zrobił kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę. Oskar właśnie ustąpił i wypisywał receptę. Potem kolejną. Wreszcie się uśmiechnął, kiedy usłyszał szczere i serdeczne podziękowania. Jak zawsze, nic nowego.

Gdzie jest ta cholerna wskazówka?! – głowił się Hubert.

Niczego podejrzanego nie potrafił dostrzec. Żadnych śladów. Morderca nie tknął złotego pierścionka schowanego w filiżance ani niewielkich oszczędności, które znaleziono w kopercie za książkami. Nie przejrzał zawartości szuflad ani szaf. Nie szarpał się z ofiarą. Być może nawet z nią nie rozmawiał. Po prostu przyszedł i zabił.

To się nie mieściło w głowie.

– Szukajcie miejscowego. – Makarski powiedział to tak głośno, że Hubert aż drgnął. – Człowieka skrywającego jakieś tajemnice. Chorego psychicznie. On wszystkich dobrze zna, ale wy niewiele o nim wiecie. Być może blisko związany z pracą policji. Rodzina, przyjaciel, sprzątaczka, kierowca… Coś miał do ofiar, jakiś zarzut. Myślcie…

Nikt się nie odezwał. Makarski chyba liczył na jakieś propozycje. Ale żadne nazwisko nie padło. Nikomu nie skojarzyła się żadna osoba spełniająca te kryteria.

Technicy cicho i sprawnie wykonywali swoją pracę. Hubert uświadomił sobie, że niewiele o nich wie. Czy któryś z tych mężczyzn mógł skrywać jakąś mroczną tajemnicę? Ich twarze zdawały się tak przejrzyste… Ale pani Bronisława też nie wyglądała na potencjalną ofiarę mordu.

Czy tak teraz będzie toczyć się życie w Walewicach? – przeraził się. – Podejrzliwe przyglądanie się najbliższym, sąsiadom, przełożonym?

No właśnie.

Był jeszcze komisarz Łódzki. Siedział po drugiej stronie pokoju. Miał rozpiętą marynarkę od munduru. Czytał coś w telefonie, mocno skupiony. Pewnie dostał jakiś raport i próbował z niego wycisnąć coś, czego przesłany materiał w sposób oczywisty nie zawierał, czyli jakąkolwiek poszlakę, wskazówkę, trop.

Ta sprawa pochłaniała go bez reszty. I w tym momencie Hubert zrozumiał, że nigdy nie awansuje. Dotarło to do niego jak nagłe olśnienie. To się po prostu nie stanie. Łódzki nie odpuści. Nie przejdzie dobrowolnie na emeryturę. Trzymał się świetnie, regularnie ćwiczył i w przeciwieństwie do Huberta nie obżerał się hot dogami z marketów, tylko konsekwentnie trzymał wysokobiałkową dietę.

Ani trochę nie sprawiał wrażenia zmęczonego pracą czy życiem.

Hubert stanął na środku wypełnionego starymi meblami pokoju. To odkrycie go zmroziło. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Komisarz Łódzki był od niego o rok starszy, ale teraz, kiedy tak na niego patrzył, szef wydał mu się młodszy przynajmniej o dekadę. Miał w sobie tyle energii…

Zapewne wczoraj zamiast pić, tańczył ze swoją żoną na tym cholernym festynie!

Hubert sam nie wiedział, czemu akurat ta myśl przyszła mu do głowy jako najważniejszy wyznacznik życiowego sukcesu. Zaczerpnął powietrza. Stał jak głupi na środku pomieszczenia, wśród zajętych osób, i nie miał pojęcia, do czego się zabrać. Znowu nic nie zrobił. Właściwie nie wiadomo, po co w ogóle przyjechał. Czy inni też to widzą?

Kończyli. Ania odebrała jakiś telefon i szybko zaczęła się zbierać do wyjścia. Albo ją wezwali do kolejnej ważnej sprawy, albo jej mąż znowu się upił. To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne.

Hubert stanął w najdalszym kącie pokoju. Postanowił, że będzie ostatnią osobą, która stąd wyjdzie. Niech ci ludzie na zewnątrz rzucą się na kogoś innego. A zrobią to z pewnością. Skoro zaatakowano panią Bronisławę, zginąć mógł każdy. I nikt już na pewno nie uwierzy, że przypadkowy morderca dwa razy przejeżdżał przez tę miejscowość, precyzyjnie zaplanował dwa

morderstwa, a potem po prostu sobie pojechał, zostawiając sprawy same sobie.

On wciąż tu był!

Hubert czuł go całym sobą, chociaż nie należał do osób, które cechują się wybitną intuicją. Na przykład nigdy nie mógł dociec, o co właściwie chodzi jego żonie. Dlaczego ma pretensje, w czym jest problem. Czemu przemieniła się w kogoś zupełnie innego niż ta dziewczyna, którą poślubił.

Pomyślał, że w takich sytuacjach powinno się dostawać z automatu rozwód. To przecież trochę tak jak w sytuacji, kiedy otrzymasz paczkomatem inny towar, niż zamówiłeś. Zapłaciłeś, przyszła jakaś pomylona przesyłka i każdy rozumie, że masz prawo być oburzony. A jeśli oświadczyłeś się radosnej, miłej dziewczynie, która patrzyła na ciebie z zachwytem, nie mogła się doczekać wieczoru, żeby się wspólnie położyć do łóżka, a teraz tylko łypie złym wzrokiem, odpowiada półsłówkami i wiecznie jest niezadowolona, nikt nie rozumie twojego oburzenia.

– Bez wątpienia to ta sama osoba – powiedział doktor Lenartowicz, przechodząc obok niego. A Hubert aż drgnął. Jakby ktoś niespodzianie usłyszał jego myśli. – Bardzo pewna ręka – dodał. – Precyzyjny cios, żadnych śladów. Narzędzie zbrodni mamy na miejscu. Fachowiec – dodał na koniec takim tonem, że zabrzmiało to wręcz jak uznanie medyka dla wysokich kompetencji mordercy, choć z pewnością nie o to chodziło.

I właściwie wszystko jasne, chciałoby się podsumować – pomyślał Hubert.

Tyle że niestety nic tutaj nie było jasne.

– Osobiście przeprowadzę śledztwo. – Makarski wrócił do pokoju, wykonawszy kilka rozmów telefonicznych. – Wszystkiego dopilnuję – dodał, jakby już zauważył naruszenie jakichś ważnych procedur, choć każda została starannie dopełniona. –

Porozmawiam z rodziną i wyjaśnię to wszystko – obiecał. – Przekażcie tym biednym ludziom, że morderstwa się zdarzają. A policja potrafi być skuteczna, a przynajmniej niektórzy. – Tu spojrzał na Górskiego, choć nie on przecież był szefem i nie on prowadził śledztwo.

To było naprawdę dziwne. Hubert postanowił na wszelki wypadek usunąć mu się z linii wzroku.

– Jak się czujesz? – Podszedł do Ani, zatrzymując ją tuż przed drzwiami.

Nie wiedział, jak sformułować pytanie. W jaki sposób zapytać, czy sobie poradziła? Czy bez problemu odebrała wczoraj męża z komisariatu? Mocno pijanego i wydzierającego się po schodach czy też może spokojnego i potulnego? Jak bardzo trudne to było? Grzesiek miał różne fazy.

– Dobrze – odparła krótko. A potem spojrzała na niego pewnym wzrokiem.

Hubert nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby nie był świadomy tego, co Ania wczoraj przeżyła, toby jej nawet uwierzył. Brzmiała tak przekonująco, miała przepiękny uśmiech i ładne niebieskie oczy. Takie pełne miękkiej kobiecości. Patrzysz na nią i wyobrażasz sobie, że na pewno ma wyjątkowe życie. Ktoś mocno ją kocha. Ta kobieta została stworzona do kochania. Kiedyś, dawno temu, w liceum, bardzo podobała mu się, ale wszyscy mówili: „Odpuść, to nie ta liga". Ania świetnie się uczyła, jej rodzice chcieli, żeby zdawała na prawo. I tak się rzeczywiście stało. Przyjął ten tok myślenia jako logiczny. Nawet nie próbował zaprosić ją na randkę.

A potem ona wybrała jego! Grześka! Tego Hubert zrozumieć nie potrafił.

– To się cieszę – powiedział tylko, próbując przeniknąć jej twarz i dociec, co naprawdę czuje.

Nie udało mu się to. Stał przez kolejną chwilę, a ona spojrzała na niego, jakby chciała spytać: „Coś jeszcze?”.

Ta konwersacja na dobre się nie zaczęła, a już stała się niezręczna. Powinien teraz zakończyć: „Pozdrów męża”, tak jak się to zwykle robi, ale mogłaby to odebrać jako aluzję czy przytyk. Milczał więc, nerwowo wkładając dłonie do kieszeni, a potem je nagle wyciągając, bo sobie przypomniał, że w obecności eleganckiej kobiety jednak nie wypada. Nie pasowało też zapytać o to, co faktycznie go interesowało, czyli dlaczego na to wszystko pozwala. Czemu go wybrała? Dlaczego ciągle z nim jest?

Ania – najładniejsza dziewczyna w klasie, seksowna pani prokurator. A potem zauważył kolejną rzecz, bo przez ten cały wstrząs z powodu morderstwa wyostrzył mu się wzrok. I dodał po pauzie: chyba najbardziej nieszczęśliwa kobieta w mieście.

ROZDZIAŁ 7

Wika biegła, rozglądając się trwożnie na boki. Park miejski znała doskonale. Jeździła tutaj na rowerze jako dziecko, bawiła się na placu zabaw. Dziś w niczym nie przypominała tamtej dziewczynki w ładnych sukienkach i warkoczach spiętych kolorowymi gumkami.

Teraz jej włosy były potargane, po policzkach snuły się smugi rozmazanego makijażu, a ciemne spodnie miały urwany guzik i się rozpinały. Franek silnie ją szarpnął. Twierdził, że to żarty, a ona nie ma do siebie dystansu.

Bolało. Czuła się upokorzona i jednocześnie mocno zagubiona. Może to rzeczywiście normalne tak się droczyć? A co, jeśli jest przewrażliwiona i za chwilę straci jedynego na świecie człowieka, który okazuje jej zainteresowanie?! Ale Franek naprawdę chamsko się zachował. Śmiał się, że chce zajrzeć, co ona ma w spodniach, bo to ważne nie tylko u facetów. A jego koledzy rechotali.

Śmiechem się tego nie dało nazwać. Prostackie odgłosy pełne pogardy i drwiny wciąż dźwięczały jej w uszach.

Tak bardzo chciała z nim zostać sam na sam. Tak się zresztą umówili. Na kilka wspólnych chwil przed pójściem do szkoły. Ale Franek cieszył się sporą popularnością. Ciągle ktoś za nim łaził,

także dziewczyny. Wiedziała, że jeśli zacznie marudzić i się mazać jak dzieciak, z pewnością jakaś inna, silniejsza i dzielniejsza dziewczyna chętnie zajmie jej miejsce.

Otarła łzy. Wcześniej się nie malowała i teraz wyszło na jaw, że makijaż może być kłopotliwy. Na dłoni ciągnęły się czarne smugi, policzki zapewne wyglądały jeszcze gorzej. I nie mogła się w żaden sposób opanować. Łzy ciągle płynęły. Naprawdę chciała być twarda, nie przejmować się, ale ciągle nie wychodziło. Jak długo Franek to wytrzyma? I tak się z niego śmiali, że umawia się z kujonką.

Wściekało ją to określenie. Miała za mało czasu, żeby całkiem zerwać z wizerunkiem dobrej uczennicy, który tak mocno jej ciążył. Rok szkolny już się kończył. Nazbierała wcześniej tak wiele piątek i szóstek, że nawet gdyby teraz całkiem przestała się uczyć i tak dostanie świadectwo z paskiem. Nauczyciele szli jej na rękę. Widzieli, że ma kryzys. Nie wzywali do odpowiedzi. Polonistka udawała, że nie zauważa braku zadań, spóźnień, nie wpisywała uwag. Wikę zaskoczyła ilość wsparcia, jakie dostawała od nauczycieli. Szkoda tylko, że potrzebowała czegoś zupełnie innego.

Dziś zerwała się z pierwszej lekcji. Nie mogła sobie pozwolić na całodzienne wagary jak inni, bo istniało ryzyko, że ktoś zadzwoni do ojca i zacznie jej szukać policja.

Mieli wprawdzie teraz tego swojego mordercę, o którym wszyscy gadali. Ale ojciec i tak pewnie wskoczyłby w radiowóz, by natychmiast ruszyć na miasto. A także bez wątpienia poprosiłby o pomoc kolegów. Nawet nierozwiązana sprawa morderstwa by go przed tym nie powstrzymała.

Wika rozejrzała się na boki. Nigdy nie była specjalnie śmiała, ale teraz łapała się na panicznych atakach. Wszyscy uważali, że ten zbrodniarz wciąż jest w mieście. I czai się do kolejnego skoku. Może być wszędzie.

– Następna będzie jakaś nastolatka – powiedział Franek pół godziny temu, a ona poczuła, jak trzęsą jej się nogi.

Pozostałe dziewczyny zaczęły się śmiać, ale ona nie mogła.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała, starając się ze wszystkich sił, by głos nie zdradził strachu.

– Był gość w średnim wieku i jakaś starucha – wyjaśnił Franek tonem, w którym nie było nawet śladu współczucia dla ofiar. Potem wyrzucił niedopałek papierosa w trawę. Tego w nim nie lubiła i wierzyła, że to zmieni, kiedy już będą ze sobą dłużej. – Dla porządku teraz powinna być młoda dziewczyna. Dziewica, jak to się mówi – dodał, po czym spojrzał na nią tak, że aż zrobiło jej się słabo. – Seksowna jak ty – zakończył.

Co miała odpowiedzieć? Była jego dziewczyną, ten status napełniał ją dumą. Miał prawo rzucać w jej stronę te okropne spojrzenia i mówić takie rzeczy. Dziewczyny jej zazdrościły, czuła to wyraźnie. Musiało więc być to coś atrakcyjnego, tylko ona głupia nie umiała tego docenić.

Dobrze jednak, że uciekła, kłamiąc, że tata przysłał jej wiadomość. Długo by już nie wytrzymała. To jedno nieco trzymało Franka w ryzach. Jej ojciec policjant. Wyśmiewał się wprawdzie z niego, opowiadał całe historie, jak to mu kiedyś napyskował w komisariacie i pokonał w dyskusji. Absolutnie się go nie boi. Ale Wika czuła, że to nie do końca jest prawda. Trochę respektu jednak miał. Być może wyłącznie z tego powodu nie zaciągnął jej jeszcze do łóżka. Z innymi swoimi dziewczynami sypiał szybko i często.

Napawało ją to przerażeniem.

A może naprawdę się zakochał? – pomyślała, przyciskając dłonie do piersi.

Płacz na chwilę ustał. Zatrzymała się pomiędzy drzewami. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, a z plecaka butelkę wody.

Zaczęła przecierać policzki i oczy. Nie miała lusterka. Podeszła więc na pobliski parking, żeby się przejrzeć, pochylając się przy jednym z samochodów. Kiedy się wyprostowała, aż krzyknęła z przestrachu.

Doktor Oskar Lenartowicz dosłownie wyrósł spod ziemi.

– Co tu robisz? – zapytał. – Chcesz się zająć kradzieżą samochodów?

– A skąd? – broniła się, czując, jak jej serce grzecznej dziewczynki, przyzwyczajonej do pochwał i miłych rozmów, łomoce z całej siły. – Nie! – zawołała gwałtownie. – Idę do szkoły.

– Wydawało mi się, że macie dziś na ósmą. Natalia od naszych sąsiadów spieszyła się rano…

Wika poczuła teraz wyraźnie, dlaczego tak bardzo nie znosi tej okropnej małej dziury. Nie dość, że każdy znał jej ojca policjanta i właściwie to samo można powiedzieć o pracującej od lat w tym samym urzędzie matce, to jeszcze ta paskudna sieć połączeń. Sąsiadów, szwagrów, sióstr, żon. Wszędzie jakieś czujne oczy, każdy kogoś zna. Jak zachować prywatność w tak ciasnym miejscu? Oddechu się tu nawet nie da złapać.

– Jeśli coś cię martwi, możesz mi powiedzieć. – Doktor Oskar wpatrywał się w nią z bliska, tak intensywnie, jakby pojęcia nie miał, co to prawo do prywatności, takt i inne sprawy temu pokoleniu wyraźnie kompletnie nieznane. – Wiesz. – Przysunął się jeszcze bliżej, tak, że wyraźnie czuła zapach jego perfum. – Mnie obowiązuje tajemnica lekarska.

To był fakt. Na moment udało mu się zahaczyć jej uwagę. Poczuła pokusę, by ze wszystkiego mu się zwierzyć. Ale szybko jej się przypomniało, jak dobrze doktor Oskar zna ojca. Spotykają się od lat i gadają godzinami. Nie wierzyła w żadne tajemnice. Wszystko by mu wygadał. Chodziła od roku do liceum i doskonale znała realia. Jeśli chcesz, żeby coś się szybko rozniosło po

ludziach, powiedz komuś w sekrecie, a najlepiej poproś, żeby nikomu nie przekazywał.

Głupoty się roznoszą, co dopiero poważne sprawy.

– Dziękuję. – Cofnęła się szybko. – Spieszę się. Do widzenia – zakończyła automatycznie siłą przyzwyczajenia z grzecznym skłonem głowy.

Nigdy się nie zmienię – pomyślała ze złością, biegnąc szybko przez ten cholerny parking. – Zawsze będę nudną kujonką, która się z każdym grzecznie wita i której nikt nie zauważa ani nie kocha. No, chyba że nauczyciele. Zwłaszcza przed końcem roku albo terminem jakiejś olimpiady. Ale komu to potrzebne?

Ktoś jednak ją wybrał. Uważał za wartościową i wyjątkową.

Franek! – przypomniało się jej. W niczym nie przypominał jej ojca. I bardzo dobrze. Za nic nie chciałaby mieć takiej rodziny, jaką tata im stworzył.

* * *

Doktor Oskar został w tym samym miejscu, choć powinien się spieszyć. Czekali na niego w przychodni. Jeśli się spóźni, ludzie znowu będą narzekać, że lekarze z nikim się nie liczą. Ale wciąż stał.

Sądził, że więcej wie o Hubercie. Miał go za dobrego ojca. Ale zbyt dobrze znał to spojrzenie nieszczęśliwego do bólu dziecka, żeby się pomylić. Były takie czasy, kiedy widział je w lustrze każdego dnia.

Bardzo chciałby pomóc Wice, jednak dziecko przyjaciela to wyjątkowo wysoki stopień trudności.

* * *

Ania musiała się wyrwać z pracy, żeby zdążyć do przedszkola. Zdarzyła się jakaś paskudna awaria toalet i dyrektorka napisała do rodziców, że bardzo prosi o wcześniejsze odebranie dzieci.

Świetnie! – pomyślała Anka, z trudem opanowując wszechogarniające ją zmęczenie.

W pierwszym momencie poczuła pokusę, żeby nie jechać. Dla osób w trudnej sytuacji, które nie mogą odebrać dzieci, przewidziano dyżur. Tu jednak wszyscy się znali. Wiadomo było, kto mieszka z babcią, a kto sam. Fakt, że jej mąż nie ma pracy i siedzi w domu, też był powszechnie znany. Nie mogła więc poprosić o dyżur, wstyd by jej było. Musiałaby przyznać, że Grzesiek nie ogarnia, nie można mu zaufać ani powierzyć dzieci.

Nie miała pojęcia, w jakim jest stanie, czy mógłby się nimi bezpiecznie zaopiekować do siedemnastej. Musiała sama się tym zająć. A był to chyba najgorszy dzień na to, żeby się wcześniej zerwać z pracy.

Mieli morderstwo i to podwójne. Po raz pierwszy w jej rodzinnej miejscowości. I żadnych, naprawdę żadnych tropów.

Zajmowała się poważnymi sprawami w rejonie, ale nigdy tutaj. Wiedziała, że sytuacja jest szczególna. Ludzie na nią liczą. Oczekują, że dołoży wszelkich starań, by mogli czuć się bezpiecznie. Tymczasem jeszcze na dobre nie zaczęła, a już pojawiły się komplikacje.

Jednak nie było wyjścia. Takie miała życie. Samotne matki często borykają się z trudnymi wyzwaniami. Ale najgorzej mają te samotne kobiety, które formalnie są w małżeństwie. Jeśli faktycznie same, przynajmniej mogą liczyć na jakieś przywileje czy choćby taką prostą rzecz jak ludzkie zrozumienie. Ale gdy teoretycznie mają mężów, a w rzeczywistości zajmują się wszystkim same, nie dostają nawet tego.

Nie mogą się poskarżyć. Kiedy proszą o pomoc, ludzie się dziwią, więc przestają to robić. A ze wszystkich samotnych matek będących w małżeństwie w szczególnie trudnej sytuacji są te, które zajmują eksponowane stanowiska, cieszą się szacunkiem społecznym, których praca zawodowa zależy od opinii.

„Pani prokurator" to brzmi dumnie, ale też nakłada wiele obowiązków. Trzeba dbać o nienaganny wizerunek, wiele rzeczy ukryć, przemilczeć, zwłaszcza kiedy kryje się nie tylko przewinienia swojego męża, lecz przede wszystkim własny błąd. Może by jeszcze nawet ktoś jej pożałował w roli wykorzystanej czy skrzywdzonej żony. To się czasem zdarza.

Ale błąd, jaki popełniła kilka lat temu, ufając swojemu mężowi, zgadzając się na jego prośbę, sprawiał, że można byłoby poddać w poważną wątpliwość jej zawodowe kompetencje prawniczki i tak zwyczajnie, po ludzku mądrej osoby, bo to było niewybaczalnie głupie. Teraz to rozumiała, wtedy myślała, że wspiera bliskiego człowieka.

Konsekwencje mogły być poważne.

A nie mogła stracić pracy. Za nic w świecie. To było jedyne, co chroniło jej dzieci.

Nie próbowała zatem dzwonić do domu ani prosić kogoś o pomoc. Wyszła wcześniej z biura, nie mrugnęła nawet okiem, widząc spojrzenie sekretarki. Nie skomentowała niczego. Po prostu pojechała szybko do przedszkola. Bardzo się spieszyła. Bała się, że będzie znowu ostatnia, bo jej się to często zdarzało. Jak wielu matkom godzącym macierzyństwo z pracą i utrzymaniem rodziny. Ale kiedy dojechała do przedszkola, zobaczyła pełny parking samochodów i mnóstwo ludzi stojących w korytarzu.

Odetchnęła z ulgą, starając się pozbyć tego męczącego spięcia ramion, które nie opuszczało jej ani na chwilę.

– Kończą jeszcze próbę – wyjaśnił ktoś.

– To kompletnie niepoważne – odezwał się przysadzisty czterdziestolatek, w którym rozpoznała tatę Kuby, chłopca z grupy jej syna Maksia. W każdym zbiorowisku ludzkim jest przynajmniej jedna osoba, która czuje się zobowiązana niepytana skomentować sytuację. – Najpierw nas wzywają, żeby przyjechać jak najszybciej, a potem się okazuje, że jeszcze mają próbę. Nie szanują ludzkiego czasu.

Ania nie lubiła takich narzekaczy, ale musiała przyznać, że jednak trochę prawdy w tym jest. Przystanęła i uspokoiła oddech. Ostatnio ciągle była w biegu, w tych sztywnych garniturach i butach na wysokim obcasie tuptała przez życie od jednego obowiązku do drugiego. Usiadła z ulgą na niskiej ławeczce służącej dzieciom do przebierania się i ze wstydem musiała przyznać się sama przed sobą, że jest wdzięczna za tę przymusową chwilę odpoczynku.

Miała ochotę przymknąć oczy i zasnąć albo żeby ją ktoś przytulił. Najlepiej mocno.

Szybko rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nie domyślił się, co jej krąży po głowie. Chwila przerwy jednak okazała się bardzo krótka. Zauważono ją w tłumie.

– Pani Aniu. – Jedna z matek szybko do niej podeszła. – Niech pani nam powie prawdę. Co tu się dzieje? Czy nasze dzieci są bezpieczne?

Teraz już wiadomo było, że jej nie odpuszczą. Ludzie ciasno stłoczyli się wokół. Musiała wstać, bo bała się, że nie złapie oddechu. Zdenerwowanie rosło w niej w błyskawicznym tempie. Prawda! Trochę przereklamowane słowo. Była pewna, że wcale nie chcieli jej usłyszeć. Realne zagrożenie, morderca, który z ogromną dozą prawdopodobieństwa wciąż jest w mieście, obserwuje wszystkich bacznie i wybiera kolejną ofiarę, z zimną

precyzją kalkuluje szczegóły, nie popełnia błędów, nie ma skrupułów.

Znała podstawy psychologii. Wiedziała, że są ludzie, którzy pozbawieni zdolności odczuwania mogą się poważyć na czyny, jakie innym nie mieszczą się w głowach.

Prawda nie zawsze wyzwala. Czasem może wiele zniszczyć. Jak w przypadku jej życia.

Za długo jednak milczała. Musiała jakoś zareagować, żeby nie prowokować paniki. Wyprostowała się. Z wykształcenia wprawdzie była prawniczką, ale najlepiej znała się na udawaniu, a także pocieszaniu i braniu odpowiedzialności za dobre samopoczucie innych.

– Spokojnie – odparła pewnym tonem, a rodzice przedszkolaków, uspokajani już kilkakrotnie przez Makarskiego, komisarza, Huberta czy innych policjantów, po raz pierwszy faktycznie nieco odetchnęli. Szybko jej uwierzyli. – Nie mogę mówić o szczegółach – dodała pani prokurator. – Przykro mi, tajemnica służbowa. – Pokiwali głowami. Nikt jej się nie sprzeciwił, nawet najwięksi krzykacze. – Ale proszę się nie obawiać. Wszystkie służby postawione są w najwyższej gotowości. Sprawy są na dobrej drodze.

Zapadła cisza, ale zaraz potem po sali poniósł się szmer. Wątpliwości jednak wygrały.

– I co z tego, że służby działają?! – ryknął ten sam czterdziestolatek, który denerwował się już wcześniej. – Starsza kobieta zginęła! Niewinna! I nikt jej nie ochronił. Kto obroni nas?!

– No właśnie…

Pani prokurator miała wrażenie, że wszyscy patrzą na nią, oczekując kolejnego pakietu pociechy. Jeszcze mocniejszego. Taki jednak nie istniał. Wnioski nasuwały się same i tłum, jak to ma w zwyczaju, szybko zmienił front. Czuła, że obwiniają ją za to, co

się wydarzyło, oczekują, że natychmiast coś zrobi. A to nie takie proste. Znała panią Bronisławę dość dobrze i doskonale wiedziała, jak trudno będzie znaleźć jakikolwiek trop.

– Taka pobożna kobieta – odezwała się jakaś babcia i przeżegnała. – Nawet ona się nie ostała. Każdego dnia była w kościele. Oby jej Pan Bóg wynagrodził za tę straszną rzecz, jaka ją spotkała.

Anka nic już nie powiedziała. Przecisnęła się przez tłum, który niechętnie się rozstąpił, po czym podeszła do drzwi, przez które widać było salkę. Serce jej łomotało. Musiała się koniecznie uspokoić.

Dzieci faktycznie kończyły próbę, choć Olga Maszkowska jeszcze grała na pianinie. Ubrana na czarno. Pogrzeb póki co się nie odbył, sekcja zwłok wciąż trwała i nie wydano ciała, ale Olga nosiła już żałobę. Miała nieprzeniknioną, nieodgadnioną twarz, choć na ustach czaił się uśmiech.

Anka uświadomiła sobie, że Olga zawsze uśmiechała się, kiedy siedziała przy instrumencie. Powinna była grać na wielkich scenach. Wszyscy podzielali tę opinię. Miała talent, który nie pasował do tej małej miejscowości, rozsadzał swoimi ramami pomieszczenie zwykłego przedszkola i te proste nuty, które znajdowały się na leżących przed nią kartkach. Czyniła z nich cuda, tak że stawały się piękną muzyką.

Ania w pierwszym odruchu, kiedy na nią spojrzała i zobaczyła czarną sukienkę, pomyślała o niej ze współczuciem. Potem, przyglądając się bliżej, dostrzegła spokój, jaki bił z tej postaci, i odniosła dziwne wrażenie, że wcześniej go nie było. Olga zawsze była spięta, nerwowa. Wszyscy się do tego przyzwyczaili, być może tłumacząc to jej artystyczną naturą.

Ale teraz Ania zaczęła to wszystko analizować wnikliwiej, raczej służbowo niż prywatnie. Muzyka była dla Olgi czymś

najcenniejszym. Nawet teraz w obliczu tak straszliwej tragedii przyszła na próbę. Nie musiała, każdy by to przecież zrozumiał. W szkole wzięła wolne, ale tutaj zagrała. Morderca wybrał idealny sposób, żeby jej zapewnić alibi. Wszystko może się czasem zmienić pod wpływem przypadku: plany, zamiary, daty. Ale na pewno nie gra Olgi. Zawsze była na miejscu i na czas.

W tym momencie Ania uświadomiła sobie z całą mocą, że ten morderca naprawdę tu jest, co gorsza, być może ona go zna i że niestety jej najbliższe tygodnie będą polegały na podejrzliwym przyglądaniu się ludziom, z którymi bawiła się w piaskownicy, szła do pierwszej komunii, zdawała maturę, piekła kiełbaski na grillu i kąpała się w rzece. Teraz będzie musiała rozkładać ich słowa, działania, motywy na czynniki pierwsze i szukać tego brakującego elementu, który mógłby coś wyjaśnić.

Olga nie miała szans zamordować swojego męża osobiście. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Ale przecież mogła z kimś współpracować, zlecić. Czy to możliwe? Ania pospiesznie analizowała wspomnienia. Ta radosna dziewczyna, która przyjechała tutaj, gdy poznała Piotra, zaczęła gasnąć kilka lat po ślubie. Pozornie wszystko cały czas wyglądało tak samo. Ten proces nie był widoczny nawet dla dość uważnych obserwatorów. A większość ludzi przecież nie obserwuje nawet nieuważnie. Żyją raczej dość bezmyślnie, zajęci swoimi problemami i bardzo pospiesznym, pochopnym i zwykle w związku z tym niesprawiedliwym ocenianiem innych.

Ale Olga się zmieniała. Gasła. Czy przyczyną był właśnie jej mąż?

Czy Olga miała motyw? Czy to jest możliwe, by ta wrażliwa kobieta o delikatnych dłoniach mogła powziąć taką myśl, by w brutalny sposób pozbyć się życiowego kłopotu? To się wydawało kompletnie nieprawdopodobne. Ale czyż nie tak jest z większością

zbrodni? Zna się kogoś, mieszka z nim w tej samej klatce, żyje obok siebie, mówi sobie „dzień dobry” i nagle któregoś dnia człowiek dowiaduje się, że ten ktoś ma na sumieniu coś strasznego.

Skrzywdził swoje dziecko, żonę, zdefraudował pieniądze. Zwykle dla znajomych, sąsiadów czy rodziny jest to szok. A Anka sama najlepiej wiedziała, co może się dziać za zamkniętymi drzwiami. Jak mocno czasem mylą pozory.

Poczuła, jak robi jej się gorąco.

Ale dokładnie w tym samym momencie, kiedy już miała zamiar poukładać te klocki w całość i zaczęła patrzeć na Olgę innymi oczami, próbując dostrzec w jej twarzy to wszystko, co mogłoby świadczyć o mrocznych zamiarach i tajemnicach, dotarło do niej, że przecież to się nie trzyma kupy!

Nawet gdyby faktycznie tak się stało, że ten spokojny czterdziestoletni informatyk miał nieznaną nikomu twarz i znęcał się nad żoną, a w coś takiego mogła już uwierzyć, to dlaczego Olga miałaby zaraz potem mordować panią Bronisławę?

Nic ich nie łączyło. Nawet nie przebywały w tych samych środowiskach.

Pani Bronisława była zagorzałą katoliczką, angażowała się nawet politycznie w czasie wyborów po – jej zdaniem – jedynej słusznej stronie, a Olga chodziła do kościoła rzadko. Nie interesowała się też żadnymi akcjami propagandowymi. Nie ziała nienawiścią do tych, którzy myśleli inaczej.

To raczej pani Bronisława miała do Maszkowskiej żal, że nigdy nie otworzyła scholki. Ta gorliwa parafianka była zdania, że taki wybitny talent muzyczny należy poświęcić przede wszystkim Bogu, a nie ludziom. Często się na ten temat wypowiadała, za to Olga nigdy o niej nawet nie wspominała. Wyglądało na to, że Bronisława była dla niej po prostu jedną z wielu osób w mieście,

które miały swoją opinię na temat jej talentu, tego, co powinna ze sobą zrobić, tego, jak gra. Wszyscy byli przyzwyczajeni, że Olgę się ocenia. Gdyby miała mordować każdego, kto miał pomysł na jej życie, to miasteczko wkrótce stałoby się całkiem wyludnione.

Przy tej myśli Ania drgnęła. Nastała gwałtowna cisza. Olga przestała grać. I na moment wszyscy ucichli, nawet dzieci. Dziwna atmosfera była wyczuwalna nawet w przedszkolu. Ale nie trwało to długo. Pani wychowawczyni podziękowała dzieciakom, a te rozpierzchły się już w normalnym hałasie w stronę rodziców, poszukując każde swojej mamy.

Wszyscy zaczęli ściskać i witać swoje pociechy. Przytulać. Normalni ludzie, zwykłe rodziny, małe miasteczko.

Ania czuła, jak łomoce jej serce, bo nagle wyobraziła sobie, że naprawdę ten morderca tu jest. Gdzieś blisko. I za chwilę znajdzie sobie kolejną ofiarę. Kogo? Nie miała pojęcia.

Które dziecko jako następne straci mamę lub tatę?

Nie widziała żadnego klucza, żadnej reguły, a zrobiła karierę i awansowała dość szybko między innymi za to, że jej zdolność analitycznego myślenia i wyciągania wniosków bardzo często skutkowała trafnymi przewidywaniami i rozwiązywaniem trudnych zagadek. Była do tego stopnia skuteczna, że awans wybaczyli jej nawet ci, którzy o nim marzyli. Po prostu Anka często okazywała się przydatna i nikt nie chciał jej stracić.

A teraz stała tutaj, przytulała swoje dzieci, które ją objęły za kolana, i czuła się kompletnie bezradna. Co ma wspólnego dorosły mężczyzna, wykształcony inżynier wiecznie siedzący przed laptopem z prostą staruszką robiącą konfitury i odmawiającą zdrowaśki? Co ich łączy? To samo miasto. Ale żadnego grona wspólnych znajomych, połączeń rodzinnych, miejsc, w których mogliby się spotykać. Niczego.

Specjalista z województwa z lubością przesłuchiwał właśnie sąsiadów, licząc, że zaraz wpadnie na właściwy trop, ale ona wiedziała, że to się nie stanie. Znała tych ludzi. Mogłaby wypełnić arkusz odpowiedzi w pamięci teraz, nawet bez przygotowania. Pewnie w znaczącym stopniu pokryłby się z tym, co ci ludzie powiedzą. Z jednej strony to wspaniale, że dysponowała taką wiedzą i potrafiła to dokładnie przewidzieć, z drugiej straszne, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że nie znajdą tam niczego, co mogłoby im pomóc.

Patrzyła na dzieci wkładające buty, przytulające się do mam i czuła wyraźnie, że wszystkim grozi niebezpieczeństwo. Że w ten normalny świat zwykłych trosk: co ugotować na obiad czy w pracy będzie podwyżka, o ile podniosą się ceny prądu, wejdzie naprawdę przerażające zmartwienie: czy są bezpieczni, czy mogą się zwyczajnie położyć do łóżek i mieć pewność, że się obudzą.

– Jak to fajnie, że pani przyszła na próbę. – Oliwia, wychowawczyni Maksia, wyrwała Anię z zamyślenia. – Inne mamy już były tyle razy, a pani jeszcze nigdy.

No tak – pomyślała Ania. – Inne mamy kończą pracę wcześniej albo w ogóle nie pracują. Mogą sobie na coś takiego pozwolić.

Nie chciała jednak przypominać o tym swojemu dziecku. Cóż ono było winne, że w miejscu, gdzie powinien być ojciec, mężczyzna, mąż, w ich rodzinie ziała wielka dziura. Kiedy chciałaś się oprzeć, twoja dłoń spadała w przepaść. Lepiej więc było nawet się tam nie zbliżać, żeby zachować równowagę potrzebną, by wstawać codziennie rano i żyć. Dla dobra dzieci…

* * *

Kiedy Ania wkładała Maksiowi buty, przemknęła obok Olga. Nikt nie odważył się jej zaczepić, choć pewnie wiele osób miało

pytania. Zwykle ludzie są ciekawscy, ale czasem ogrom tragedii poraża i sprawia, że milkną. Rzadko, ale się zdarza. Tak stało się w tym przypadku.

Poza tym wiedzieli, że spieszy się do dzieci. Wszyscy przenieśli się na razie do babci. Pewnie nikt nie mógłby zasnąć w domu, w którym zamordowano człowieka. Ponoć Olga zabrała sporo rzeczy, jakby nie traktowała tej przeprowadzki przejściowo. Czy tak naprawdę nie lubiła swojego domu, nie czuła się w nim dobrze?

Ania przyjrzała jej się bardzo uważnie. Chciała coś wyczytać z twarzy. Przecież to niemożliwe, że nie ma żadnego tropu. Tak się praktycznie nie zdarza. Bywa tylko, że nikt nie umie go znaleźć.

Gdy Olga podchodziła do drzwi, musiała się gwałtownie odwrócić, bo jakiś chłopczyk upadł tuż pod jej stopami. Podniosła go. Ania wpatrywała się w nią chciwie. Co ta kobieta czuła?

Wiedziała, że są trzy rodzaje reakcji na śmierć bliskiego człowieka. Pierwsza to rozpacz, głęboki smutek z powodu zniknięcia bliskiej osoby. Ktoś zostawia po sobie puste miejsce, a o jego nieobecności nie da się długie lata zapomnieć. Druga reakcja to spokój, kiedy umiera ktoś, kto nie miał dla nas aż takiego wielkiego znaczenia. Z dalekiej rodziny albo starsza osoba po długiej chorobie, którą odprowadza się wprawdzie z uczuciem przykrości, lecz także zrozumienia, że jej cierpienie zyskało swój kres.

Ale jest też jej trzecia reakcja, najczęściej ukrywana. To radość! Gdy umiera znienawidzona teściowa, która terroryzowała cały dom. Właśnie na takim pogrzebie lata temu Ania ze zdumieniem odkryła, że po babci staruszce nikt nie płacze, a wręcz przeciwnie, szczera do bólu synowa na stypie nie kryje, że dopiero teraz zacznie się dla niej życie.

Potem Anka już nigdy nie spotkała człowieka, który by się jawnie przyznał do takich uczuć, ale parę razy udało jej się dostrzec skrywaną ulgę bliskich. Odchodził człowiek, którego nikt nie kochał, krzywdziciel. Co ciekawe, kiedy ostatnio zmarł w ich miasteczku właściciel pieczarkarni, najbogatszy w okolicy, właściwie można powiedzieć jedyny prawdziwie zamożny w okolicy, to jego dzieci płakały szczerze, choć zostawił im kupę pieniędzy i długo czekały na ten spadek. Pan Jamnicki zmarł, mając dziewięćdziesiąt cztery lata, a jednak Ania, stojąc blisko i przyglądając się im bardzo uważnie, wyczuła tylko prawdziwy szczery smutek.

Czasem jednak ludzie idą na pogrzeb ze szczelnie przyklejoną maską żalu, pod którą kryje się coś zupełnie innego. Umiała to zobaczyć.

Twarz Olgi była nieprzenikniona i po raz pierwszy Ania musiała utworzyć czwartą kategorię: kamienny spokój. Niepodobny do tego, który wywołuje śmierć obojętnej nam osoby. Coś takiego zastygłego, zamrożonego. Nie miała pojęcia, jak to zinterpretować. Poza tym Olga szybko zniknęła. Wsiadła do swojego samochodu i pojechała.

Anka też zabrała dzieci, po czym zapięła w fotelikach. Miała wrażenie, że ta prosta czynność wyczerpała wszystkie jej siły. A zostało jeszcze wiele godzin do wieczora.

* * *

Kwadrans później zaparkowała przed domem. Nie była w stanie od razu wysiąść z samochodu. Dzieci już się przyzwyczaiły, że mama musi chwilę pooddychać głęboko, zanim otworzy drzwiczki. Najpierw o to pytały, ale nigdy nie umiała im tego dobrze wyjaśnić. Teraz siedziały tylko w ciszy i czekały.

Ania zmobilizowała wszystkie siły. Zdawała sobie sprawę, że boi się wejść do własnego domu, budynku, za który od lat pieczołowicie regulowała opłaty. Specjaliści mówią, że dom powinien być ostoją dla człowieka, miejscem, gdzie może się schronić po pracy, być sobą, zrelaksować się i odpocząć. Każdy potrzebuje takiego miejsca. Ona go nie miała.

Weszli po schodach po cichutku. Zawsze tak robili i do tego również dzieci były przyzwyczajone. Wiedziały, choć matka nigdy im tego nie tłumaczyła, że jeśli pójdą cichutko, to może tata będzie spał. Uda się go nie obudzić i spędzą dobre, spokojne popołudnie. Takie, jak wszyscy najbardziej lubili. W trójkę.

Dziś nie mieli takiego szczęścia, choć skradali się naprawdę cichuteńko. Ledwo tylko weszli do przedpokoju, zobaczyli go. Chyba czekał i był wyraźnie w złym humorze.

Ania szybciutko zapędziła dzieci do pokoju i włączyła im laptop z bajką. Dość głośno. Domyślała się bowiem, że to, co za chwilę usłyszy, nie jest przeznaczone dla ich uszu. Znowu bardzo się spieszyła, ale i tak Grzesiek się zniecierpliwił.

– Co tak późno? – zapytał kompletnie bez sensu, bo przecież zerwała się dzisiaj z pracy przed czasem. – Wszystko się liczy, tylko nie mąż – zaczął od razu od pretensji, których nie znosiła.

Marzyła o momencie spokoju, o filiżance kawy, o tym, żeby wyciągnąć zmęczone stopy i chwilę odpocząć. W ciszy. Miała dzisiaj w pracy prawdziwy kocioł, a tymczasem musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie wdać się w bezsensowną dyskusję.

– Słyszałaś, że mnie wczoraj zamknęli na posterunku?! – krzyknął. – Policja w Walewicach to kompletni idioci! Non stop przekraczają prawo, a ty nie reagujesz! Co takiego niby zrobiłem, że mnie zgarnęli?

– Na jedną noc można prewencyjnie – odezwała się, nie mogąc tego znieść.

Grzesiek wyglądał okropnie. Zarośnięty, nieuczesany, wciąż w podkoszulku, w którym spał. Kac dawał mu się we znaki. Nie sposób go wyleczyć, jeśli ktoś wciąż dolewa do organizmu kolejne porcje alkoholu.

– Serio?! – wrzasnął, aż drgnęła. – Tyle razy bez żadnej podstawy? Jak wezmę adwokata, też to potwierdzi? Wykręcili mi rękę bardzo mocno, mam siniaki. Mogę pójść do lekarza, żeby mi zrobił obdukcję. Oczywiście nie tutaj. – Przewrócił od razu oczami. – Gdzie masz samych znajomków. Szanowanego pana doktora Wiktorka i jeszcze świętszego doktora Oskarka – drwił. – Do uczciwego lekarza w Krakowie pójdę!

Wystraszyła się. Nie miała odwagi zaprzeczyć. Skąd mogła wiedzieć, jak było naprawdę? Grzesiek dysponował sporą siłą fizyczną, a pod wpływem alkoholu dostawał jakiegoś dodatkowego źródła mocy. Policja nie mogła działać delikatnie, jeśli chcieli go usunąć z parku. Na pewno doszło do przemocy, której skali nie potrafiła teraz oszacować. Miała też świadomość, że starszy aspirant Mateusz nie znosi Grześka i czasem kosztuje go sporo wysiłku, żeby trzymać nerwy na wodzy.

– No i co powiesz? – Grzesiek denerwował się brakiem jej reakcji. – Chronisz przestępców, a własnego męża nie potrafisz?

– Ja ich nie chronię, tylko zamykam – uściśliła. I znowu popełniła błąd, bo to tylko go rozjuszyło.

– Wielka pani prokurator! – Wydął usta z pogardą. – Nie ma się czym przechwalać – powiedział z taką agresją, że aż się w sobie skuliła. – Twoje życie tak naprawdę jest przecież kompletnie do bani.

Zbladła. Jej opanowanie sięgało mistrzowskich poziomów, codziennie bowiem nie brakowało okazji, by je ćwiczyć. Ale czasem ciosy okazywały się tak silne, że nie dawała rady.

– I co zrobisz? – drwił dalej. – Rozwiedziesz się ze mną?

To była jego ukochana dyskusja. Wiedział, że nie może. Przeżywała to wiele razy i ciągle szukała lepszego rozwiązania, ale wszystko poskładało się przeciwko niej. Także jej własna lękliwa natura, która kazała się kulić w sobie zawsze, gdy podnosił głos.

Grzesiek patrzył na nią, ale widok jej smutnej, przestraszonej twarzy wcale go nie skłonił do współczucia. Wręcz przeciwnie. Atakował agresywniej.

– Wiesz, że cię nie stać, żeby się wyprowadzić! – zawołał. – A ja się stąd na pewno nie ruszę. Jeszcze przez trzy lata. – Odważyła się podnieść głowę. – Spłacę kredyt i będę wolny – roześmiał się. To dominowanie nad nią sprawiało mu wyraźną przyjemność. – Wiesz, ile rzeczy może się wydarzyć przez taki szmat czasu? – To zabrzmiało, jak groźba, której nie mogła zlekceważyć. – I co, pani prokurator?! – drwił. – Wpadłaś w niezłą pułapkę. Prawniczka z wyższym wykształceniem, a podpisała alkoholikowi poręczenie kredytu.

Roześmiał się głośno, a ona z niepokojem spojrzała na drzwi pokoju dziecięcego.

– Nie alkoholikowi, tylko mężowi! – nie wytrzymała. To było naprawdę ponad jej siły.

Ale popełniła błąd. Grzesiek uwielbiał, kiedy udało mu się sprowokować ją do odpowiedzi. Mógł wtedy rzucić w nią kolejnymi okropnymi słowami. Zabawa trwała nadal.

– Powiem ci, że dałaś się wpuścić w najprostszą pułapkę świata. – Chodził dookoła niej, zataczając coraz mniejsze kółka, aż czuła, że robi jej się duszno. – I moim zdaniem, choć oczywiście ze mną nikt się nie liczy, bo wszyscy oczywiście słuchają jaśnie pani prokurator, to cię dyskwalifikuje w twoim zawodzie.

Z trudem oddychała. Zużywała wszystkie siły, by nie dać po sobie poznać, jak mocno się przejmuje. Chciała iść do dzieci, ale

miała świadomość, że on pójdzie za nią i dalej będzie mówił, nie przejmując się ich obecnością ani tym, czy powinny słuchać takich rzeczy. Jak to na nie wpłynie. Stała więc, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie mogła nawet wyjść z domu, uciec stąd.

– Prawniczka powinna przecież mieć choćby podstawowe pojęcie o podejmowaniu dobrych decyzji.

Spojrzała odruchowo na drzwi. Tak bardzo chciała być teraz jak najdalej. Chyba ją wyczuł.

– Idź! – pastwił się nad nią bez ustanku. – Mamusia sprzątaczka na pewno zostawiła ci majątek. Pewnie masz dokąd.

Nie chciała tego ze wszystkich sił, ale czuła, jak broda zaczyna jej drgać. To najgorsze. Uwielbiał doprowadzać ją do łez i niestety zbyt często mu się to udawało. Jak inni ludzie opanowują się w takich sytuacjach? W jaki sposób to robią, nie miała pojęcia. Potrafiła zachować spokój w czasie najtrudniejszych rozpraw, śledztw, konfrontacji. A w domu to się nie udawało.

– Muszę iść – powiedziała, pospiesznie przełykając łzy, a potem szybko wyszła do dzieci.

Miała nadzieję, że on już tu nie przyjdzie. Osiągnął swój cel. Zwykle po naprawdę przykrej kłótni zadowalał się świadomością, że na dobre zepsuł jej popołudnie, i zostawiał potem w spokoju. Ze wszystkimi obowiązkami, z całym domowym grajdołem, dziećmi. Wiedział bowiem, że ona już w żadnej sprawie nie zwróci się do niego.

Że nie może nawet na niego patrzeć i zrobi wszystko, byle tylko uniknąć z nim jakiegokolwiek kontaktu. Nawet jeśli nie była to przemyślana taktyka, musiała mu przyznać, że skuteczna.

Anka weszła do łazienki, żeby się trochę uspokoić przed spotkaniem z dziećmi. Czuła się jak zwierzę w klatce. W niewoli, w którą sama dobrowolnie się zakuła. Nie mogła mieć nawet do nikogo pretensji. Sama przecież wyszła za niego za mąż,

nabierając się jak pierwsza naiwna na jego czułości, obietnice i zapewnienia.

I było jej z tego powodu tak wstyd, że udawała szczęśliwą żonę, byle tylko się nie wydało. Nie mogła uwierzyć, że tak się dała wkręcić. A potem faktycznie podpisała zgodę na wzięcie przez męża dużego kredytu. Było to krótko po ślubie, jeszcze w fazie, kiedy wierzyła, że są szczęśliwi. Kochają się. Zanim Grzesiek stracił pracę i zaczął na dobre pić.

Skąd mogła wiedzieć, że przepuści tę kasę co do ostatniej złotówki, a ona teraz będzie biedować mimo niezłej pensji. Że z tego powodu nie ma co marzyć o odejściu, bo w żaden sposób nie opłaci mieszkania na wynajem dla siebie i dzieci?

Ceny nieruchomości były teraz koszmarne, a cichymi ofiarami tej sytuacji stały się między innymi samotne matki. I tak nikt nie chce wynająć kobiecie z dziećmi mieszkania, a co dopiero takiej, która ma problemy finansowe.

Grzesiek złapał ją w niezłą pułapkę.

Ciągle okazywała się wobec niego bezradna. I znowu mu się udało postawić na swoim. Wolałaby teraz wszystko zrobić, byle nie musieć na niego patrzeć. On więc miał wolne popołudnie, a ona mnóstwo obowiązków i perspektywę pracy w nocy nad sprawami, które w związku z wcześniejszym opuszczeniem biura musiała nadrobić.

Wyszła z łazienki. Usiadła na podłodze w pokoju dzieci i starając się uspokoić, zaczęła się z nimi bawić. Potrzebowała jeszcze chwili, by je tutaj przechować, zanim razem pójdą do kuchni i przygotuje im coś do jedzenia. Chciała mieć pewność, że się na niego nie natkną.

Mąż i ojciec, teoretycznie najbliższy człowiek, a w rzeczywistości największe zagrożenie.

ROZDZIAŁ 8

W Walewicach działał tylko jeden bar mleczny. Stara firma od trzech pokoleń prowadzona przez tę samą rodzinę. Na budynku nie było nawet szyldu. I tak każdy wiedział. Poza tym całymi dniami unosił się stamtąd upojny zapach domowego obiadu i to wystarczało. Ceny też pochodziły raczej z dawnych czasów, więc miejsce odwiedzano licznie i chętnie. Zawsze można było spotkać kogoś znajomego.

Hubert lubił tu przychodzić, choć ostatnio określenie „obiad jak u mamy" wcale nie kojarzyło mu się dobrze. Unikał rodzicielki, jak tylko mógł. Ciągle pytała, co u Wiki. Jak mu się układa z Martą i czy w śledztwie są jakieś postępy. Ludzie coraz bardziej się bali i on mocno to odczuwał.

Ciężko mu było przejść spokojnie przez miasto. Tego baru też miał zamiar unikać. Ale dziś był głodny. Nic nie zjadł rano, bo czekał z zejściem do kuchni, aż kłócąca się rodzina wreszcie wyjdzie. A potem było już za późno. Co więcej, Marta po raz pierwszy nie zrobiła mu śniadania. Ani tego, które zawsze czekało na talerzyku, ani kanapek do pracy. Nie zdążył sam przygotować, nie wziął bowiem zapasu czasowego na takie niespodzianki. I teraz głośno burczało mu w brzuchu. Ledwo doczekał do przerwy.

Wszedł do baru i od pysznych zapachów aż mu się zakręciło w głowie. Rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego miejsca.

– Ale jak to Olga nie przyjęła zaproszenia? – usłyszał głos Oskara. Doktor oburzył się o wiele mocniej, niż można by się spodziewać.

Hubert domyślił się, czego dotyczy rozmowa. Słyszał nawet rano w komisariacie, że ponoć Maszkowską zaprosiła na specjalny koncert Opera Krakowska. Nikt się raczej nie dziwił, że nie podjęła wyzwania. Wcześniej też tego nie robiła, więc co dopiero teraz. Miała na głowie ważniejsze sprawy.

Zamówił danie dnia i podszedł do kolegów.

– Czemu cię to tak bulwersuje? – zapytał, siadając na wolnym krześle. Ostatnio ciągle czuł się zobowiązany, by uspokajać Oskara. Bał się o niego. Doktor Lenartowicz sporo pracował, a jego kondycja psychiczna musiała z pewnością odczuć skutki ostatnich wydarzeń. – Dopiero co straciła męża – powiedział spokojnie. – Jest w żałobie, może nawet ciągle w szoku. Do tego musi zorganizować pogrzeb, a to nie takie proste, kiedy policja ciągle trzyma ciało. Ma też pod opieką trójkę dzieci.

– Nawet sobie tego wszystkiego nie potrafię wyobrazić – odezwał się siedzący obok Oskara Mateusz.

Wychowywali z żoną dwoje dzieci, korzystając z pomocy czworga dziadków i jego siostry, a i tak czasem wymiękali. Jego zdaniem w pojedynkę było to nie do zrobienia.

Hubert też próbował ogarnąć to umysłem. I choć miał się za jednego z tych policjantów o szerokich horyzontach, to nie potrafił. Jego przerastało dwoje, mimo że miał bardzo zaangażowaną w obowiązki żonę.

– Zgadza się – przyznał niechętnie Oskar, który nie wiedzieć czemu, miał do tej sprawy tak emocjonalny stosunek. – Ale Olga u nas gra – wyraźnie nie mógł odpuścić. – Nawet na próby do

przedszkola nie przestała chodzić, mimo że to taka bzdura. Jakieś głupie przedstawienie dla rodziców. A nie chce pojechać do opery na prawdziwy koncert? – denerwował się. – Słyszałem, że nie przyjęła zaproszenia.

Mateusz i Hubert pokiwali głowami. Nie dyskutowali. Obaj traktowali Oskara z dużą wyrozumiałością, mając na uwadze, że przeszedł ostatnio trudne chwile. Milczeli więc.

– Może się wreszcie otrząśnie i zacznie żyć tak, jak na to zasługuje? Wykorzysta swoją szansę?! – zawołał, krojąc sprawnie kotlet, jakby kawałek mięsa był pacjentem pilnie wymagającym interwencji chirurgicznej.

Dziwnie to zabrzmiało, ale nie zapytali o wyjaśnienie. Z Oskarem było ostatnio ciężko. Liczba tematów drażliwych w jego życiu rosła.

– Kuźwa, nie wytrzymam. – Przez otwarte drzwi wpadł nagle doktor Orłowski i przysiadł gwałtownie na ostatnim wolnym krześle przy ich stoliku, po czym otarł z czoła pot. – Ledwo zdążyłem! – zawołał. – Dostawca alkoholu się spóźnił i przez to mogłem nie odebrać ciotki z lotniska. Mało brakowało. A ciotka przyleciała z Los Angeles – dodał z dumą. – Ludzie są okropni. – Jego mina natychmiast się zmieniła. – Nikt nie wykonuje swoich obowiązków jak należy, muszę się wszystkim sam zajmować. Kelner! – zawołał, choć tutaj zamawiało się dania przy ladzie. Ale dla niego wszędzie obowiązywały inne zasady.

Syn właścicieli bez słowa komentarza podszedł i odebrał zamówienie. Nawet się uśmiechnął.

– Przecież zatrudniliście tę wedding planerkę – odezwał się Mateusz.

Znał każdy szczegół tego ślubu, bo jego żona, mama i teściowa gadały o nim bez końca.

– Ale daj spokój. – Wiktor machnął dłonią. – Ta kobieta się na niczym nie zna. Chodzi tylko, smęci za uszami, a jak trzeba gdzieś być, to jej akurat tam nie ma.

– Może jej wydajesz niejasne polecenia albo masz za wysokie wymagania? – odezwał się cicho Oskar.

– Ja?! – naskoczył na niego Wiktor. – Dajcie mi wszyscy święty spokój! Człowiek ma cały świat na głowie, daje z siebie maksimum, żeby dziecko było szczęśliwe, a tu jeszcze z każdej strony jakieś uwagi.

– Jeśli są z każdej strony, to może coś w tym jest? – W Oskara zdecydowanie dzisiaj coś wstąpiło.

– Zajmij się może własnym życiem. – Wiktor odparował zdecydowanie zbyt mocno. – Jadę. – Wstał, zanim zdążono podać mu zamówiony obiad. – Tutaj też obsługa jak wszędzie. Gdyby ktoś był głodny i chciał coś zjeść, to prędzej umrze, niż się doczeka.

– Minęły dopiero dwie minuty – wycedził Oskar przez prawie zaciśnięte zęby, ale tamten już go nie słyszał. Wyszedł.

Przez okno widzieli, jak mówi coś do telefonu. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– O rany! – Hubert spojrzał na Mateusza. – Chyba bym nie chciał być jego podwładnym. A może nawet i rodziną. Pewnie strasznie wszystkich terroryzuje przy tym weselu.

– No wiesz, jeśli chcesz mieć świetną imprezę, to jakiś wysiłek musi być włożony – westchnął Mateusz, wspominając z dreszczem własną gonitwę i stres przed weselem. – A trochę ma rację – dodał. – Ludzie nawalają. Ostatnio czekaliśmy na hydraulika trzy miesiące. Zdążyłem się nauczyć, wyspecjalizować, zamówić materiały i sam naprawić.

Chwilę później Oskar odebrał jakiś pilny telefon i się pożegnał. A Hubert wreszcie dostał obiad.

– Idę. – Mateusz też podniósł się niechętnie z krzesła. – Moja przerwa się kończy. Do zobaczenia w komisariacie.

Hubert jadł powoli, delektując się każdym kęsem dobrze wysmażonego kotleta, a także spokojem. Z jakiegoś powodu pozwolono mu skończyć posiłek bez przerywania. Nikt do niego nie podszedł. Było mu miło, poczuł się potraktowany z respektem. Do momentu, gdy usłyszał cichą wymianę zdań pomiędzy dwiema kobietami kierującymi się w stronę toalety.

– Oni i tak nic nie wiedzą. Nie ma sensu nawet pytać. Banda nieudaczników. Żyją za państwowe pieniądze, a kiedy przychodzi potrzeba, nie są w stanie obronić człowieka.

– To racja – dodała druga. – Ja dziś mojego Leona nie posłałam do szkoły. I tak nic już nie robią, bo koniec roku za pasem, a podobno następny będzie nastolatek. Zgroza.

– A policja kotlety wcina… – Te słowa zostały wypowiedziane zdecydowanie głośniej. Jakby ktoś chciał, żeby dotarły do adresata.

Hubert poczuł, jak kęs mięsa staje mu w gardle. A potem po prostu wstał i wyszedł. To było naprawdę okropne uczucie. Lubił swoje miasto, zawsze miał wrażenie, że jest tutaj akceptowany i traktowany z życzliwością. Swój chłopak. A teraz to stracił. Już wiedział, dlaczego nikt go nie zaczepia. To się okazało jeszcze gorsze niż ciągłe opędzanie się od pytań. Ta pogarda…

Oddychał. Choć nawet to stanowiło dla niego wyzwanie. Nigdzie już nie mógł się schować. W domu ani chwili spokoju. A praca też przestała być azylem. Nawet miasto zrobiło się ciasne. Jakoś musiał się ratować. Znaleźć tego cholernego mordercę. Gdzieś tu przecież musiał być! Pewnie nawet całkiem blisko.

Czego nie widzę? – pytał siebie w kółko. – Czego, do cholery, nie widzę?!

Czekało go jeszcze pięć godzin służby. Bardzo długo. Zamierzał pochodzić trochę po mieście, porozglądać się. Szukać tej cholernej wskazówki. Nie mógł się pozbyć dręczącego przekonania, że ona gdzieś tutaj jest. Patrzył tak intensywnie, aż mu oczy zaczęły łzawić, a w głowie pulsować.

Zapłaci migreną i tak niczego nie osiągnie. Na to się zanosiło.

Wszystko bowiem wyglądało tu jak zawsze. Kompletnie nic się nie zmieniło. Ludzie łazili po ulicach, zmierzając w sobie znanych kierunkach, nikt się nie awanturował, nie zachowywał podejrzanie. Sami swoi. Żaden przyjezdny nie zawieruszył się po festynie. Z tego, co Hubert wiedział, wszyscy wyjechali.

Zniknęły też dekoracje. Ławeczki, parasole, paleniska z grillem, sprzęt na scenie – wszystko zostało dokładnie posprzątane. Zamieciono każdy śmieć i można by spokojnie wrócić do normalności, gdyby nie fakt, że w szpitalnej kostnicy wciąż leżały dwa ciała. Dokładnie zabezpieczone i oznakowane. Nie wydano ich jeszcze rodzinom, bo toczyło się śledztwo. Oczywiście, tak gwoli ścisłości, głównie stało w miejscu.

Hubert nie chciał wracać do komisariatu. Ani nawet do służbowego samochodu. Włożył dłonie w kieszenie służbowych spodni i zaczął się przechadzać ulicami. Pogoda dopisywała. Świeciło słońce i w tych klimatach ulice wyglądały nawet całkiem ładnie.

Gdzie on jest? – zastanawiał się.

Czy naprawdę to ktoś z miejscowych, kogo być może on sam dobrze zna? Okropne uczucie. I czy serio można uwierzyć w to, że każdy może zginąć? Ten dziwny psychopata być może wybiera ofiary kompletnie losowo, niczym się w gruncie rzeczy nie kierując. I taki ślepy traf może przecież wycelować także gdzieś blisko jego rodziny. Mamy, żony, dzieci… Zmroziło go to całkowicie. Wziął szybko do ręki telefon.

Jak Ci mija dzień? – napisał do Marty. – *Dużo petentów?*

Chciał wiedzieć, czy jest bezpieczna. Zanim odnalazł numer, chwilę musiał szukać. Przypomniało mu się wtedy, jak kiedyś Marta zawsze była na samej górze listy wybieranych połączeń. Jak często pisali do siebie wiadomości. Co robią, co słychać, gdzie są. A na początku nawet, w tej pierwszej fazie, pytali się nawzajem, co czują…

Stare dzieje. Ale teraz strach spowodował, że przypomniało mu się, jak mimo wszystko cenna jest dla niego ta rodzina. Ta sama, na którą bez przerwy tak narzekał. A przecież nie umiałby sobie bez nich wyobrazić życia. Zmroziło go. Postanowił dzisiaj po pracy od razu pojechać do domu. Nie ociągać się tak bardzo, jak ostatnio mu się zdarzało, kiedy łapał się najprzeróżniejszych wymówek, żeby dotrzeć tam jak najpóźniej.

Bał się tych wszystkich pretensji, wiecznych kłótni z dzieciakami i spojrzenia prawdzie w oczy, że nie wszystko poszło tak, jak sobie wymarzył. Ale dziś musiał się upewnić, że wszyscy tam są, siedzą przy stole, jedzą jak zawsze przygotowany wczoraj wieczorem przez Martę obiad i martwią się jakimiś głupotami. Sprawdzian z chemii, spóźnienie na lekcje, za długie siedzenie przed komputerem. A nie czymś tak dramatycznym jak wizja polującego na niewinnych ludzi mordercy.

Ruszył szybko w stronę komisariatu, jakby to mogło przyspieszyć czas, który mu jeszcze został do zakończenia dyżuru. Przeszła mu przez chwilę taka myśl, że może by kupił kwiaty. Wszystkie dziewczyny to lubią. Ale Marta była pod tym względem wyjątkowa. Tak bardzo się potrafiła cieszyć. Głaskała płatki i wąchała, opowiadała każdemu, że to od męża.

Rzecz jasna, dawno temu. No bo wiadomo, takie gesty są dobre dla zakochanych. A nie dla poważnych facetów w średnim wieku, którzy mają duże dzieci. Nawet przez moment miał ochotę przypomnieć sobie, jakim kiedyś był człowiekiem, ale nie chciał się ośmieszyć. Marta ostatnio reagowała drażliwie na każde właściwie jego słowo, jakikolwiek pomysł. Wolał jej nie prowokować.

* * *

– Ojciec? – Wika podniosła głowę znad talerza i spojrzała na niego niezbyt przychylnie.

– Co cię tak dziwi? – zareagował nieco ostrzej, niż miał zamiar, bo poczuł się zaatakowany.

Kurczę, co jest, że wchodzi do własnego domu i od razu ktoś do niego coś ma. A gdzie jakieś miłe: „Dzień dobry", „Cześć, tatusiu, jak ci minął dzień"? Marta też nie odpowiedziała na esemesa. Tak to dużo wysiłku kosztuje wystukać kilka słów do męża? A potem tylko pretensje.

– Nigdy cię nie ma o tej porze – odparła dziewczyna.

Patrzyła na niego zupełnie inaczej niż kiedyś i nie dało się ukryć, zdecydowanie krytyczniej.

– Mogę wyjść. – Czuł, że reaguje jak dziecko, ale to się wydostawało z niego automatycznie. Uraza aż w nim kipiała.

– Idź. – Teraz odezwał się Kamil. – Będzie spokojniej.

No to już naprawdę przechodziło wszelkie pojęcie! A on przyszedł wcześniej, chciał im kupować kwiaty, sprawdzać, czy są bezpieczni. Zabolało. Postanowił jednak wznieść się na wyżyny opanowania. Usiadł.

– Czy dla mnie też jest jakaś kolacja? – zapytał.

– Oczywiście – powiedziała Marta także niezbyt życzliwym tonem. – Przecież tylko ty pracujesz. Ja nie. Więc ci się należy posiłek podany pod nos. Ja muszę sobie przygotować sama.

Nóż kurwa mać! Hubert miał dość. Przeszła mu wszelka ochota na jedzenie i cokolwiek innego. Najchętniej walnąłby pięścią w stół, a potem wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, tak mocno, żeby wyleciały z futryny. Może to by mu choć trochę pomogło.

Nie mógł jednak dawać dzieciom tak złego przykładu radzenia sobie z emocjami. Choć w tym momencie poczuł chęć, by stać się na chwilę zbuntowanym nastolatkiem. Kichać na wszystko i mieć obok siebie rodziców, na których mógłby zwalić winę za wszelkie swoje problemy. Był jednak dorosły i dawno pozbawiono go tego znieczulenia.

Uspokoił się trochę, czując na sobie badawcze spojrzenia rodziny. Nie chciał dać plamy. Przypomniało mu się, z jakim opanowaniem Ania znosiła głupie uwagi Makarskiego, a on sam w pracy też potrafi trzymać nerwy na wodzy. Siedział więc dalej i patrzył na nich, próbując zrozumieć, w którym miejscu popełnił błąd i kiedy to się właściwie stało. Jak można było nie zauważyć momentu, w którym rodzina tak bardzo zaczęła się zmieniać?

– Mamy trudne śledztwo – zaczął rozmowę, chcąc nieco ocieplić atmosferę i poopowiadać o swoich sprawach.

Liczył, że oni odwdzięczą się tym samym. Też się otworzą i wywiąże się miła dyskusja o tym, co każdy z nich dzisiaj przeżył, co fajnego się wydarzyło. Taka, która łączy rodziny.

Nikt się jednak nie odezwał. Mówił więc dalej:

– Wiecie, nikt nie może wpaść na żaden trop, ale ja mam takie dziwne przeczucie – zwierzył się nagle – że to właśnie ja go znajdę. Że jestem jedynym, który potrafi dostrzec jakąś wskazówkę, która nas wszystkich doprowadzi do mordercy.

– Ty? – prychnęła nagle Wika, krztusząc się sokiem jabłkowym. – Ty?! – powtórzyła raz jeszcze. – Jesteś kompletnie ślepy. Nawet jakby morderca przeszedł ci przed oczami, nawet jakby ci na kolanach usiadł, tobyś go nie zauważył. Niczego nie widzisz!

Tego było już naprawdę za wiele. Hubert rozumiał, że różne rzeczy można mu zarzucić, ale przecież nie brak spostrzegawczości. Może nie miał w CV nie wiadomo jakich trudnych spraw kryminalnych, ale nie zmieniało to faktu, że zwykle to on wpadał na dobre tropy. Miał słuszne przewidywania. Lepsza bywała tylko Anka. Ta faktycznie miała łeb. No, ale mogła się ćwiczyć przy trudnych zagadkach, on pracował na miejscu.

– To jest prawdziwa bezczelność z twojej strony! – zawołał.

Zwykle nie atakował tak bezpośrednio swoich dzieci, starał się zachować spokój, rozumiejąc, że są w trudnym wieku. Nie stracić kontaktu, jak to mówili wszyscy specjaliści. Ale to go, do cholery jasnej, przerosło! Co ta smarkula sobie myśli?! On niczego nie widzi?! Już większej bzdury nikt nie mógł wymyślić. Non stop się głowił nad różnymi sprawami i wszystkiemu przyglądał.

Spojrzał szybko na Martę. Liczył, że stanie w jego obronie. Byli przecież w związku. To naturalne, że w małżeństwie ludzie się wspierają. Ale ona kroiła pomidora, skupiając się na tym, jakby to była najważniejsza sprawa na świecie. A poza tym cała mowa jej ciała, którą czytał, bo przecież nie był takim idiotą, jak jego rodzina sądziła, pokazywała jasno, że zgadza się z córką.

Zerknął na Kamila. Syn? Może on w przeciwieństwie do owładniętych hormonami kobiet spojrzy na sprawę racjonalnie. Nie spojrzał. Wpakował sobie całą kanapkę do ust, a potem wstał i ruszył w stronę drzwi. Jasne, zaraz pewnie siądzie przed komputerem.

– A talerzyk?! – zawołał za nim Hubert.

Do jasnej cholery, nikt tu nie szanował niczyjej pracy.

Kamil najpierw na niego spojrzał, jakby się zastanawiał, czy warto się kłócić, ale chyba uznał, że nie. Ostentacyjnie odniósł talerz, nie odzywając się ani słowem. Hubert poczuł się urażony. To nie było na zasadzie: „szanuję mojego ojca, więc nie będę się z nim spierał", tylko z taką pogardą: „nie jesteś godny tego, żebym ci poświęcił mój czas".

Kamil wyszedł.

Hubert miał ochotę za nim zawołać, żeby, do cholery, schował talerz do zmywarki, ale stracił nagle cały swój impet. Atmosfera w kuchni zmroziła się jeszcze bardziej. Wika zostawiła niedojedzone jedzenie i też wysmyknęła się z krzesła. Za nią również powinien był zawołać, ale tego nie zrobił. Chciał omówić ten temat z Martą, przecież na pewno widziała, co tu się wyprawia. Musieli przedsięwziąć jakieś środki, bo wychowanie tych dzieci stanowczo szło w jakimś złym kierunku.

Ale milczał. Marta skończyła swoją pracę, umyła deski do krojenia, pochowała talerzyki do zmywarki, starła blaty. Wszystko to bez słowa. Potem zabrała swoje jedzenie i poszła do salonu.

Jakby mu ktoś wymierzył siarczysty policzek.

Co takiego zrobił? Nic. Przecież naprawdę nic złego nie zrobił, tylko przyszedł do domu i to ze szczerym zamiarem zatroszczenia się o rodzinę. A jak był traktowany? Jakby uczynił im coś naprawdę okropnego.

Siedział. Postanowił robić to tak długo, aż wreszcie coś mu przyjdzie do głowy, choć dwa śledztwa jednocześnie to było jak na jego mózg chyba trochę za dużo. To prywatne mocno go stresowało. Kiedy zadzwonił telefon i zobaczył numer Łódzkiego, przeraził się. Czyżby kolejne morderstwo? Porwał natychmiast aparat i odebrał. Nie było już w nim cienia tego lekceważenia, które odczuwał jeszcze tak niedawno.

– Co się stało?! – zawołał.

– Mamy wezwanie. Jakiś facet skradał się przy jednej z posesji. Ruszaj. Wysłałem tam wprawdzie chłopaków, ale każdy się przyda.

– Mam nadzieję, że to nie on.

– Trzeba raczej liczyć, że to właśnie on i go wreszcie złapiemy.

Hubert pobiegł szybko do przedpokoju, wskoczył w buty i z ulgą opuścił dom. Chciał usiąść koło żony i zapytać, o co właściwie jej chodzi, ale teraz poczuł, że w sumie całe szczęście, że jakiś przestępca go uratował. Nic by to nie dało, tylko by się znowu pokłócili.

ROZDZIAŁ 9

Oczywiście! Nie zdążył nawet dojechać na miejsce, gdy okazało się, że sprawa rozwiązana. W jednym z domów zakładano alarm i monter kręcił się po posesji, a sąsiedzi narobili paniki, bo właściciele jeszcze nie dotarli z pracy. Ludzie reagowali teraz na wszystko bardzo nerwowo.

Hubert nie wrócił jednak do domu, choć mógł być z powrotem w pięć minut. Spędzanie czasu z rodziną w takiej atmosferze go przerastało. Musiał zaczepić myśli o coś innego, żeby nie zwariować. Lista zadań, których właściwie natychmiast powinien się podjąć, może nie była długa, ale za to niezwykle trudna.

Porozmawiać z Wiką o jej nowym chłopaku. Jak to zrobić, skoro nawet w najprostszej sprawie nie dało się nawiązać kontaktu?

Z Kamilem o jego uzależnieniu od ekranów – kolejna ściana, bo jakakolwiek próba podjęcia tego tematu kończyła się zawsze katastrofą.

Omówić z żoną ich sytuację małżeńską i rodzinną – jeszcze gorzej.

Nie miał bladego pojęcia, jak podejść do któregokolwiek z tych ogromnych skupisk trudności, które przerażały go swoją wysokością, niedostępnością i brakiem sposobu, by chociaż postawić pierwszy krok na ścieżce do rozwiązania. Żadnej mapy,

wskazówek, podpowiedzi i nikogo, do kogo mógłby się zwrócić z prośbą o radę.

Zostawił auto na parkingu pod komisariatem i ruszył na miasto. Szedł prosto przed siebie szybkim krokiem. Miał długie nogi, więc sprawnie udawało mu się pokonywać kolejne kilometry. Postanowił zająć się pracą, jak wielu mężczyzn uciekających od kłopotów domowych. Szukać tej cholernej wskazówki.

Wika go bardzo niesłusznie skrytykowała, twierdząc, że on niczego nie widzi. Wcale tak nie było. Potrafił patrzeć i łączyć kropki. Domyślił się, że rozwiązanie zagadki tych dwóch okropnych morderstw znajduje się tu, w miasteczku. Jest gdzieś trop, którego nikt nie potrafi dostrzec.

Pomyślał, że może to jest jego szansa. Jeśli rozwikła zagadkę tej zbrodni i stanie się w mieście bohaterem, może w domu także wreszcie uwierzą, że wszystko, co myślą na jego temat, nie jest prawdziwe. Widzi, jest inteligentnym, wartościowym człowiekiem.

Miał wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Aż łzy podpłynęły mu pod powieki. Okropnie go potraktowali. Musiał się opanować. Co rusz kogoś mijał. Nikt go nie zaczepiał, o nic nie pytał. Żadnych uśmiechów. A przecież jeszcze do niedawna wszyscy go tu znali i szanowali. Tak chętnie odpowiadano mu na „dzień dobry".

Przeszedł ponownie po całym terenie, na którym wtedy zorganizowano festyn. Od tego wydarzenia wszystko się zaczęło. A potem usiadł na pobliskim przystanku. Nadal wisiał tam plakat z programem. Zaczął go dokładnie studiować w poszukiwaniu upragnionej przez wszystkich wskazówki, ale jedyny wniosek, jaki przychodził mu do głowy, to taki, że godzina pierwszego napadu została świetnie wybrana na czas koncertu Olgi. Tyle że to akurat już wiedzieli. A drugi to musi omijać kolejne punkty, żeby pewnych rzeczy nie widzieć. Klasa Kamila pokazywała jakiś układ taneczny. Syn twierdził, że absolutnie nie weźmie w tym

udziału, to jest głupota i dziecinada, ale przecież był na pikniku i Hubert przypomniał sobie teraz, że Marta prała mu fioletowy dres, w jakim wszyscy mieli występować.

Czy to się w ogóle odbyło?

Nagle uświadomił sobie, że nie wie, czy ostatecznie jego syn brał udział w występie. Jeśli tak, powinien jako ojciec znajdować się wtedy na widowni, jak wielu rodziców.

Dlaczego nikt mi o niczym nie powiedział? – zdenerwował się od razu i zjechał wzrokiem nieco niżej.

Wika grała na flecie od szkoły podstawowej. Teraz dotarło do niego, że coraz rzadziej słyszy w domu ten dźwięk. Kiedyś narzekali, bo początki nauki okazały się trudne, ale Wika była dzieckiem, które wszystko zamieniało w złoto. Czego się tylko dotknęła, to jej wychodziło. Od dawna jej gra zachwycała. Na takich festynach pokazuje się każdego, kto umie cokolwiek. Żonglować piłeczkami, piec ciasta, coś zaśpiewać.

Jego córka akurat miała się czym pochwalić, ale nie znalazł na plakacie tego punktu, a przecież Wika zawsze dostawała solówki na takich imprezach.

Zrezygnowała i nikt mi nie powiedział?! – oburzył się znowu.

Przecież Marta przygotowywała ten program, siedziała nad tym całym wieczorami, próbując dogodzić wszystkim. Słyszał czasem, jak odbierała telefony od różnych wkurzonych osób, które chciały występować wcześniej albo później, w innej kolejności czy też miejscu. Na pewno by zauważyła, że usunięto występ jej córki. Zareagowałaby. Żył w przekonaniu, że rodzina pojechała wspierać Wikę, kiedy on zajmował się niezwykle ważnymi sprawami wagi służbowej, bo przecież dostał wezwanie do morderstwa.

Teraz dotarła do niego frustrująca świadomość, że nie wie, nie zapytał. No nie zdążył. Było tyle spraw.

I ostatni najgorszy punkt programu – zabawa taneczna. W Walewicach mieli bardzo przystojnego burmistrza, który ożenił się z atrakcyjną blondynką. Oboje, mimo że już po pięćdziesiątce, zachowali mnóstwo młodzieńczych cech, lubili spędzać ze sobą czas. Kochali się – to było widać na każdym kroku. Nie udawali dla celów propagandowych, lecz tworzyli rzeczywisty związek. Nie dałoby się w tej kwestii na dłuższą metę oszukiwać. Mieszkali tu ze wszystkimi i byli obserwowani na każdym kroku.

Hubert nie przepadał za burmistrzem. Kiedyś lubił go bardziej, teraz ten facet go wkurzał. Uważał, że popisuje się tym, jak fajną ma rodzinę. Jego syn z sukcesami grał w piłkę, co było wielkim niespełnionym marzeniem Huberta, a drugi chodził z Wiką do klasy. Dobrze sobie radził i był lubiany.

Czy ona nie mogła się z nim umawiać? Taka ładna dziewczynka. Musiała wybrać jakiegoś cholernego Franka?!

W każdym razie burmistrz lubił zabawy taneczne, zawsze bawił się z żoną do ostatniego kawałka. Potrafił też taką imprezę świetnie zorganizować, to znaczy w taki sposób, że podobało się wielu kobietom, bo w Hubercie wywoływało wyłącznie wściekłość.

Jakieś popodwieszane lampiony, kwiaty, światła, prawdziwa orkiestra, dobry prowadzący. Hubert sam nie wiedział, co z tej listy najbardziej go irytuje.

Raz do roku odbywało się w mieście takie wydarzenie. Wiedział, że kobiety kupują sobie specjalnie na tę okazję nowe sukienki i buty, idą do fryzjera, przeżywają. Jeżeli jakiś mężczyzna zapraszał swoją dziewczynę na tę imprezę, było to odczytywane jako informacja o jego bardzo poważnych zamiarach.

Kuźwa! To chyba jedyne takie miejsce na świecie – zdenerwował się jeszcze bardziej Hubert. – Że potrafią z takiego drobiazgu zrobić wielką sprawę.

Czy nie można dać sobie spokoju? Żyć normalnie i traktować rzeczy takimi, jakimi naprawdę są? Zwykła potańcówka na festynie! Cóż to takiego jest?

Jednak czuł całym sobą, że Marta się o to wścieka i jest zła od samego początku, kiedy ogłoszono datę tego wydarzenia. Czego się spodziewała? Że on kupi kwiaty i ją zaprosi, jakby w ogóle nie byli małżeństwem? Pozwoli sobie zamówić nowy garnitur, chociaż w starym wyglądał całkiem spoko? Podjedzie pięknym samochodem, wręczy róże, pocałuje w policzki i zabierze jak na randkę? To jakieś szaleństwo!

Ale im bardziej absurdalne myśli przychodziły mu do głowy, tym mocniej czuł, że właśnie tak jest, że to jest dokładnie to, czego Marta od niego oczekuje.

Aż się złapał za głowę. Jeśli tak, to jego córka mogła mieć trochę racji. Faktycznie mało widział, a wszystkie te tropy teraz podpowiedziała mu wyłącznie wściekłość. Tworzył je w myślach z ironią, sarkazmem, a one wyświetlały się na zielono jak podpowiedzi.

Szaleństwo! Jakże byłoby to sztuczne! Przecież od dawna im się nie układało. I co, miał się teraz przełamać i mimo wszystko zachowywać jak zakochany młodzieniaszek?

Zobaczył, że na przystanek nadchodzą jacyś ludzie, powoli zbliżała się pora odjazdu autobusu, wstał więc i ruszył dalej. Plakat zostawił na ławce. Wyglądało na to, że nie ma ucieczki od jego prywatnych problemów. Chciał zająć się pracą, a ciągle znajdował rodzinę.

Szukając na siłę zajęcia, zrobił długi spacer, doszedł aż pod dom weselny, w którym za tydzień miało się odbyć wesele syna doktora Wiktora Orłowskiego. Byli z Martą zaproszeni.

Może faktycznie to jest szansa na zmianę? – westchnął ciężko.

Zaciśnie zęby i spróbuje przynajmniej na tej imprezie potowarzyszyć żonie. Może nie do końca tak, jak tego oczekiwała, ale chociaż trochę.

Wszedł powoli do środka. Szukał wzrokiem doktora. Chciał popatrzeć na kogoś, kto odniósł sukces, żeby się przekonać, że to możliwe. Wiktor, oprócz burmistrza czy dyrektora miejscowego liceum, reprezentował elitę miasteczka. Małego, więc nietrudno tu się było wybić, ale Orłowski był człowiekiem, którego kariera nawet w Krakowie robiła wrażenie.

W końcu to tam pracował i w jednym ze szpitali został zastępcą ordynatora. Duża sprawa. W Walewicach ostatnio bywał rzadziej, głównie sypiał, chociaż nawet i to nie zawsze. Miał też w Krakowie mieszkanie i czasem po długich dyżurach tam właśnie zostawał. Jego żona zajmowała się wychowywaniem ich jedynego syna i świetnie jej poszło, bo chłopak skończył medycynę, żenił się i był sympatycznym, spokojnym, poukładanym człowiekiem. Lubiano go tutaj. Ludzie mieli nadzieję, że może po skończonych studiach Artur zacznie pracować w Walewicach. A i on nieraz przebąkiwał, że chętnie by to zrobił. Ojciec jednak nawet nie chciał o tym słyszeć, miał wobec niego wielkie plany.

Może nie ma się co dziwić – pomyślał Hubert. – Tu chłopak nie miał perspektyw na większą karierę.

Górski wszedł przez piękne dębowe drzwi. Do wesela pozostało sporo czasu, zapadał zmrok, ale tu wciąż kręciło się mnóstwo ludzi. Mama mu opowiadała, że to jakieś szaleństwo i takiego ślubu jeszcze w Walewicach nie było. Zatrudniono cały personel, przyjechali jacyś dodatkowi ludzie, a zastępca ordynatora wciąż nie wydawał się usatysfakcjonowany.

Podobno osobiście wszystkiego doglądał i wykłócał się o każdy szczegół.

To się wyraźnie zgadzało – pomyślał Hubert, ledwo zrobił kilka kroków.

Głos doktora niósł się daleko.

– Ile razy mam powtarzać! Nie tak! Po prostu nie tak!

Musiało się zdarzyć coś bardzo poważnego, bo w jego głosie słychać było prawdziwą wściekłość.

Hubert myślał, że pan ordynator zwraca się w ten sposób do jakiegoś kelnera, może sprzątaczki – rysą na jego wizerunku był fakt, że często traktował z lekceważeniem niewykształconych ludzi wykonujących proste prace. Pozwalał sobie na niewybredne komentarze, choć starał się nad sobą panować dla dobra swojej, jak to mówił, marki osobistej. Zresztą wybaczano mu to, bo wielkość sukcesu rekompensowała te niedogodności. Hubertowi jednak aż przykro było tego słuchać. Ile złości w tym głosie! Ile okropnej pogardy.

Pomyślał, że to strasznie nie w porządku. Tym razem Wiktor przesadził i komuś należało się słowo obrony. Albo nawet kilka.

Wbiegł po schodkach, gotów bronić biedaka, który popadł w takie tarapaty, wyobrażając sobie może jakąś starszą panią, która nie do końca ogarnęła polecenie, albo młodego chłopaka ledwo rozpoczynającego swoje obowiązki. Tymczasem kiedy wpadł bez ostrzeżenia do wielkiej sali i odwrócił się, zobaczył, że przed Wiktorem stoi jego syn.

Aż go zatchnęło. Zszokowany zatrzymał się nagle w pół kroku, niezdolny do żadnej sensownej reakcji. Przygotował się, że pomoże, a tymczasem kompletnie stracił język w gębie.

Natomiast Wiktor błyskawicznie i bez żadnego trudu wyszedł z poprzedniej roli i odnalazł się w kolejnej. O wiele bardziej przyjaznej. Uśmiechnął się, sprawiając wrażenie kompletnie szczerego, rozłożył ręce i zawołał:

– Cześć! Witaj!

Hubert zamrugał powiekami. Gdyby ponad wszelką wątpliwość nie słyszał wypowiedzianych przed momentem słów, toby sobie pomyślał, że facet jest zrelaksowany i naprawdę się cieszy na jego widok.

Jego syn miał z tym o wiele więcej trudności, widać było po nim wielkie zdenerwowanie, które nieskutecznie tłumił. Ojciec posłał mu tylko jedno spojrzenie. Groźne. Chłopak pobladł i nerwowo zaplatał dłonie, wyraźnie próbując zapanować nad sobą. Bez większego rezultatu. Poziom stresu był już chyba za wysoki.

Hubert ze zdumieniem zauważył, że i jego w tym momencie oblewa nagła fala gorąca, od której poczerwieniały mu policzki, trzęsą mu się dłonie, a nogi stają się miękkie. Kompletnie nie panował nad swoim ciałem i znalazł się w takiej sytuacji po raz pierwszy w życiu, nie mając żadnych narzędzi, by sobie z tym poradzić.

Wszystko nagle zaczęło mu się układać w całość. Człowiek stąd, który skrywa jakieś tajemnice! O tak, zdecydowanie nie znał takiej twarzy Wiktora. Słyszał, że jest nerwowy, że ma problemy z nadmierną pewnością siebie, ale nie spodziewał się, że może być tak nieprzyjemny wobec własnego syna.

Serce tak mu łomotało, iż miał wrażenie, że zaraz koszula zacznie mu podskakiwać. Lekarz! Przecież właśnie o tym mówił Oskar. Miejsce wbicia sztyletu zostało wybrane tak precyzyjnie, jakby to zrobił świetny fachowiec. Jasna sprawa, że trzeba było tutaj znajomości anatomii. A to po studiach medycznych bardzo łatwe. Miejscowy, który wszystkich zna. I to się zgadzało. Wiktor wprawdzie dużo czasu spędzał w Krakowie w szpitalu, ale urodził się tutaj, był blisko związany z Walewicami. Na wesele swojego syna zaprosił pół miasta, a drugie pół siedziało obrażone, bo też czuli, że są z nim w bliskiej relacji. O festynie wiedział sporo. Jego żona zarządzała stoiskiem z ciastami, angażowała się w plan

i organizację imprezy. A poza tym podobnie jak Marta przeżywała zabawę taneczną. Byli tam oboje.

Czy to jest w ogóle możliwe, żeby ktoś zamordował z zimną krwią niewinnego człowieka, po czym poszedł się bawić na imprezę do parku? Tańczył z żoną i rozdawał uśmiechy na prawo i lewo?

Tego Hubert w swoim ściśniętym przerażeniem sercu nie był w stanie doprecyzować, ale w jego głowie w ogóle nie mieściła się taka kategoria jak zamordowanie drugiego człowieka, więc nie mógł według swoich zasad rozstrzygać, co jest możliwe, a co nie.

Aresztować go! – pomyślał natychmiast.

W rozpędzonej wyobraźni w kilka sekund pojawiły się piękne obrazy awansu, gratulacji, uznania, którego ostatnio potrzebował nawet bardziej niż tlenu. Po chwili jednak cofnął się o krok.

Jakże to w praktyce zrobić? Rzucić podejrzenie na tak znaczącego człowieka, aresztować go kilka dni przed weselem, do którego przygotowywano się tutaj od dwóch lat? Musiałby mieć twarde dowody, a nie tylko zwykłe podejrzenie. Prokuratura potrafiła wypuścić podejrzanego, wobec którego policja ma o wiele więcej poszlak. Musiałby też sprawdzić mu alibi. Nie miał pojęcia, gdzie Wiktor był, kiedy zaczynał się piknik, a także wtedy o poranku, gdy zginęła pani Bronisława.

– Coś ci jest? – zainteresował się zastępca ordynatora. Podszedł bliżej. – Wyglądasz bardzo źle. Wpadłeś tu, żeby szukać pomocy?

Tak – chciał powiedzieć Hubert, ale zdołał tylko coś wystękać i kiwnąć głową.

Wiktor się zaniepokoił.

– Człowieku, usiądź, proszę, to źle wygląda. Możliwy jest nawet stan przedzawałowy. Dobrze, że mnie odnalazłeś. Artuś! – zwrócił się do syna i zabrzmiało to troszkę, jakby pieskowi wydawał polecenie. – Leć szybko po moją torbę. Widzisz? Tak wygląda

praca lekarza. Zawsze na posterunku, zawsze dla innych – pouczył go przy okazji.

Artur, który nienawidził tego zdrobnienia, z czego zdawali sobie sprawę wszyscy w mieście, z wyjątkiem jego ojca, odwrócił się na pięcie, chyba chętnie wykorzystując pretekst, żeby choć na chwilę odejść.

Hubert usiadł na wskazanym krześle, oddychał, wkładając w to wszystkie zasoby sił. A Wiktor, dumny z siebie już w swojej ulubionej roli lekarza, rozpiął mu szybko guzik koszuli, przyłożył dwa palce do szyi, a kiedy tylko dostał torbę, zaczął mu udzielać pomocy.

– Trzeba cię zawieźć na oddział – powiedział szybko. – I zostawić do obserwacji. Nie chciałbym robić paniki, ale to wygląda mocno niepokojąco.

Miał rację. Tak fatalnie Hubert nie czuł się jeszcze nigdy.

– Panie ordynatorze! – Kelnerka podeszła i dygnęła przed nim, jakby był co najmniej jakimś hrabią. Nawet sobie chyba z tego nie zdawała sprawy, ze stresu działała odruchowo. – Potrzebna jest pana decyzja.

– Na litość boską! Nic beze mnie nie potrafią zrobić – pożalił się Wiktor, a jego syn w tym momencie odwrócił gwałtownie głowę i znowu zaplótł swoje szczupłe palce. Sprawiał wrażenie ledwo żywego i raczej nieszczęśliwego przed przynajmniej teoretycznie najpiękniejszym dniem w życiu.

No tak – domyślił się Hubert. – Nic nie potrafią sami zrobić, bo we wszystko się wtrącasz i o wszystkim chcesz decydować, a jeśli ktoś zrobi to za twoimi plecami, to na sto procent skrytykujesz.

To było dla niego całkowicie jasne.

– Mam tu chorego człowieka, który walczy o życie, a wy mi głowę zawracacie! – pieklił się dalej Wiktor.

Dziewczyna się nie odezwała. Była kompletnie skołowana, jak każdy człowiek w toksycznej relacji, który nie może się odnaleźć w chorych zasadach. Samemu nie wolno, zapytać nie wolno, to co w takim razie robić?! – wołało jej spojrzenie.

– Spokojnie. – Hubert wstał. Opanował drżące dłonie i głos. – Już mi lepiej – powiedział. – To był tylko moment. Dziękuję, że mi udzieliłeś pomocy.

Wiktor wyraźnie uwielbiał tę rolę zbawcy ludzi, pomocnika, człowieka, którego działania decydują o życiu innych. Uspokoił się trochę.

– Posiedź jeszcze tutaj chwilę, zjedz to. – Podał mu jakąś białą tabletkę. – Proszę o wodę! – szybko huknął na kelnerkę, a ta pobiegła, nie zastanawiając się ani przez moment nad tym, że w sumie to nawet nie jest jej szef i nie ma prawa jej wydawać takich poleceń.

Wszyscy tu wyraźnie byli sterroryzowani nadchodzącym ślubem i presją idealnego wydarzenia, godnego tak znamienitego klienta. W sposób widoczny mieli dość.

Hubert nie wiedział, co połknął, popił chłodną, bardzo przyjemną w smaku wodą. Cokolwiek to było, po chwili faktycznie poczuł się lepiej. Przerażenie nieco ustąpiło. Słyszał, jak Wiktor odpowiada podniesionym tonem na kolejne pytania personelu, zmienia zdanie co do swoich dyspozycji i szarogęsi się jeszcze gorzej niż Makarski.

Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby jego przypuszczenia mogły okazać się prawdą. Ten gość ewidentnie nie panował nad emocjami, zdecydowanie miał dwie twarze, a także odpowiednie umiejętności, by dokonać takiej zbrodni. Brakowało tylko jednego elementu. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma motywu. Po co szanowany ordynator tydzień przed ślubem jedynego syna miałby mordować jakiegoś zwyczajnego informatyka, który żył sobie

własnym życiem, nikomu nie wadząc? A zaraz potem równie szarą staruszkę? W jakim celu miałby to robić?!

Myśli wirowały Hubertowi w głowie.

Co łączy te dwie osoby? Może Wiktor ich kiedyś leczył? Może istniała w związku z tym jakaś tajemnica? Popełnił błąd lekarski i bał się, że to wyjdzie na jaw?

Hubert nie kojarzył żadnych historii zdrowotnych związanych z ofiarami walewickich morderstw, ale na wszelki wypadek należało to sprawdzić. Trop wydawał się dość dziwny, ale Hubert zdawał sobie sprawę, że tutaj nie ma co liczyć na typowe rozwiązanie czy motyw. Jeśli nie rabunek, nie zemsta, nie miłość, to może strach?

Ale czy Piotr Maszkowski byłby w stanie skutecznie kogoś szantażować? Trudno mu było w to uwierzyć. Już prędzej pani Bronisława, która kilka razy w obronie swoich religijnych wartości szła na wiece, wymachując transparentami z energią, o jaką jej nie podejrzewano. Ale Piotr?

Hubert pamiętał, jak kiedyś na szkolnej imprezie zabrakło masła do sprzedawanych w bufecie kanapek. Rodzice angażowani są przez szkołę w najdziwniejsze aktywności. Wtedy była to masowa produkcja kawałków bagietki z różnymi dodatkami. Szło jak woda i szybko zabrakło składników. Po to nieszczęsne masło wysłano właśnie Piotra. Owszem, impreza miała miejsce w niedzielę, może nie jest to najprostsze zadanie w taki dzień robić zakupy. Ale z drugiej strony też i nie jakaś specjalna filozofia. Po prostu wystarczy znaleźć najbliższą całodobową żabkę.

Żona Piotra, Olga, od razu dziwnie wtedy zareagowała, jakby wiedziała, że jemu się nie uda, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Po prostu dyrektorka złapała pierwszego stojącego obok mężczyznę i wydelegowała z tym zadaniem.

Czekali cztery godziny. Facet ciągle przysyłał jakieś esemesy, że jest tu, za chwilę znów gdzie indziej, meldował postępy, a masła jak nie było, tak nie było. W końcu impreza się skończyła, kanapki poszły z serkiem śniadaniowym, a Piotr już nie dotarł na miejsce.

Dobry człowiek, jak to się mówi, ale nie radził sobie z niektórymi sprawami. Prawdopodobnie nie ogarnąłby skomplikowanej akcji z szantażem.

Jednakowoż trop mógł okazać się słuszny. Być może Wiktor nie bez powodu był taki nerwowy. Może w jego życiu kiedyś wydarzyło się coś dramatycznego, o czym nikt nie wie. I miał naprawdę wiele niewiadomych, niezwykle trudnych do przewidzenia powodów, by podjąć dramatyczną decyzję o zbrodni. Orłowski był bardzo sprawczym człowiekiem, zawsze brał życie w swoje ręce. Niczego nie pozostawiał przypadkowi. Czy byłby gotów na takie ryzyko?

Hubert czuł, jak w tym momencie nieco gwałci swój mózg, nakłaniając go prawie siłą, by znalazł potrzebną mu logikę. Chodził nerwowo od ściany do ściany i patrzył przez okno, jak syn Wiktora, obiecujący absolwent medycyny, schowany za kontenerem od śmieci odpala papierosa za papierosem. Wyglądał jak kupka nieszczęścia.

Coś było zdecydowanie na rzeczy. Tylko jakie z tego wynikały wnioski? Na litość boską, aresztować go czy nie?! Robić takie zamieszanie? Ryzykować?

W szkole policyjnej jeden z wykładowców straszył ich kiedyś, że praca w komisariacie to nie tylko wcześniejsza emerytura, stałe zatrudnienie i państwowa pensja, ale przede wszystkim ogromna odpowiedzialność. Że być może kiedyś przyjdzie im podejmować decyzje, których wpływ może się okazać tak wielki, że wręcz trudny do określenia. Będzie dotyczyć ludzkiego życia i sytuacja

nie zostawi im zbyt wiele czasu do namysłu. Hubert miał jeszcze moment.

Wiktor znajdował się w pomieszczeniu obok. Na pewno na oczach wielu osób nie wyciągnie skądś kolejnego sztyletu i nie zabije niewinnej kelnerki za to, że nierówno ułożyła serwetki.

Chociaż…

– Tłumaczyłem wam! – wrzeszczał Wiktor. – Bierzesz linijkę i mierzysz odległość od brzegu stołu do serwetek!

Hubert zrobił kilka kroków i zerknął w tamtą stronę zaskoczony, że z takim wyprzedzeniem nakrywają. Ale nie, to był tylko próbny stoliczek i Wiktor pastwił się nad obsługą, mimo iż na oko Huberta wszystko tam było zrobione perfekcyjnie.

– Tak robią w angielskich domach! Każdy przyzwoity pracownik restauracji powinien znać te sposoby. – Doktor pokazywał, jak mierzyć odległość od brzegu stołu do pierwszego sztućca.

Hubert był w szoku i już się nie dziwił, że nie zrobił w życiu kariery. Jak widać, zwracanie uwagi na szczegóły przynosi skutki. Jemu nawet by w głowie nie postało zajmować się takimi głupotami.

Ocierał pot z czoła. Nigdy nie spotkał się jeszcze z takim zjawiskiem, żeby z człowieka tak się lało, nawet po najcięższym treningu tego nie doświadczył. Krople potu płynęły mu strumieniami.

Co robić? Jeśli go aresztuje, nie mając żadnych dowodów, ośmieszy się, wywoła nieprawdopodobny skandal, zaryzykuje swoją i bez tego mizerną karierą oraz opinią człowieka o zdrowych zmysłach. A doktora i tak będą musieli wypuścić po dwudziestu czterech godzinach, bo przecież w tak krótkim czasie raczej nie znajdą mocnych dowodów. Jak dociec, jaką tajemnicę ukrywa ten człowiek? Przekopać szpitalną dokumentację? To

może trwać tygodniami. Przesłuchania świadków, szukanie tropów.

Bez sensu…

Ale co się z kolei stanie, jeśli Hubert nie zareaguje? Uda, że nie połączył kropek? Nikt mu przecież niczego nie udowodni. Podejrzewanie Wiktora nie przyszło do głowy nawet Makarskiemu.

Pierwsza myśl była bardzo kojąca. Pojedzie do domu i wszystko rozejdzie się po kościach. Powoli przygotuje się do sprawy, zacznie grzebać wokół tematu i może coś znajdzie. Definitywnie wykluczy Wiktora albo w międzyczasie sprawa po prostu się rozwiąże.

Natomiast druga myśl, która pojawiła się błyskawicznie zaraz po tej pierwszej, okazała się przerażająca. A jeśli dojdzie do kolejnego morderstwa?

Dwie niewinne istoty. Czy istniało ryzyko, że pojawi się trzecia? Oczywiście, że tak.

Wiktor właśnie podszedł do okna i sprawdzał coś w telefonie. Wszystkie głosy ucichły. Pracownicy rozpierzchli się do swoich obowiązków, szczęśliwi, że doktor Orłowski na nich nie patrzy. Artur też gdzieś zniknął. Nie uczestniczył w przygotowaniach i raczej w żadnej sprawie nie miał tu prawa głosu.

Myśli szalały w głowie Huberta jak w źle ustawionej wirówce. Próbował wyobrazić sobie ten moment, kiedy dzwoni do komisarza Łódzkiego, dzieli się z nim swoimi podejrzeniami.

I to był właściwie argument, który przeważył. Wyobraził sobie jego oburzenie, zaskoczenie, a także pytanie o dowody, o konkrety. A tych nie miał. Potem pewnie nastąpiłyby drwina i lekceważenie.

Syn Wiktora właśnie odjechał, powoli mieszcząc szerokie, zapewne zakupione przez ojca auto w ciasnej bramie. A pan doktor, całkowicie odmieniony, niczym uosobienie spokoju

prowadził właśnie rozmowę z kimś ze szpitala. Jakby się stał innym człowiekiem. Wiele osób znało go właśnie takiego.

Nikt mi nie uwierzy – uświadomił sobie Hubert.

Sam sobie nie wierzył.

ROZDZIAŁ 10

Esemes przyszedł następnego dnia wcześnie rano.

Szykuj się dziś na wieczór. Moi starzy wyjechali, będę miał wolną chatę, sypialnię, pokój, łazienkę, co tylko chcesz.

Wika widziała wyraźnie, co zostało napisane, ale w głowie wyświetlały się jej wyłącznie czerwone jak płomień słowa: „Dziś prześpię się z tobą. Bądź gotowa".

Najpierw wpadła w panikę.

Pewnie specjalnie dał mi znać rano, żebym miała szansę zrobić, co trzeba – pomyślała przestraszona.

Czyli co? Nie miała kompletnie pojęcia ani nikogo, kto mógłby jej teraz odpowiedzieć na nurtujące ją pytania. Wydepilować się? Czy to już niemodne? Ubrać jakoś? Kupić sobie bieliznę? Nic odpowiedniego przecież w domu nie miała. Matka zamawiała dla niej na Allegro bawełniane majtki i wygodne staniki. Jeszcze była z siebie dumna, że te ostatnie nie mają żadnych drucików i są oddychające.

Wika szczerze wątpiła, czy dla Franka ma to jakiekolwiek znaczenie. Dokąd w ogóle miała teraz pójść, żeby zrobić zakupy? W tym beznadziejnym małym miasteczku był tylko jeden sklep,

w którym sprzedawano bieliznę nieco odważniejszą niż to, co podobało się mamie. Były tam suknie wieczorowe i wizytowe garnitury oraz eleganckie buty. Prowadziła go pani Jadwiga, siostra kobiety, z którą mama pracowała. Jeśli Wika tam się pojawi, zacznie mierzyć czarne biustonosze i pasy do pończoch, to zanim dotrze do domu, matka o wszystkim będzie już wiedziała. Zamówienie przez internet nie dotrze na czas. Jedyne wyjście to zerwać się z lekcji, pojechać do Krakowa, tego wielkiego pięknego miasta, w którym ludzie mogą być anonimowi i żyć swoim własnym życiem bez konieczności tłumaczenia się na każdym kroku ze swoich decyzji, załatwić, co trzeba, i wrócić. Oczywiście pod warunkiem, że rodzice się nie dowiedzą.

Czuła, że cierpliwość nauczycieli dobiega kresu. Wczoraj opuściła dwie pierwsze lekcje, spóźniała się notorycznie. A do tego spełniło się jej marzenie. Trochę jednak straciła ten wizerunek idealnie grzecznej dziewczynki i świetnej uczennicy, bo wychowawczyni po raz pierwszy zaczęła się na nią faktycznie denerwować. A jedna lub dwie niegrzeczne odpowiedzi rzucone w ciągu ostatnich dni sprawiły, że już nie tak chętnie przymykano oko na jej wybryki. Jeśli nie przyjdzie do szkoły na cały dzień, zostanie to odnotowane, a system Librus natychmiast wyśle do matki wiadomość. Ledwo się wieczorem wytłumaczyła z tych dwóch nieobecności, ale cały dzień na pewno nie przejdzie. Poza tym matka z pewnością zapyta, gdzie była.

Koszmar, po prostu koszmar.

Wika najchętniej wybiegłaby teraz na zewnątrz, żeby pospacerować i zebrać myśli, ale musiała zejść na śniadanie. Do tej okropnej rodzinnej kuchni, w której każdy jej się przyglądał. Zjeść kanapki, udając, że wszystko jest w porządku, ponieważ jeśli mama powzięłaby jakiekolwiek podejrzenie, natychmiast zasypałaby ją gradem pytań. W przeciwieństwie do ojca, który nie

widział niczego, mama była jednak dosyć czujna. Oczywiście pewne sprawy także dla niej pozostawały zakryte. No, ale tu nie miała szans. Wika starannie się ukrywała.

Poćwiczyła w pokoju grzeczny uśmiech, który tak łatwo myli dorosłych, przygładziła włosy i poszła do kuchni, grzecznie witając się w progu.

Zjadła szybko posiłek, wsiadła wyjątkowo punktualnie do samochodu i wcale się nie odzywała, co nawet miało pewne pozytywne aspekty, bo Kamil też się nie ociągał. Milczeli właściwie wszyscy. Mama, kiedy nie musiała popędzać ich, strofować i udzielać porad, dlaczego powinni być bardziej zdyscyplinowani, też nie miała im właściwie wiele do opowiedzenia. Milczała i była smutna. Ostatnio ciągle znajdowała się w takim stanie.

Wika jej współczuła. To musi być okropne tak zasuwać od rana do wieczora i być w związku z beznadziejnym facetem bez serca i uczuć. Nie chciała być taka. Za nic nie zamierzała posłuchać ani jednej ich rady, zrobić żadnej z tych rzeczy, które polecali jako słuszne, żadnego uczenia się, wzorowego zachowania, przychodzenia punktualnie na lekcje, świadectwa z paskiem i przyjaźnienia się z dziewczynkami akceptowanymi przez rodziców. Do czego by ją to doprowadziło? Do życia takiego, jak oni mieli?!

Aż się wzdrygnęła. Nie wiedziała, dokąd poprowadzi ją Franek. Nie znała zbyt wielu dróg. Ale co do jednego była przekonana na pewno: nie chce tego, co miała w domu.

W szkole szybko przebrała buty, zamknęła je w szafce, po czym powlokła się do klasy, zła na siebie, że od tego zaczęła dzień. Powinna właśnie nie zmienić obuwia. Przyjść w jakichś ubłoconych adidasach i rzucać się nauczycielom w oczy. Tylko że

błota nie za bardzo było skąd wziąć, bo pogoda dopisywała i zapowiadał się upalny czerwiec. Piękne wakacje.

Pomyślała, że ucieknie gdzieś z Frankiem, wyjadą chociaż na dwa tygodnie, użyje jakiegoś podstępu, to się da wymyślić. Wreszcie będzie mogła być z nim sama. Może nawet to wspólne sypianie nie okaże się tak okropnym doświadczeniem, jak się obawiała?

Dziewczyny opowiadały cuda o tym, jaki Franek jest świetny w łóżku. Błyszczały im wtedy oczy i Wika czuła na każdym kroku, że jej zazdroszczą, interesują się, są ciekawe każdego szczegółu jej opowieści. Uważały, że wiele przed nimi ukrywa. Tymczasem ona po prostu nie miała wiele do powiedzenia. Bycie w centrum uwagi ją stresowało.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła, może raz w ósmej klasie, jak wróciła z olimpiady wojewódzkiej, ale wtedy jej osiągnięcia fascynowały głównie nauczycieli albo rodziców jej koleżanek w klasie. Przyjmowano wszystkie jej sukcesy jak coś oczywistego. Była trochę jak Lewandowski, choć na zupełnie inną skalę. Przyzwyczajono się do jej sukcesów i ludzie gadali o niej tylko wtedy, kiedy powinęła jej się noga, co w jej przypadku, w przeciwieństwie do wielkiego mistrza piłki, prawie się nie zdarzało.

Weszła do klasy, zastanawiając się, co mogłaby zrobić, żeby mieć mocniejszy start. Żeby jej nie potraktowano jak kujonki.

Nauczyciel od razu się do niej uśmiechnął. Skrzywiła się więc w odpowiedzi, ale nie zdążył tego zauważyć, bo odwrócił głowę i pilnie sprawdzał coś w komputerze. Nie wyszło. Na szczęście nie chodziła z Frankiem do jednej klasy, miała więc na lekcjach odrobinę spokoju. W czasie przerw natomiast chowała się do toalety, żeby się na niego przypadkiem nie natknąć.

To było coś zupełnie innego niż przez ostatnie trzy tygodnie, kiedy obściskiwali się pomiędzy szafkami albo za szkolnym garażem. Nie nauczyła się jeszcze palić papierosów, a piwo ją obrzydzało, wstrętne, gorzkie i śmierdzące. Jedna z byłych dziewczyn Franka powiedziała jej, że z czasem przywyknie, podobno to jak z czarną kawą. Najpierw ci nie smakuje, a potem stajesz się koneserem. Wika zamierzała trenować picie przez całe wakacje.

Nie zmieniało to jednak faktu, że niczego nie wymyśliła w kwestii dzisiejszego wieczornego spotkania i czuła się tak bardzo nieprzygotowana, jak to tylko możliwe. Słabo sobie radziła w tej nowej sytuacji. Zwykle przed każdym sprawdzianem miała wszystko przećwiczone i to z dużym wyprzedzeniem, a dziś godziny na zegarku upływały bezlitośnie, a ona nie wiedziała, co robić.

Wymknęła się ze szkoły równo z wybrzmiewającym dzwonkiem po ostatniej lekcji i nawet nie przebrawszy butów, po prostu uciekła. Musiała się schować. Biegła chodnikiem, zanim jakikolwiek uczeń zdążył opuścić budynek szkoły. Nie chciała się na nikogo natknąć. Gnała przez siebie dość długo. W Walewicach było to niebezpieczne. To miejscowość, w której łatwo uwierzyć w szalone teorie, że ziemia jest płaska. Miało się wrażenie, że jeżeli ktoś zrobi zbyt wiele kroków w jedną stronę, to spadnie w przepaść, planeta się skończy.

Zamiast tego jednak wpadła z ogromnym impetem na doktora Oskara Lenartowicza. Znowu! O rany, ten to faktycznie był wszędzie.

– Dzień dobry – powiedziała wystraszona, bo znów zaskoczenie sprawiło, że zadziałały w niej odruchy. – Przepraszam, spieszyłam się.

– To widzę. Wika, kochanie – powiedział do niej miękkim serdecznym głosem, od którego niestety rozpływało się jej spragnione uwagi i czułości serce. – Proszę cię, jeśli masz jakiś problem, powiedz mi. Pewnie myślisz, że twoje kłopoty cię przerastają, że nikt na świecie takich nie ma?

Odruchowo kiwnęła głową, tak ją zaskoczył.

– Ale serio, my też byliśmy kiedyś młodzi, ja, twój tata…

No i to był właściwie koniec rozmowy oraz jakiegokolwiek zaufania. Wika przypomniała sobie, że doktor jest faktycznie jak ojciec, z tego pokolenia. Nie mogli nic wiedzieć o seksie, miłości. W każdym razie, kiedy patrzyła na swoich rodziców, była gotowa uwierzyć, że serio dzieci przyniósł im bocian albo znaleźli je w kapuście. Nigdy się do siebie nie przytulali. Już nie pamiętała, kiedy ojciec ostatni raz pocałował mamę, w ich sypialni wiało chłodem, nie czekali na chwilę razem, nie dawali sobie tajemnych znaków, nic.

Podniosła głowę i spojrzała na doktora.

No tak, jakiż on był do ojca podobny, nawet zakola na czole rysowały mu się w identycznym kształcie. Przez chwilę ogarnęła ją rozpacz, że naprawdę nie ma wśród dorosłych nikogo, z kim można byłoby tak szczerze porozmawiać, zapytać wprost bez obawy, że wpadną w histerię, zaczną moralizować, płakać i opowiadać o swoim zniszczonym czy zmarnowanym życiu.

Machnęła więc tylko dłonią i pobiegła dalej. Przynajmniej tyle sukcesu, że udało jej się nie powiedzieć grzecznego jak zawsze ,,do widzenia”. Dobre i to.

ROZDZIAŁ 11

Stał pod jej domem i czekał. Auto zaparkował daleko. Obliczył, ile mniej więcej czasu zajmie jej dotarcie tutaj ze szkoły. Była nawet szybciej. Domyślił się więc bez trudu, że gnały ją silne emocje.

Wiedział, jak ciężko stawia się kroki, kiedy człowiek niby idzie w stronę domu, ale jednak wolałby się oddalić.

Może tej nastolatce nie zostało już aż tak wiele czasu. Być może da się coś w tej sprawie zrobić.

Poprawił swój plecak, słusznie ciężki, z przygotowanym przebraniem i odpowiednim narzędziem zdolnym rozwiązać wiele problemów. Szybko i precyzyjnie. Tych sztyletów miał jeszcze kilka. Oby wystarczyło. Czuł się niezwykle pewnie.

Znał wszystkie szczegóły prowadzonego śledztwa. Jak dotąd nikt nie wpadł nawet na cień słusznego podejrzenia w sprawie poprzednich morderstw. Nic nie mieli. Ani policja, ani żadna inna osoba. Podsłuchiwał czujnie, jak mieszkańcy miasta rozmawiają. Nie było to wcale trudne. Wszędzie praktycznie toczyła się jedna dyskusja. Wiele osób pewnym siebie tonem wygłaszało poglądy, zgłaszali propozycje, argumentowali, upierali się przy swoim, ale nikt nawet się nie zbliżył do słusznego tropu. W komisariacie

również. Żadnych wniosków, śladów, dowodów. Puste raporty bez żadnych istotnych danych.

To mu dodało pewności. Zaczął snuć kolejne śmiałe plany.

ROZDZIAŁ 12

Hubert wpadł do domu tylko na chwilę. Nie wziął do pracy laptopa. Sądził, że mu się nie przyda, ale jednak pilnie potrzebował kilku plików. Nie spodziewał się nikogo zastać. W przeciwieństwie do żony nie znał na pamięć planów lekcji swoich dzieci. Złapał się na takim paskudnym uczuciu, że nie chce się z żadnym z nich spotkać. Poziom jego odporności na dziwne aluzje i pretensje stanowczo był dość niski, a jeszcze do tego wszystkiego ciągle nie podjął decyzji, czy zwierzyć się komukolwiek ze swoich podejrzeń, czy też się nie wygłupiać.

Presja odpowiedzialności mocno go przytłaczała.

Przejrzał już dokumentację medyczną zarówno Artura, jak i pani Bronisławy. Faktycznie oboje na różnych etapach życia mieli styczność z doktorem Wiktorem, ale nie przechodzili żadnych podejrzanych chorób. Same banały, nadciśnienie, jakieś przytkane tętnice, nieprawidłowe wyniki EKG. Pani Bronisława nie miała nawet żadnej porządnej operacji, podczas której Wiktor mógłby zrobić błąd w sztuce. Serio nie było się czego złapać. Hubert bił się z myślami, popadając z jednej skrajności w drugą. To był pewien, że jego podejrzenia są słuszne, i wszystko układało mu się w logiczną całość, to znowu pukał się w głowę, bo nic nie trzymało się kupy.

Rozejrzał się za swoim laptopem. Nie mógł go znaleźć. Sprawdził w kuchni, w salonie na stole, ale sprzętu nigdzie nie było. Wbiegł więc po schodach na górę. Drzwi do sypialni były uchylone, widać było ogromną szafę, na środku wielkie lustro, a w nim odbijała się jego żona. Aż przystanął gwałtownie. Marta przymierzała ten piękny fioletowy komplet z koronkami, który podarował jej chyba z milion lat temu na jakieś walentynki, kiedy jeszcze takie głupoty ich kręciły.

Zrobiło mu się gorąco. Czyżby czas się cofnął, a on znowu miał u boku kobietę, którą kiedyś tak kochał? I nagle jakby go ktoś chlusnął w twarz lodowatą wodą.

To była Wika!

To ona włożyła bieliznę matki i wdzięczyła się przed lustrem, oglądając dokładnie swoją figurę. To z tyłu, to z przodu, to znów z boku.

Mało brakowało, a byłby się udusił. Wycofał się błyskawicznie, zadowolony, że ma na stopach skarpetki, bo odruchowo zdjął buty. Jak w przyspieszonym filmie wykonał wszystkie kroki, tylko że w odwrotnym kierunku. Zbiegł tyłem po schodach, nawet nie miał pojęcia, jakim sposobem nie spadł do przedpokoju. Wreszcie oparł się o drzwi wejściowe. Oddychał. Okropne uczucie.

Kiedy Wika była dziewczynką, oczywiście kąpał ją, przebierał, ale teraz od lat, rzecz jasna, nie widział jej bez ubrania i nigdy by sobie nie pozwolił, żeby wejść do jej pokoju bez pukania. Nie spodziewał się jej jednak zastać w swojej własnej sypialni i to jeszcze w takim stanie.

Może to normalne? – powtarzał sobie. – Po prostu taki etap rozwoju, dorastanie. Dziewczyny pożyczają ciuchy od rodziców. Uspokój się – nakazał sobie kompletnie bezskutecznie.

Przycisnął obie ręce do swojego skołatanego serca, które ostatnio przeżywało wstrząs za wstrząsem.

Ile jeszcze się zmieści? Jak wiele wytrzyma? Naprawdę nie umiał tego oszacować.

Jeszcze raz cichuteńko otworzył drzwi domu, wyszedł na zewnątrz, po czym wkroczył do środka, mocno trzaskając.

– Hej, hej! – zawołał od progu. – Jest tu kto?! Przyjechałem!

Potem powoli zdejmował buty, trzaskał drzwiczkami od szafy, mimo że nie miał na sobie żadnej kurtki, po czym pogwizdując zdecydowanie mocniej, niż wypadało, ciężkimi krokami wchodził po schodach, powolutku.

Kiedy wszedł do sypialni, nikogo nie zastał. Aż jego przygotowany starannie wystudiowany uśmiech zamarł mu na ustach.

Gdzież ona była? Uciekła do łazienki? – zastanawiał się.

Dzieci miały pokoje na dole, tak sobie to kiedyś z Martą oboje obmyślili w tych jakże optymistycznych czasach, gdy uważali, że będzie im potrzebna prywatność. Ciekawe na co. Chyba tylko po to, by się kłócić. Sypialnia służyła teraz głównie do snu i składania zaległego prania, które czekało na segregację i odniesienie do szaf.

Westchnął.

Gdzie ta Wika? – zastanawiał się.

Nie wypadało mu jednak otwierać drzwi kolejnych pomieszczeń i poszukiwać córki, skoro udawał, że nie ma pojęcia, iż ona jest w domu. Wziął więc laptop, który odnalazł się na komodzie pod oknem, po czym, nadal radośnie pogwizdując, zszedł na dół. Rozejrzał się jeszcze.

– Hej, hej! Jest tu ktoś? – zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Wyszedł więc, wsiadł do samochodu i pojechał do pracy. Miał okropne poczucie, że coś strasznie spierdzielił. Nie przychodziło mu jednak do głowy, co mógłby zrobić inaczej. Wejść do pomieszczenia, gdzie jego córka stała

prawie nago? Szukać jej po całym domu? Ni z gruszki, ni z pietruszki rozpocząć jakąś rozmowę o tych sprawach? O uświadamianiu? Przyznać się, że ją widział?

To by było strasznie żenujące. Poza tym pocieszył się, że przecież to nie on jest od tego, żeby uświadamiać dziewczynkę. Wobec chłopca też tego nie zrobił, bo uznał, że w dobie internetu dzieciaki nie mają pytań.

Niby wszystko logiczne, ale jednak kiedy dotarł na parking pod komisariatem, dłuższą chwilę siedział w samochodzie i oddychał. Miał wrażenie, że to jest szczyt jego możliwości. Wszystko poza tym go przerasta.

ROZDZIAŁ 13

Wika przygotowała się, jak umiała. Wzięła długi prysznic, posmarowała balsamem matki, włożyła jej nieco za dużą bieliznę, która i tak była najlepszym, co udało się znaleźć, poperfumowała, po czym zwiała z domu, zanim ktokolwiek do niego wrócił.

Okropnie się zdenerwowała, kiedy ojciec niespodziewanie się pojawił, ale na szczęście chyba tylko czegoś zapomniał, co mu się zdarzało, bo szybko wyszedł. Nie zauważył jej. To by dopiero była żenada, gdyby ją zastał w takim momencie.

Postanowiła przeczekać w jakimś ustronnym miejscu, najlepiej w lasku na obrzeżach miasta. Czasem ktoś tam spacerował, ale z rzadka. Łatwo się było schować. Miała zamiar dotrwać tam aż do wieczora, a potem pojechać do domu Franka.

Kiedy wyprowadzała rower, odniosła dziwne wrażenie, że ktoś jej się przygląda. Rozejrzała się czujnie wokół. Otoczenie jak zawsze doskonale jej znane: dom, ogród, droga, nic takiego. Kiedy już się uspokoiła, zaczęła zamykać bramkę, gwałtownie się odwróciła i wtedy pomiędzy drzewami zobaczyła jakąś sylwetkę. Wysokiego człowieka, raczej mężczyznę w ciemnym ubraniu i czapce na głowie, mimo że było dość gorąco.

To zawsze wzbudzało niepokój, a w sytuacji, gdy wszyscy gadają o grasującym w okolicy mordercy, może człowieka wpędzić

w prawdziwą panikę. Ruszyła szybko spod domu. Pedałowała, a nogi nieco jej się trzęsły. Zastanawiała się, czy wobec powyższego to jest taki świetny pomysł, żeby się kierować w stronę lasu. Przypomniały jej się te wszystkie niedobre przypuszczenia, że następna będzie nastolatka. Gdyby ona sama chciała kogoś zamordować w tym mieście, wybrałaby właśnie lasek.

Niedługo przyjdą tam deweloperzy i postawią osiedle – mawiała często babcia. Ale póki co rosły tam dziko drzewa i trawa, można było nawet spotkać sarny.

– Uspokój się – poradziła sobie.

Jakoś trzeba dotrwać do końca tego okropnego dnia, żeby zaprezentować się przed Frankiem w dobrej formie.

Jechała szybko. Ojciec policjant oczywiście zadbał o to, żeby miała świetnie przygotowany do drogi rower, porządne światła, hamulce, które regularnie sprawdzał, a także duże lusterka po dwóch stronach. Dzięki temu mogła obserwować, co się dzieje za nią. Pozornie nic niepokojącego. Samochody wymijały ją w bezpiecznej odległości. Znajdowała się na głównej drodze, skręciła więc w boczną uliczkę, a potem kolejną.

I wtedy to zauważyła. To auto cały czas się jej trzymało. W niewielkich Walewicach trudno o taki zbieg okoliczności, że ktoś cały czas jedzie tą samą drogą. Tym bardziej że specjalnie kluczyła.

Spanikowała, omal nie wpadając pod nadjeżdżającą z naprzeciwka skodę. Szybko zeskoczyła z roweru i wyszła na chodnik.

Ojciec jej tłumaczył, że rower to pojazd jak każdy i powinien poruszać się drogą, ale ona nie czuła się na siłach. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje i ktoś zwyczajnie po niej przejedzie, bo kierowca nie zdąży zahamować. Ruszyła więc chodnikiem,

a potem zeskoczyła i pchała rower. Nawet pedałowanie stało się za trudne.

Auto zniknęło. Nie mogło oczywiście w tym tempie poruszać się po drodze. Była jednak pewna, że gdzieś jest i serio ktoś ją śledzi. Postanowiła, że nie pojedzie jednak do lasu i nie będzie się plątać po mieście.

Wróciła do domu. To było ostatnie miejsce, w którym chciała się teraz znaleźć, ale nie miała się gdzie podziać. Żadne koleżanki nie wchodziły w grę. Te stare nie zrozumiałyby jej problemów, a nowe napawały ją przerażeniem. Pomyślała przez chwilę o Franku i uświadomiła sobie, że choć bardzo kocha swojego chłopaka, podziwia go za wiele rzeczy, to jednak teraz, w tej niezwykle trudnej sytuacji, nie miała ochoty do niego pójść, zwierzyć się ani prosić o pomoc.

Trochę ją to zaskoczyło.

Weszła do domu, mocno obejmując się ramionami. W kuchni zobaczyła ojca.

– Skąd się wziąłeś? – zapytała zdumiona zamiast przywitania.

– Mieszkam tu – odparł równie nieprzyjemnym tonem. – Jakbyś nie zauważyła.

– Czasem faktycznie ciężko – odparowała. – Wchodzisz, wychodzisz, o nic nie dbasz, więc się nie dziw, że ktoś może się nie zorientować, że jesteś właścicielem, a nie zwykłym lokatorem.

Czuła, że uderzyła mocno. Ojciec aż poczerwieniał.

– Przyszedłem po ładowarkę do laptopa – wyjaśnił jej, chociaż nie pytała. Zachował spokój, ale wyraźnie widziała, jak dużo go to kosztowało. – I za piernika nie mogę jej znaleźć. Straszny chaos w tej chałupie.

– Nic w tym dziwnego, skoro tylko mama sprząta.

– To czemu jej nie pomagacie?! – Tym razem już podniósł głos.

– A czemu ty jej nie pomagasz? – odbiła.

– Pracuję.

– A ja się uczę. Poza tym ona też pracuje.

Nagle opadły jej ramiona, a siły jakoś się ulotniły. Przerażenie wróciło.

Usiadła ciężko przy stole w kuchni. Tata to był beznadziejny kandydat na rozmówcę, jednak ze wszystkich, których znała, jedyny nadający się do tego celu. Musiała mu opowiedzieć o tym, co się chwilę temu wydarzyło. Strach był zbyt duży.

– Posłuchaj – zaczęła. – Uważam, że jesteś beznadziejnym policjantem, okropnym ojcem i tak samo okropnym mężem, ale muszę ci coś powiedzieć. Ktoś mnie śledzi.

Dobrze, że wyrzuciła z siebie to wszystko na jednym wydechu, bo ojciec wyraźnie miał zamiar zareagować i po dwóch pierwszych zdaniach naskoczyć na nią bardzo intensywnie. Nie zdążył jednak, bo ostatnie przykuło jego uwagę na dobre.

– Co ty mówisz? Jak to cię śledzi? – skupił się natychmiast na tym, co najważniejsze, i to jednak zaimponowało Wice.

Posłała mu przecież niezłą wiązankę. A on zatroszczył się w pierwszej kolejności o jej bezpieczeństwo.

– Jakiś wysoki mężczyzna w ciemnej kurtce – powiedziała drżącym głosem.

Emocje brały górę. Bardzo się bała.

Święty Boże! – pomyślał Hubert. – To Wiktor!

Postawny facet i faktycznie nosił dżinsową ciemnogranatową kurtkę. Lubił się odmładzać takim strojem.

Hubert na moment zapomniał o wszystkim. Każdym okropnym słowie, zachowaniu. To było jego dziecko. Wika, córeczka. Nieważne, co teraz się między nimi działo, jej bezpieczeństwo należało chronić ponad wszystko.

– Nie ruszysz się z domu – zadecydował natychmiast, a ona nie wiedzieć czemu poczuła ogromną ulgę, choć przecież w tym

momencie niszczył jej plany. – Zaraz zadzwonię do komisariatu, niech przyślą kogoś, kto będzie miał oko na dom przez cały czas, także w nocy. A ja będę pilnował od środka. Na wszelki wypadek nie pójdziesz jutro do szkoły. Pal sześć oceny. Zresztą i tak chyba jest jakiś koniec roku. – Spojrzał na nią.

Boże! – pomyślała Wika. To ostatnie zdanie znów przypomniało jej, z kim ma do czynienia. – Jak można być tak nieprzytomnym? Tak bardzo oderwanym od rzeczywistości, w której żyje cała rodzina.

Owszem, zbliżał się koniec roku. Ojciec nawet nie wiedział, że Kamil poprawia zagrożenie z chemii. Miała zamiar jak zawsze przewrócić oczami albo strzelić jakąś kąśliwą uwagą. Ale trzeba było jednak tacie przyznać, że poczuła się trochę lepiej, kiedy powiedział, że zajmie się jej bezpieczeństwem. To jedno potrafił.

– Idę do siebie – westchnęła ciężko i poszła w stronę pokoju.

– Dlaczego uważasz, że jestem beznadziejnym mężem?! – krzyknął za nią Hubert.

Tak bardzo pragnął się czegoś w tej sprawie dowiedzieć. Może to właśnie Wika, dziwne dziecko o zaskakująco mocno wyrobionych poglądach, miało w tej kwestii jakieś informacje, których jemu brakowało.

Córka gwałtownie się odwróciła. Jakby to pytanie ją oburzyło.

– A jak sądzisz? – Pogarda w jej głosie aż się wylewała. – Nie dbasz o mamę, nie patrzysz na nią, nie interesujesz się niczym – zaczęła wyliczać. – Nie pytasz, jak jej minął dzień, nic nie wiesz o tym, czym żyje – mówiła coraz szybciej. – Pozwalasz, żeby sama wszystko przygotowywała, żeby ci robiła te cholerne kanapki, na które nie zasługujesz! – Znowu krzyknęła. – Kiedy ty ostatnim razem przygotowałeś jej posiłek? Szukasz ładowarki, narzekając, że jest bałagan. A kiedy ostatni raz załadowałeś zmywarkę?! Cokolwiek posprzątałeś? Sto lat temu – dodała z rozgoryczeniem.

– Nigdy nie będę taka jak ty, a mój chłopak też w niczym nie będzie do ciebie podobny.

Wypuściwszy tę ostatnią zatrutą strzałę, odwróciła się na pięcie i poszła.

Hubert został w zabałaganionej kuchni sam. Rozejrzał się wokół, jakby znalazł się tutaj pierwszy raz. Tak rzeczywiście było. Po tej tyradzie córki nic nie mogło pozostać takie jak kiedyś. Do dawnej nieświadomości nie miał już powrotu. Coś musiał postanowić.

Faktycznie. Codziennie po śniadaniu zostawał taki syf. Marta nie nadążała. Wstawała dość wcześnie, ogarniała dla wszystkich posiłki, czasem jeszcze rano jechała po bułki, bo ostatnio był z tym problem. Kamil jadł coraz więcej i nieraz zdarzało im się, że zaplanowali jakieś zakupy, a potem brakowało szynki, sera, pieczywa, pomidorów. Hubert podejrzewał, że chłopak gra nocami i przyrządza sobie posiłki, kiedy oni śpią.

Nie zmieniało to jednak faktu, że to Marta miała na głowie całą tę logistykę. Oczywiście oburzył się tymi wszystkimi oszczerstwami. Pomagał, kiedy tylko go poproszono. Też przecież jeździł do sklepu.

Ale Marta załatwiała wiele spraw także, kiedy nikt jej nie przypominał. No tak.

W pierwszym odruchu miał zamiar się bronić. Znaleźć sto tysięcy argumentów przemawiających za tym, że ma rację. Jest tutaj osobą skrzywdzoną. Miał jednak dość oleju w głowie, by wiedzieć, że w taki sposób opowiadają o swoim życiu wszyscy przestępcy. A także wszyscy ci najbardziej przegrani ludzie, jakich kiedykolwiek poznał.

Każdy zbrodniarz miał na swoje usprawiedliwienie mnóstwo wytłumaczeń, każdy rozwodnik spójną wersję, jak to żona zawiniła, każdy zdrajca rzewną opowieść o tym, jak mu było

ciężko. I nawet jeśli znajdowała się w tych historiach jakaś doza prawdy, to jednak Hubert doskonale sobie zdawał sprawę, że ta droga prowadzi donikąd.

Pamiętał jeszcze w szkole policyjnej, jak przewracali oczami przy niektórych przesłuchaniach. Sami niewinni. W więzieniach siedzieli w zdecydowanej większości ludzie przekonani o tym, że nic takiego strasznego w sumie nie zrobili. Nawet ci najbardziej okrutni. Mieli mnóstwo usprawiedliwień, wykrętów i wymówek.

Jeśli nie chciał przegrać życia, musiał spojrzeć prawdzie w oczy. A ta była dość nieprzyjemna. Jak ta brudna kuchnia, świetnie obrazująca jakość ich wspólnej rodzinnej egzystencji.

Wziął głęboki wdech, a potem zaczął układać sobie w głowie wnioski.

To prawda, że nic nie wiem o mojej żonie i pojęcia nie mam, czym żyje – pomyślał. – To prawda. – Poczuł ukłucie w okolicach serca, a słowa z ogromnym trudem układały mu się w zdania. – To prawda – powtórzył – że nie mam pojęcia, czym żyją moje dzieci, czego potrzebują. Tak mocno się zmieniły, jakby były kimś zupełnie obcym. To prawda, że wpadam i wypadam z domu, nie troszcząc się o nic, w przekonaniu, że praca wszystko usprawiedliwia.

Aż musiał się złapać stołu, tak zabolało. Wcale się nie dziwił, że niektórzy ludzie nie potrafią spojrzeć faktom w oczy. To doświadczenie tak trudne, że można tego nie przeżyć. Nagle zobaczył siebie w zupełnie innym świetle. Zamiast pełnego poświęcenia męża i ojca, który ledwo żyje od tego wysiłku zarabiania i troszczenia się o rodzinę, widział faceta, który bardzo się oddalił. Właśnie wtedy, kiedy zaczęło być trudno, pojawiły się wyzwania większe niż odprowadzenie córki do przedszkola czy włączenie jej bajki. Kiedy w jego związek wkradła się rutyna. W momencie, którego nawet nie zauważył, odpuścił.

Teraz z tego okropnego letargu budził go morderca.

Hubert czuł, jak robi mu się na przemian zimno i gorąco, a potem wziął do ręki telefon i zadzwonił na komisariat. Spraw było wiele, ale musiał zacząć od najważniejszej.

– Cześć, Mateusz – powiedział. – Słuchaj, dzwonię z ważną sprawą. Nie wiem, jak to traktować. Być może to fałszywy trop, ale Wika mówi, że obserwował ją dzisiaj jakiś obcy facet. Wysoki, w ciemnym ubraniu – dodał. – Proszę, pokręćcie się trochę koło naszego domu i miejcie oko na wszystko. Ponoć jeździ granatowym samochodem. Sprawdź na monitoringu koło domu kultury. Skręcała tam, jechała na rowerze, zobacz, czy rozpoznasz numery rejestracyjne tego auta. Dobrze wiesz, gdzie są kamery, nie ma ich dużo, ale może coś się udało złapać w tym samym momencie.

Pomyślał, że jeśli ten człowiek mieszka w Walewicach, to też zna rozmieszczenie tych niewielu punktów monitoringu, na które burmistrz dał pieniądze, wie również, że da się skręcić uliczkę wcześniej, będąc zupełnie niewidzialnym.

– Dobrze, przyjąłem – powiedział z pewnym ociąganiem Mateusz. – Jasne, potraktujemy sprawę poważnie. Tym bardziej że i tak kompletnie nie mamy się czego złapać. Zaraz jadę w stronę twojego domu i dam też znać Jackowi. Ale zanim powiadomimy Łódzkiego, proszę cię, przemyśl to. Twoja Wika ostatnio ma ciężki czas i dość dziwnymi metodami próbuje zwrócić na siebie uwagę.

– O czym ty mówisz? – zdenerwował się jeszcze bardziej Hubert, choć wydawało mu się, że jest już tak zestresowany, że nic nie jest w stanie tego przebić.

– Widzisz – odparł Mateusz – nauczyciele opowiadają, że się ostatnio spóźnia, ucieka z lekcji, jest notorycznie nieprzygotowana i pyskuje.

– Na pewno nie – oburzył się Hubert. – Wiedziałbym przecież o tym. Poza tym zastanów się, co ty pleciesz. To jest Wika, znasz ją przecież dobrze.

– Nie jestem taki pewien, czy ją tak znam… – odparł powoli Mateusz. – Moja żona opowiada, że ponoć twoja córka umówiła się dzisiaj z Frankiem na noc. Julka od Bałuckich się wygadała i plotkowano o tym w sklepie. Prawie cała szkoła wie. Jesteś pewien, że dzisiaj nigdzie się nie wybierała?

– Jestem – stwierdził Hubert takim dziwnym tonem, jakiego nigdy dotąd wcześniej nie znał. Miękkim, gorącym, zakłamanym.

Usiadł. Kręciło mu się w głowie. Nagle wszystko ułożyło się w całość. Bielizna jego żony, to wyginanie się w lustrze.

Boże święty! Wika miała dopiero szesnaście lat. No, ale zgodnie z prawem nic by nie mógł zrobić. Chyba że ten gość by ją zgwałcił. Ale kiedy przypomniało mu się, jak jego córka się stroiła na to wyjście, dotarło do niego, że taka opcja nie istnieje. Pewnie nikt jej nie śledził, po prostu nagle spanikowała i szukała jakiegoś wyjścia.

A jeśli nie?! Co za cholerny czas nastał w jego życiu. Na żadne ważne pytanie nie mógł znaleźć normalnej, jednoznacznej odpowiedzi.

– Sprawdzę to – powiedział do Mateusza. – Wiesz, jak jest. Ludzie opowiadają głupie plotki, ale proszę cię, zerknij na monitoring i popatroluj przez chwilę tę ulicę. Ja się rzeczywiście zastanowię, czy jest sens powiadamiać Łódzkiego.

To już była kolejna trudna kwestia do przemyślenia. Wciąż jeszcze nie skończył z pierwszą. Podejrzenia wobec doktora Orłowskiego, prywatne problemy, krążący po mieście morderca. Nie mógł całkiem wykluczyć, że śledził jego córkę. Nawet gdyby naprawdę umówiła się z tym chłopakiem, to i tak niczego nie zmieniało. Chyba że kłamie.

Usiadł na krześle. Głowa mu pękała.

Jedno było pewne. Faktycznie niewiele wiedział o swojej rodzinie. Być może Wika fantazjowała w kwestii obserwującego ją mężczyzny, ale na pewno nie na temat tego, jak on sobie radził jako mąż i ojciec. To był dla niego prawdziwy szok.

Wstał, a potem podszedł pod okno i zaczął rozładowywać zmywarkę. Potrzebował czymś zająć ręce, żeby lepiej myśleć, ale też wreszcie coś w swoim życiu zmienić na lepsze. Wkładał ze stukotem naczynia do właściwych szafek. Sam się zdziwił, że to tak długo trwa. Wydawałoby się, że to taka prosta czynność. Potem załadował zmywarkę, powkładał rzeczy ze stołu we właściwe miejsca, starł blaty, odłożył na półki solniczki, pudełeczka, pojemniki, a na końcu umył podłogę.

Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem zauważył, że minęła godzina. Niesamowite. Dałby sobie głowę uciąć, że porządkowanie kuchni to jest coś, co można zrobić mimochodem.

Potem poszedł do łazienki. Rozejrzał się. No tak, wszystko zachlapane. Był pewien, że Marta dopiero co ją myła. Ale oczywiście, jeśli cztery osoby przejdą rano przez takie małe pomieszczenie, to od razu jest co sprzątać.

Otworzył kosz na pranie i zaczął segregować ciuchy: białe, kolorowe, czarne – tyle kojarzył. Gdzie te czasy, kiedy robili wszystko razem?

Już nie chciał o tym myśleć, musiał ratować swoją rodzinę. W miarę, jak upływały minuty, nie był już taki całkiem pewien, czy Wika nie ma racji w każdej kwestii.

A może naprawdę ktoś ją śledził? Z jakiegoś powodu morderca wybrał jego córkę? W czymś mu przypominała tych dwoje zwyczajnych ludzi?

Na razie jeszcze nie wiedział, co to jest, ale postanowił być bardzo uważny. Tylko czujność na wszystko, co się dzieje w jego

rodzinie, mogła go teraz uratować. Coś mieli, jakąś cechę, która tego psychopatę przyciągnęła.

Wstawił pranie, wyczyścił toaletę, a potem zaczął myć zlew i na tej czynności zastał go Kamil. Stał w drzwiach łazienki tak zszokowany, jakby ojciec co najmniej wciągał narkotyki.

– Sprzątasz? – zapytał.

– Tak – odburknął Hubert, ale zaraz potem się opanował. Wyprostował się, odwrócił i uśmiechnął do własnego dziecka. – Owszem, zaniedbałem się ostatnio – przyznał szczerze. – Przepraszam, od dziś będę więcej pomagał mamie, żeby nie była taka przemęczona.

Spodziewał się nagrody, natychmiastowej gratyfikacji, ale chłopak tylko kiwnął głową i powiedział:

– Aha.

Po czym poszedł do toalety na górze.

Hubert poczuł się mocno rozczarowany. Myślał, że syn bardziej się zachwyci, może nawet zaproponuje swoją pomoc. Razem byłoby raźniej, można pożartować. Ale widocznie to jeszcze nie był ten moment.

Skończył sprzątać łazienkę okropnie zmęczony. Powoli zaczynało do niego docierać, z czym mierzy się codziennie jego żona i dlaczego wieczorem może nie ma siły wkładać seksownej bielizny i być taką radosną jak kiedyś. On sam czuł się teraz bardzo daleki od pozytywnego nastroju. Jak mało kiedy bolały go plecy i miał ochotę po prostu usiąść na kanapie, włączyć sobie jakiś film i zapomnieć o wszystkim.

ROZDZIAŁ 14

Żenada – pomyślał.

Aspirant Mateusz podjechał oznakowanym radiowozem, dając mu czytelny sygnał, że coś zauważyli. Oczywiście nie oni, nie policja, ale zapewne ta sto razy bystrzejsza od nich nastolatka.

Kręcił się w po mieście całymi dniami, obserwował swoje ofiary, ich rodziny. Układał listę kolejnych zadań. Snuł plany i zbierał brakujące informacje, a tylko ona zwróciła na niego uwagę.

Dzielna dziewuszka – pomyślał. – Zasługuje na coś lepszego niż ten okropny ojciec i beznadziejny chłopak.

Pycha zalewała mu oczy. Czuł się coraz bardziej bezkarny. Doszedł do wniosku, że w Walewicach to nic, tylko być przestępcą. Wobec tak spektakularnej niekompetencji policji niezwykle łatwe zajęcie.

Postał jeszcze dłuższą chwilę pomiędzy drzewami, a potem ruszył chodnikiem.

Mateusz właśnie odjechał, skręcając w lewą stronę. Mężczyzna bez trudu się domyślił, że zrobi teraz niewielki kwadrat bocznymi uliczkami, po czym wróci w to samo miejsce. Zupełnie niepotrzebnie. Jego bowiem już tutaj nie zastanie. Niech sobie sprawdzają, patrolują i żyją w poczuciu, że cokolwiek robią. On miał już wszystkie informacje.

* * *

Mateusz wycofał na parkingu jednej z posesji. Pomyślał, że jeździ tak bez sensu w bardzo przewidywalny sposób, a przecież jeśli mają do czynienia z kimś, kto dobrze zna miasto, to jego ruchy są łatwe do określenia. Wycofał i wrócił. Niczego niepokojącego jednak nie zauważył. Potem zataczał coraz szersze kręgi, przecinał ulicę, zatrzymywał się gwałtownie i parkował w losowych miejscach, zawracał. Ciągle nic.

Upalne popołudnie sprawiło, że ludzie siedzieli w domach. Przynajmniej ci, którzy już wrócili z pracy. Jedli obiady, oglądali programy telewizyjne, odpoczywali. Czasem ktoś przechodził chodnikiem, najczęściej znajomy.

Nagle Mateusz dostrzegł coś niepokojącego. Ktoś się awanturował przy samochodzie. Podjechał bliżej ucieszony, jakby dostał niezwykle cenny dar. Wreszcie wydarzyło się coś nietypowego, na co można było zwrócić uwagę.

Zobaczył doktora Wiktora Orłowskiego.

– No przynajmniej raz ktoś przyjechał na czas! – wrzasnął na niego lekarz, gdy Mateusz zaparkował auto i podbiegł do niego. – Na każdego trzeba czekać! Zarysowali mi, do cholery, auto! – wrzeszczał. – Przyjechałem do chorego człowieka po godzinach i taka wdzięczność ludzka! Nikt nawet się nie zatrzymał, nie włożył karteczki, a przecież każdy wie, że to moje BMW. Nikt w Walewicach takiego nie ma. Powiedz sam! – naskoczył na Mateusza. – Ale tak szczerze, gdybyś to ty przejechał swoim cholernym błotnikiem po moim aucie, wiedziałbyś od razu, że to moje.

Mateusz kiwnął głową nieco oszołomiony.

– Burmistrz żałuje pieniędzy na monitoring! – pieklił się dalej Orłowski. – Twierdzi, że to odbiera ludziom prywatność. Na co komu prywatność, jeśli nie czuje się bezpieczny!

Było w tym sporo logiki, jednak Mateusz rozumiał również podejście burmistrza. Ludzie teraz są na każdym kroku nagrywani, sprawdzani, inwigilowani. Dobrze się żyło w mieście, gdzie można być sobą i czuć, że niczyje czujne oko nie spogląda na ciebie dzień i noc.

Nie odezwał się jednak. Wyciągnął notes i zaczął spisywać szczegóły zdarzenia.

– Nic, nic ta policja nie potrafi! – Orłowskiemu ciągle było mało tej diagnozy rzeczywistości.

Mateusz milczał z coraz większym trudem. Kompletnie tego nie rozumiał. Dlaczego nikt wreszcie nie powie temu gościowi prawdy? Wcale nie jest taki świetny, jak sądzi. Oprócz opowieści o jego wspaniałej karierze krążyły też plotki o arogancji i źle postawionych diagnozach. A poza tym nieżyjący już właściciel pieczarkarni miał o wiele fajniejsze BMW i nie zadzierał tak nosa.

Ale kilka spojrzeń na rozwścieczoną twarz Orłowskiego odebrało mu jakąkolwiek chęć do tłumaczenia temu człowiekowi zasad życia. Postanowił się zwinąć z miejsca zdarzenia tak szybko, jak to możliwe. Zakończył procedury i pożegnał się, obiecując jak najprędzej znaleźć sprawcę. Dał też znać Hubertowi, że na razie teren czysty, ale Jacek będzie się tutaj kręcił.

Był całkowicie przekonany, że Wika Górska wszystko sobie wymyśliła. Ludzie dużo ostatnio plotkowali o tej dziewczynie. Właściwie bez ustanku, od pikniku, na którym po raz pierwszy publicznie pokazała się w towarzystwie nowego chłopaka.

Boże, jak oni do siebie nie pasowali! Miła, dobrze wychowana dziewczyna z perspektywami i kompletnie zdemoralizowany

chłopak, którego tylko cud wyciągnąłby z kłopotów, w jakie regularnie się pakował.

Ale nie mógł oczywiście zlekceważyć tego zgłoszenia. Różnie bywa, a oni nie mieli pod dostatkiem tropów, by sobie pozwolić na jakiekolwiek marnotrawstwo.

ROZDZIAŁ 15

Hubert zerknął na zegarek. Za pół godziny Marta powinna być w domu, pohamował więc swoją potrzebę odpoczynku i zajrzał do lodówki. Znalazł garnek z zupą ugotowaną wczoraj wieczorem, obrane ziemniaki, opanierowane kotlety, a nawet pokrojone w plasterki ogórki, które wystarczyło teraz doprawić śmietaną i solą.

Powyciągał to wszystko i zaczął szykować obiad.

No jasne, że potrafił to zrobić. W gruncie rzeczy żaden stopień trudności. Ale faktycznie dawno już nie pomagał. W czystej kuchni całkiem przyjemnie się pracowało. Uchylił okno, żeby wpuścić świeże powietrze, i włączył radio. Leciała jakaś włoska muzyka, co go nastroiło dość optymistycznie. Czekał na Martę. Był już jednak bardziej czujny i przygotowany na to, że być może nie dostanie natychmiastowej nagrody za swoje wysiłki, jak to sobie roił w głowie.

Już rozumiał, że przez wiele lat nawalał. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał tak samo długo tego odkręcać. Przerażająca, choć też dość realna perspektywa. Utracił zaufanie swoich bliskich, a to coś, czego się nie da tak po prostu wykombinować znikąd. Był przerażony. Sam nie potrafił określić, czym najmocniej. Zrozumieniem, jak bardzo zepsuł swoją sytuację

rodzinną? Przerażeniem, że może stracić bliskich? Kręcącym się w pobliżu jego córki mordercą? Obawami, że go rozpoznał, a nikomu tego nie zgłosił? Strachem, że podobnie jak doktor Lenartowicz wróci kiedyś z pracy i zastanie pusty dom, a na kuchennym stole zamiast obiadu list pożegnalny?

Marta nie sprawiała wrażenia kobiety zdolnej do takich kroków, ale Asia, żona Oskara, wcale nie była inna. Zwyczajna kobieta. Pracowała w sklepie jubilerskim, wychowywała dzieci, troszczyła się o dom i któregoś dnia po prostu odeszła.

Teraz, kiedy myślał nad tym wszystkim, przewracając jednocześnie kotlety, żeby się nie przypaliły, doszedł do wniosku, że na pewno nie wydarzyło się to bez przyczyny. I wcale nie tak nagle, jak się ludziom wydawało. Może, tak jak u nich, sytuacja piętrzyła się latami, nierozwiązane problemy układały się jeden na drugim jak cegły, by stworzyć mur, zza którego w pewnym momencie ludzie już wcale się nie widzą ani nie słyszą. Czy Oskar też był taki ślepy? Lekarz teoretycznie powinien lepiej znać się na ludziach. Dobry, miły człowiek, zawsze pomocny. Co nawalił, że spotkało go takie nieszczęście? Może wcale nic wielkiego.

Może tylko za dużo pracował i ciągle nie było go w domu. Faktycznie, gdyby można było się o cokolwiek przyczepić do Oskara, powszechnie lubianego, to właśnie o to, że nie za bardzo umie stawiać granice. Poproszony o pomoc zwykle nie odmawia i ten filar jego osobowości, któremu zawdzięczał sympatię ludzką, przyjaciół, pewnie też finansowe zyski, mógłby mieć swoją ciemną stronę. Być może był ktoś, kto oceniał tę sprawę inaczej. Żona i dzieci!

Doszedłszy do tego wniosku, Hubert poczuł się jak Sherlock Holmes swoich czasów. Widział kiedyś taki plakat na banerze reklamowym, chyba zawieszony przez jakąś fundację, który mówił, że jedynymi osobami, które będą kiedyś pamiętać, że

zostałeś dłużej w biurze po godzinach, są twoje dzieci. Gorzka prawda. Szefowie się zmieniają, upadają firmy, przeprowadza się redukcje, bywa, że o pracowniku, który oddał życie za sukces kolejnych projektów, szybko się zapomina.

A potem uderzyła go kolejna trafna, choć bolesna myśl. Mężczyźni zbyt łatwo dają wiarę przekonaniu, że skoro pracują, to już wszystko jest w najlepszym porządku i niczego więcej nie trzeba.

Miał ochotę walnąć dzisiaj swoim głupim zakutym łbem o ścianę, którą sam wyłożył płytkami w kolorze kawy z mlekiem. Czuł się, jakby o włos uniknął spotkania z rozpędzonym pociągiem. Z wielkim nieszczęściem.

Ilu facetów kompletnie się tego nie spodziewa? Łażą do roboty, snują w głowie pretensje, kreują się na ofiary sytuacji, a potem tracą to, co mają najcenniejszego.

Był wściekły na Martę, że nie zachowywała się i nie wyglądała już tak jak kiedyś, ale przecież nie chciał innej żony. Za nic. Nawet mu na myśl nigdy nie przyszło, że mógłby ją stracić. Wydawała się czymś tak oczywistym i trwałym jak brama przy wjeździe do jego domu, drzewa rosnące w ogrodzie czy nadchodzące z bezpieczną przewidywalnością poranki pełne tych samych obowiązków. Dwadzieścia lat po ślubie żona stała się dla niego kimś oczywistym. Podobnie jak jej miłość, wierność, wsparcie, troska o dom. A przecież w rzeczywistości wcale nie mógł tak myśleć. To nie była jego matka. Związki między dorosłymi ludźmi opierają się na sporej dozie dobrowolności. Dwie osoby dobrowolnie w nie wchodzą, ale mają też prawo zmienić zdanie.

Nie patrzył na Martę jak na kobietę, która mogłaby nagle odejść, ale za nic w świecie nie chciał być tym idiotą, który budzi się za późno. I co potem? Też będzie się wkurzał jak Oskar praktycznie na wszystko, bo taka świadomość przegranego życia

musi być niezwykle dołująca. Zwłaszcza jeśli ktoś jest przywiązany do swojej rodziny.

Teraz byłby nawet gotów skoczyć po te cholerne kwiatki, iść na ten durny festyn i tańczyć.

Nie chciał jednak wygłupiać się za bardzo i zmieniać zbyt radykalnie. Jeszcze by go zaczęli podejrzewać o pomieszanie zmysłów.

Wika miała rację. Chodził po świecie jak ślepiec.

Przekonał się o tym ponownie, gdy Marta wróciła do domu. Położyła jak zawsze kluczyki od auta na półce w przedpokoju, a potem zaczęła zdejmować buty. Sprawiała wrażenie ogromnie zmęczonej. Pierwszy raz patrzył na nią tak uważnie i w taki sposób, nie doszukując się powodów do własnych pretensji, ale starając się zrozumieć jej sytuację. Była blada i miała słaby makijaż. Domyślił się, że znowu dzisiaj nie zdążyła. Kiedy miała rano chwilę czasu, kręciła włosy, teraz były proste, więc i to się pewnie nie udało.

Nie skomentował tego. Postanowił po prostu wstać jutro rano pół godziny wcześniej, pomóc przy śniadaniu i ogarnąć kilka rzeczy. Kiedyś by pewnie zaczął od rozmowy, przechwalania się, ileż to on zrozumiał i jakie zamierza wprowadzić zmiany, ale teraz wybrał inną drogę. Czasem takie mocne wydarzenia sprawiają, że człowiek doznaje wstrząsu. Budzi się. On się znalazł w takiej sytuacji. Nie chciał już więcej gadać, tylko robić.

Marta, zgodnie z jego przewidywaniem, z dużą dozą nieufności podeszła do faktu, że czekał na nią gotowy obiad, wysprzątana kuchnia i szumiąca wstawionym praniem łazienka.

– Umyję ręce i siadam – powiedziała tylko. – Możesz zawołać dzieciaki.

Dobre i to. Bał się, że nałoży sobie jedzenie na talerz i pójdzie do salonu jak wczoraj. Jedyne, co jeszcze nie pozwalało tej rodzinie

się rozpaść, to posiłki. Zbuntowane dzieciaki trzymające rodziców z daleka od wszystkich swoich spraw zachowały ten jeden zwyczaj z dawnych dobrych czasów, mianowicie wspólne pory jedzenia. Może to zdrowe młode żołądki, które czuły głód? Może siła nawyku?

– Wika, Kamil, obiad! – krzyknął, zdając sobie sprawę, że dawno już tak nie wołał.

Naprawdę czuł się, jakby się obudził. Widać i zbuntowany nastolatek może mieć w rodzinie swoją ważną funkcję. Wyciąga na wierzch to, co człowiek usilnie próbuje zakopać, pokazuje pewną prawdę o rodzinie, relacjach, o tym, w jakiej rzeczywistości wszyscy w gruncie rzeczy żyją.

Zauważył, że kiedy córka weszła do kuchni i zobaczyła, ile zrobił, spojrzała na niego nieco mniej wrogo. A to dzisiaj poczytał sobie jako sukces. Niesamowite, jak perspektywa może wszystko zmienić.

Zjedli w milczeniu, czując się chyba w tej nowej sytuacji nieco niezręcznie. Kamil to nawet niczego nie zauważył, pogrążony w myślach, zapewne rozgrywając i tam kolejną rundę. A Marta z ulgą łapała chwilę odpoczynku. Normalnie by teraz głodna przygotowywała dla wszystkich posiłek, a tak mogła go zjeść od razu.

– Może poszlibyśmy za kilka dni na rowery? – pojechał po bandzie Hubert, po czym spojrzał na syna, ale tym razem przeszarżował.

Tak łatwo to nie miało się ułożyć.

Chłopak tylko wzruszył ramionami, po czym powiedział chłodno:

– Dziękuję. Jestem zajęty. I wtedy też będę – dodał.

Wstał od stołu i odniósł talerz. Dobre i to. Do zmywarki go wprawdzie nie wsadził, ale Hubert nie miał teraz siły o to się szarpać. Było trochę lepiej.

– Zrobić ci herbaty? – zapytał żonę.

– Możesz – odpowiedziała nieco zaskoczona, ale nie skomentowała tego.

Uznał, że oboje wybrali całkiem fajny sposób. Im mniej słów, tym mniejsza szansa, że rozpoczną kłótnię. Owszem, dręczyła go pokusa, żeby zacząć coś wyjaśniać, wytłumaczyć jej, że są po równo odpowiedzialni za to, co się wydarzyło. Od lat czuje się przez nią zaniedbany, pozbawiony wsparcia i zrozumienia, że ona zajmuje się ciągle tylko dziećmi, domem, a o relacji z mężem na dobre zapomniała.

Nie zrobił tego jednak. Swoim zwyczajem przełknął te słowa i był to chyba jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy mogło się to okazać pożyteczne.

Usiadł obok niej i w milczeniu pili nieco za gorącą herbatę, wyraźnie oboje zmieszani faktem, że po tak długiej przerwie znów spędzają ze sobą popołudnie. Normalnie ona poszłaby teraz pewnie sprzątać, a on do siebie. Sprawdzałby w komputerze, co słychać w pracy, oglądał wiadomości albo poszedł do garażu, gdzie zawsze czekała na niego jakaś pilna robota. Kiedy się mieszka w domu, nieustająco coś wymaga naprawy albo wymiany.

Poza tym jako policjant często był wzywany po godzinach. Nawet w Walewicach, gdzie niewiele się dzieje, zdarzały się nadgodziny, niedzielne dyżury.

Teraz siedział jednak obok niej, zastanawiając się, czy Marta czerpie z tego jakąkolwiek przyjemność. Nic nie mówił. Chwilę później zerknął na nią ukradkiem. Wyglądała nawet na zadowoloną. Uznał więc, że taka forma towarzyszenia i wsparcia jej odpowiada. Nasuwały mu się znowu na język różne ważne kwestie dotyczące ich kłopotów rodzinnych. Z Wiką, Kamilem… Ten mężczyzna, który śledził ich córkę… To był najtrudniejszy problem. Gdyby go teraz poruszył, wszystko, co dobre, prysnęłoby

błyskawicznie. Marta by się przeraziła. Nie miał pewności, czy może przed nią ukrywać taką informację. Co zrobi, jeśli Wika jej się zwierzy?

Na razie milczał. Chciał się chociaż chwilę pocieszyć dobrym nastrojem.

Wtedy oczywiście zadzwonił telefon. Łódzki.

Marta tylko westchnęła. Wstała, wzięła obydwa kubki i poszła do kuchni. Domyśliła się, co będzie dalej. Szef raczej bez powodu nie dzwonił. Musiała to być poważna sprawa albo kolejna pozornie istotna. Hubert teraz marzył, żeby komisarz Łódzki zadzwonił z jakąś kompletną bzdurą, już nie chciał niczego poważnego. Miał inne zmartwienia i priorytety i potrzebował spokojnej głowy, żeby zająć się sprawami rodziny.

– Jest bardzo niedobrze – zaczął Łódzki, od razu pozbawiając go złudzeń. – Cholernie. Ludzie nam tego nie wybaczą i naprawdę nie mam już pojęcia, co zrobić. Jesteś pierwszym, do którego dzwonię. Nawet Makarski jeszcze nie wie. Boję się zawiadomić Ankę. – Komisarz mówił tak dziwnym głosem, że Hubert nie mógł go rozpoznać. Jeszcze nigdy nie słyszał przełożonego tak roztrzęsionego. – Przed momentem dostałem zgłoszenie. – Łódzki ściszył głos. – Proszę cię, przyjedź do komisariatu. Pomóż mi, muszę uruchomić procedury, a naprawdę nie wiem, od czego mam zacząć.

– Boże! – wystraszył się Hubert. – Nie denerwuj się, już jadę.

W oficjalnych sytuacjach zawsze zwracał się do niego tytułami służbowymi, ale znali się tak wiele lat, że oczywiście prywatnie byli na ty.

– Co się stało? – Aż Marta wyszła z kuchni.

– Nie wiem. – Spojrzał na nią przestraszony. – Łódzki ma chyba jakieś załamanie nerwowe. Muszę natychmiast tam jechać, bo chłop się do niczego nie nadaje.

– Co ty mówisz? Komisarz ma nerwy ze stali.

– Jak widać, jednak nie. Nie chcę myśleć, co się wydarzyło.

Marta złapała się w okolicach serca.

– Kolejne morderstwo? – przeraziła się.

Usta zaczęły jej drżeć, więc podszedł do niej i po raz pierwszy od dawna po prostu przytulił w geście współczucia. A potem pocałował w czubek głowy.

– Boisz się? – zapytał.

– Ogromnie – odparła gdzieś w okolicy jego ramienia. – A jeszcze ludzie ciągle gadają, że następna będzie jakaś nastolatka. Tak się martwię o nasze dzieci.

– Wika! – krzyknął.

Miał jej pilnować, a pozwolił iść samej do pokoju. Wszystko mogło się wydarzyć.

Strach sprawił, że nie był zdolny, by zachować pozory spokoju. Puścił gwałtownie żonę, a potem kilkoma susami dopadł klamki do pokoju córki.

– Pukaj! – usłyszał jej pełen wściekłości głos, który teraz zabrzmiał mu jak ukochana muzyka.

Córka siedziała na łóżku ze słuchawkami na uszach i podwiniętymi kolanami. Intensywnie wpatrywała się w telefon, cała i bezpieczna. Odetchnął z ulgą.

Podszedł jeszcze do pokoju obok i tym razem załomotał w szybę, zanim otworzył. Kamil nawet go nie usłyszał, pogrążony całkowicie w toczącej się na ekranie bitwie. Siedział tyłem do drzwi, nie zwrócił uwagi na ojca, który wsadził głowę, a potem szybko ją wyciągnął. Odwrócił się. Żona stała za nim.

– Przepraszam cię – powiedział. – To był odruch.

– Wiem, rozumiem.

Położyła mu rękę na ramieniu. O, tak tego bardzo potrzebował. Wsparcia.

Zaraz po tym zaczęły dzwonić dwa telefony jednocześnie, a potem trzeci, służbowa komórka Huberta, jego prywatny numer i prywatny Marty. Działo się coś wybitnie złego.

– Muszę lecieć – powiedział, jednocześnie odbierając służbowy numer w pierwszej kolejności. To był Mateusz.

– Słyszałeś? – zapytał aspirant.

– Nie, ale nie mogę teraz rozmawiać. Muszę pędzić na posterunek. Łódzki jest w słabym stanie. Przyjedź i pomóż.

– Ja tu już jestem – odparł Mateusz. – Makarski też jedzie. Miej świadomość, że pod komisariatem gromadzą się ludzie. Są wściekli, więc się pospiesz. Może jeszcze zdążysz dojechać, zanim zbierze się prawdziwy tłum.

Słyszał, że Marta rozmawia z jego matką. Jest bardzo przejęta. Nie chciał wiedzieć. W głowę wbijały mu się tysiące szpilek.

Czy to Wiktor Orłowski uderzył znowu ze swoją chirurgiczną precyzją? Prawdopodobnie właśnie w dziecko, skoro wywołało to w mieście aż tak wielkie poruszenie. Telefony dzwoniące tak błyskawicznie, gromadzący się pod komisariatem ludzie, dosłownie kilka chwil po tym, jak Łódzki otrzymał zgłoszenie. To nie było normalne. Mogło oznaczać tylko jedno. Zginął ktoś, kto wywoływał ogromne emocje. A czy mogło być coś straszniejszego niż brutalny atak na czyjeś dziecko?

Hubert wsiadł do samochodu. Jechał szybko. Włączył nawet koguta, ale wolałby dzisiaj mieszkać i pracować gdzieś bardzo daleko, żeby zyskać choć trochę na czasie.

Jeśli to naprawdę doktor Wiktor i zginęło czyjeś dziecko, to on nie da rady z tym żyć. Na taki problem nic już nie pomoże, żadne starania, zrozumienie, wyciąganie wniosków. Są takie skały, o które życie rozbija się na dobre. Nie da się ruszyć dalej. Gdyby był bardziej odważny, stanowczy, nie bał się jak durny konsekwencji, zaryzykował, może by ocalił czyjeś życie.

Zaparkował auto, a potem bez trudu przedarł się przez zgromadzonych ludzi. Nic nie robiło na nim wrażenia. Ani ich krzyki, ani pytania, ani nawet fakt, że niektórzy szarpali go za rękę. Jakie to teraz miało znaczenie? Ledwo dał radę na sztywnych nogach pokonać schody i otworzyć drzwi. Trzymał się ścian, stawiając kolejne kroki.

– To Wiktor… – wyszeptał pobladłymi ustami.

– Tak. – Łódzki odwrócił się w jego stronę. – Skąd wiedziałeś? Już pewnie do ciebie dzwonili – domyślił się.

A Hubert po prostu osunął się po ścianie, usiadł na ziemi i zaczął się trząść.

Łódzki, który jeszcze chwilę sam był w podobnym stanie, teraz rzucił się pomagać koledze.

– Wiem, straszna tragedia. Szykowali się do tego wesela. Taki wspaniały człowiek, lekarz, tyle sukcesów i został zamordowany.

Hubert czuł, jakby nagle znalazł się gdzieś daleko. Na wielkiej, porośniętej wysoką trawą przestrzeni kompletnie sam. Wiele, wiele kilometrów od niego ktoś coś mówił. Głos jednak niósł się niezwykle powoli przez tę ogromną odległość, docierał do jego czaszki ze znacznym opóźnieniem, obijał się o brzegi, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów zrozumienia.

– Co zrobił? – zapytał po chwili.

– Zginął, przecież mówię. Słyszałeś?

– Tak. – Kiwnął głową, przełknął ślinę i z trudem oddychał. – Zginął? Wiktor? – zapytał raz jeszcze.

– Dajcie mu czegoś głębszego albo trzaśnijcie go w gębę! – zdenerwował się Łódzki.

Nikt wyraźnie nie miał głowy do ratowania Huberta, a ten tylko szybko przeliczał w myślach różne opcje. Kolejną ofiarą mordercy był doktor Orłowski?! Jak to możliwe? I co z tego dla niego wynika? Wciąż czuł się winny. Czy gdyby go zamknął, pozwoliłoby

mu to uniknąć śmierci? Raczej nie, bo jeżeli istniał w Walewicach ktoś, kto najszybciej załatwiłby sobie wyjście z jakiegokolwiek aresztu, to z całą pewnością był to doktor Orłowski. Miał wszędzie znajomości.

Już by go nie było w więzieniu, więc i tak nie uniknąłby swojego losu.

Chwilę to trwało, zanim w ogóle zaczęły do niego docierać informacje. W tym czasie Łódzki zdążył dojść do siebie i wyjechać na miejsce zgłoszenia. Towarzyszył mu Mateusz.

Huberta chwilowo zostawiono w spokoju i słusznie, bo i tak do niczego się nie nadawał. Podszedł na miękkich nogach do oficera dyżurnego.

– Gdzie to się stało? – zapytał.

– W jego domu – odparł chłopak. – Jak za każdym razem, cios w plecy, sztylet.

– A gdzie była rodzina?

– Wszyscy w domu weselnym. Syn, żona, przyszła synowa. Wiktor sam ponoć ich wezwał, żeby zrobić jakąś próbę z fotografem. Co to w ogóle są za dziwne zasady? Ja niczego takiego nie miałem i był spokój.

Hubert nie miał siły teraz wdawać się w tego typu rozmowy.

– A czemu Wiktor nie przyjechał? – zapytał wciąż trochę słabym głosem.

– Podobno miał dotrzeć później, bo niespodziewanie ktoś się umówił na wizytę lekarską. Makarski już w drodze i chłopaki mówią, że pokłada w tym ogromną nadzieję. Liczy, że to morderca.

– Tak, jasne… – Hubert przewrócił oczami. – Facet zorganizował dwie zbrodnie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. I nagle wpadłby na taki głupi pomysł. Prędzej uwierzę, że wiedział z jakiegoś pewnego źródła, kto się zamierza umówić

i o jakiej godzinie. Niestety, nie da się udawać, że jest jakakolwiek szansa, żeby to nie był ktoś, kogo prawdopodobnie dobrze znamy. On się tu kręci cały czas, uczestniczy w rozmowach, nie zwracamy na niego uwagi. Może wcale nie jest kimś znaczącym, tylko jakimś zakompleksionym szarakiem, który nie znosi normalności i morduje takich jak on.

Oficer spojrzał na niego i Hubert już nawet nie próbował mówić dalej. Jednak się nie zgadzało. Jak każda hipoteza w tej sprawie. Wszystko bowiem można było powiedzieć o Wiktorze Orłowskim, ale nie że był szary. Jeśli morderca chciał im utrudnić odnajdywanie powiązań pomiędzy ofiarami, to z pewnością mu się udało. Zastępca ordynatora już kompletnie do niczego nie pasował.

– Dobra – westchnął Hubert. – Jadę.

– Nie wsiadaj lepiej do samochodu, parking cały obstawiony przez ludzi. – Oficer wyjrzał przez okno. – Wyjdź od tyłu. Tam jest jeszcze jeden stary radiowóz.

– Przecież nie jeździ.

– Ma tylko jakieś drobne kłopoty z zapłonem. Pomogę ci odpalić.

Wyprowadził go niczym przestępcę, rozglądając się uważnie na boki.

Tył komisariatu nie prezentował się tak dobrze jak przód. Stały tam kontenery na śmieci, także te należące do znajdującego się niedaleko sklepu spożywczego, kilka zarośniętych krzaków. Jakieś stare opony.

Oficer dyżurny odpalił nieużywany radiowóz niczym sprawny włamywacz i Hubert wyjechał prosto w boczną uliczkę, a potem ruszył do domu Wiktora. Ledwo trzymał nerwy na wodzy.

Ciężką miał pracę. To była jedna z tych sytuacji, kiedy odczuwał to szczególnie mocno.

Nigdy go nie znajdziemy – uświadomił sobie.

Porzucił już mrzonki o tym, że będzie policjantem, który założy kajdanki temu strasznemu człowiekowi. Morderca rozgrywał ich, jak chciał, i nie wiadomo, ile osób jeszcze zginie. Poczucie bezradności było dojmujące. Całkiem pozbawiało go sił. Bardzo potrzebował czegoś się uchwycić. Czegokolwiek. Ale naprawdę nic już nie przychodziło mu do głowy prócz tej jednej dręczącej myśli, że każdy może być następny.

Proszę, pilnuj dzieci – wysłał wiadomość do Marty.

A potem wysiadł z samochodu.

Pod domem Orłowskich zgromadził się jeszcze większy tłum niż przy komisariacie. Wieść tym razem rozniosła się naprawdę błyskawicznie. Każdy chciał tu być. Hubert widział dyrektorkę szkoły i sekretarkę, pielęgniarki z przychodni, sprzedawczynię z marketu przy rynku, a także jego ulubionego mechanika samochodowego. Musieli zerwać się z pracy. Sporo młodzieży, która powinna być teraz na lekcjach, jak również starszych osób.

Wyraźnie obowiązywał swoisty stan wyjątkowy.

– Zawilscy się wyprowadzają, wystawili dom na sprzedaż – usłyszał, zanim jeszcze zdążył zrobić kilka kroków.

Mama już tu była. Uściskał ją. W takim był dzisiaj nastroju, rozumiał emocje innych. Współczuł im i chciał wspierać. Ale mama chyba nie tego oczekiwała.

– Ludzie nie chcą tu już mieszkać! – dodała z naciskiem. – Proszę cię, zrób coś. Tak długo spokojnie sobie pracowałeś, korzystałeś z tylu przywilejów, życie ci się świetnie układało, to teraz daj coś z siebie.

Hubert nie spodziewał się po sobie takich zasobów spokoju. Miał ochotę pierdzielnąć dłonią w maskę tego starego samochodu, zawołać do wszystkich, że nic z tego, co matka powiedziała, nie

jest prawdą. Jego życie jest okropne. Ale zaraz potem przypomniało mu się, że niektóre sprawy sam spieprzył. A wiele innych naprawdę miało wartość. Żył. Jego rodzina także.

Zaczerpnął więc powietrza i odwrócił się w stronę mamy. Zebrani przed domem weselnym ludzie zaczęli się zbliżać do nich, koniecznie chcieli usłyszeć, co powie. A on objął raz jeszcze swoją matkę i dopiero wtedy poczuł, że kobieta się trzęsie ze strachu.

– Naprawdę się staramy – powiedział. – I tak – dodał głośniej. – Mamy do czynienia z kimś bardzo niebezpiecznym. Uważajcie na siebie, nie chcę was oszukiwać, że to będzie prosta sprawa. Pilnujcie swoich dzieci.

Ku jego zdumieniu te szczere słowa wywołały o wiele lepszy efekt uspokajający niż wcześniejsze zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

– Obiecuję, że zrobimy wszystko, żeby go znaleźć – dodał. – Co tylko w ludzkiej mocy. Rozglądajcie się wokół siebie. Jeśli tylko zdarzy się coś podejrzanego, dajcie znać.

Wiedział, że Łódzki nie wystosował tego komunikatu wcześniej, bali się bowiem tego, co zwykle występuje w takich przypadkach. Zalewu bezsensownych informacji. Ludzie uwielbiają być ważni. A znalezienie tropu w głośnej sprawie szybko wynosi kogoś anonimowego na piedestał, stawia w centrum uwagi. Niektórzy są w stanie sporo dla tej krótkiej chwili zrobić. Dzwoniliby pewnie z każdą głupotą, teorią czy podejrzeniem. Ale chyba nadszedł czas, by szukać wsparcia wszędzie.

– Dziękuję ci, synku – powiedziała matka. – Wiem, wiem, to niełatwe.

Proszę, jak szybko wszystko może się odkręcić. Jeszcze chwilę temu czuł, że ma przed sobą kobietę, która go kompletnie nie rozumie. Dopiero teraz zauważył, że zalewa ją to samo przerażenie, z którym zupełnie nie wie, jak ma sobie poradzić.

– Muszę tam iść – powiedział, wskazując brodą wejście do budynku. – Trzymajcie za mnie kciuki, bo to niełatwe.

Ludzie rozstąpili się przed nim. Już nie krzyczeli, nie zadawali pytań. Pewnie to było dla nich trudne tak milczeć, kiedy tyle pytań cisnęło się na usta. Oskarżać każdy potrafi, podobnie jak mieć pretensje i oczekiwania. Ale nawet jeśli wcześniej ktoś miał teorię o przypadkowo przejeżdżającym mordercy albo powiązaniach pomiędzy Arturem a panią Bronisławą, to teraz wszystko runęło i z bezradnością musieli przyznać, że nie mają pojęcia, co się dzieje.

Hubert wreszcie wszedł do środka. Ciągle trafiał na ten sam moment. Ekipa już tu była, czynności toczyły się ustalonym torem. Idealnie uczesana pani prokurator, która dziś wyjątkowo wyglądała na bardzo zmęczoną, chodziła po wielkim pokoju pełnym drogich mebli i od razu to zauważył, że starannie omija wzrokiem cenny dywan, w który wsiąknęła krew, tworząc kałużę bliźniaczo podobną do tej na tanim dywanie w o wiele skromniejszym domu Piotra. Pewne rzeczy są takie same bez względu na status majątkowy.

Oskar Lenartowicz wypełniał właśnie dokumentację i było to niezwykle dziwne uczucie patrzeć, jak wszystko robi sam. Jak to nie ma drugiego lekarza?! Zawsze funkcjonowali z Wiktorem w takim tandemie i miejscowi trochę się już przyzwyczaili, że człowiek jest chory dopiero wtedy, kiedy oni obaj postawią taką diagnozę. Każdy miał swoich fanów. Byli tacy, co uważali, że Oskar jest prawdziwym lekarzem, bo do wszystkich spraw podchodzi z łagodnością i zawsze daje ludziom nadzieję. Inni znów twierdzili, że to naiwność i okłamywanie chorego, i raczej cenili twardy osąd doktora Orłowskiego.

Hubert stanął jak poprzednio w kącie pokoju, ale tym razem nie czuł przerażenia, tylko wściekłość.

Myśl, głupku, myśl i się nie poddawaj! – nakazał sobie ostro. – Szukaj połączeń. Nie ma takiego geniusza na świecie, który by nie zostawiał żadnych śladów, choć na pewno niektórzy są tak dobrzy, że faktycznie nikt ich nigdy nie złapał.

Pewnie morderca jest z siebie bardzo zadowolony – pomyślał. – Może nawet ma jakiś dostęp do wyników pracy policji.

Nie dało się ukryć, że jeśli chodzi o stanowiska pracy, zwłaszcza te wysoko cenione w urzędach państwowych, nepotyzm funkcjonował w Walewicach od zawsze i to na szeroką skalę. Ojcowie załatwiali pracę synom, bratankom, szwagrom, córkom, chrześnicom. Kto tam kogo miał. Właściwie wszyscy policjanci zatrudnieni w komisariacie byli stąd. Każdy miał ogromną sieć rodzinnych powiązań, informacje roznosiły się szybko.

Hubert nie miał żadnych złudzeń, że dotyczy to także tych poufnych. Nikt się zresztą nie przejmował, wszyscy mieli poczucie, że i tak nic nie wiedzą, nie ma co ukrywać. A może właśnie to należało starannie ukrywać? Udawać, że niewiele brakuje do sukcesu?

Może wtedy morderca by się zatrzymał?

Najgorsze było poczucie, że ten człowiek, mężczyzna lub kobieta, może stoi teraz pod tym domem albo przed komisariatem, uważnie słucha i wszystkiemu się przygląda. Może minęli się dziś rano o włos?

Okropne!

Hubert wyciągnął służbowy notes. Nigdy nie wykorzystywał go do tego, żeby robić faktycznie istotne notatki, bo też i nie bardzo miewał ku temu powody. Zwykle zapisywał tutaj dane z wypadków samochodowych czy drobnych spraw. Teraz jednak uroczyście otworzył nową stronę i zaczął wypisywać wszystko, co wie o Wiktorze, po to, żeby następnie sprawdzić, czy nie ma

chociaż jednej rzeczy, która by się pokrywała z poprzednimi zbrodniami.

Na pierwszy rzut oka nic takiego by się nie nasuwało, ale zaczął pisać. Wiktor, miejscowy. Brawo, od razu trafienie, wszystkie ofiary pochodziły stąd, były tutaj głęboko zakorzenione. Żadna z nich nie przeprowadziła się z powodu małżeństwa, zmiany pracy ani też jakiegokolwiek innego powodu. Tu się urodzili, chodzili do tej samej szkoły, choć nie wszyscy w tym samym czasie.

Morderca w wyraźny sposób miał osobisty stosunek do mieszkańców tego miasteczka. Co kolejny raz wskazywało, że jest stąd.

Pogódźmy się z tym – pomyślał z rezygnacją.

Co jeszcze? Wiktor był dość zamożnym człowiekiem i osiągnął tak zwany życiowy sukces, ale nic w jego domu nie zginęło. Złodziej nie zainteresował się drogim sprzętem, nie szukał biżuterii po szufladach i w ogóle pozostawił pokoje w stanie nietkniętym. Nie o to więc chodziło. Pozostali nie mieli pieniędzy, co potwierdziło założenie, że nie chodzi o motywy rabunkowe.

Wiktor miał syna. I tutaj Hubert pomyślał z zaskoczeniem, że pojawia się kolejny punkt styczny, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób mogłoby mu to pomóc. Wszystkie te osoby miały dzieci. Coś mu kołatało w głowie, że powinna być to dla niego istotna informacja, ale zupełnie nie wiedział, jak ją połączyć ze śledztwem. Sam miał dzieci, temat więc teoretycznie nie był mu kompletnie obcy. Co wiedział o dzieciach? Że nie zawsze są takie słodkie jak na obrazkach.

Zanotował to, jednocześnie rozglądając się czujnie po bokach, czy przypadkiem ktoś nie podgląda, oficjalnie bowiem nigdy by się do takiego wniosku nie przyznał.

Sprawiają trochę kłopotów, ale człowiek je i tak bardzo kocha. Co jeszcze? Że czasem ludzie krzywdzą swoje dzieci, zupełnie nie

zdając sobie z tego sprawy. No i tu oczywiście od razu na myśl przyszedł mu Artur. Już nikt go pogardliwie nie nazwie Artusiem. Będzie od tej chwili sam pracował na swój wizerunek, życie i dobrostan. Jak zniósł śmierć ojca?

Podniósł głowę, ale młodego lekarza nigdzie nie było, podobnie jak nikogo innego z rodziny Wiktora. Podszedł do Ani.

– Gdzie doktorowa? – zapytał.

Ludzie zwracali się do żony Orłowskiego w ten staroświecki sposób, być może także dlatego, że faktycznie taka była jej życiowa rola. Nie pracowała. Nie pamiętał nawet, jakie kończyła studia. Nie miała żadnych własnych większych osiągnięć ani pasji. Żyła, całkowicie poświęcając się karierze męża i dbając o rodzinę. Z tego czerpała satysfakcję i to dawało jej ludzki szacunek.

– Jest u swojej matki, nie dała rady – odparła Ania.

– A syn?

– Siedzi na górze, odkąd tu przyjechał – wyjaśniła. – Nie bardzo można się z nim dogadać. Milczy, trochę płacze. Narzeczona wróciła do Krakowa. W sumie to dziwna jakaś – dodała cicho. – Mieliśmy ją tutaj za miłą dziewczynę, ale słabo zareagowała po tym morderstwie. Dopytywała się tylko w kółko, czy ślub będzie odwołany. Nie sądzę, żeby ktokolwiek oprócz niej miał w tej kwestii wątpliwości.

– No raczej – potwierdził Hubert.

– Też jestem tego zdania. A ona jakby była zła na Artura, że się nie sprzeciwia, nie upiera przy zachowaniu tego terminu. Nawet nie wiem, w jaki sposób mógłby to zrobić. Ojciec w kostnicy, a on miałby się bawić?

– Może jest w szoku? – odezwał się Hubert. – Nawet bym się nie dziwił. To naprawdę upadek z wysokiego konia. Tyle tygodni przygotowań, wielkie ambicje, rozmach, dziewczyny marzą

o czymś takim. I nagle szok. Żadnego ślubu nie będzie. Dojdzie do siebie, to zmieni zdanie i wesprze narzeczonego.

– Może. – Ania pokręciła z powątpiewaniem głową. – Choć mnie się to wszystko, powiem ci szczerze, bardzo nie podoba.

– No to jesteś jedyna. – Hubert uśmiechnął się krzywo. – Bo poza tym to my wszyscy zachwyceni jesteśmy – dodał ironicznie. – Boję się jak cholera – przyznał się szczerze.

– Ja też – odparła Ania cicho. – Ale mnie o tę dziewczynę chodzi, wiesz? – wróciła do poprzedniego tematu.

O mój Boże! – pomyślał nagle Hubert. Miał ochotę ją uściskać za trop, który mu podsunęła. – Jakżeby to było pięknie, gdyby to mogła być ona!

Narzeczona Artura. Dobra, może ją tu trochę polubili, ale nie znali zbyt dobrze, rzadko odwiedzała przyszłego męża w Walewicach. A jeśli to robiła, to spędzali czas we dwoje lub z najbliższą rodziną. Znała tu jednak wiele osób, przez rodzinę przyszłego męża miała dostęp do informacji. Wiedziała, że Wiktor się spóźni.

W sumie – uświadomił sobie – nikt jej tak naprawdę nie znał. Mogła bez trudu ukryć milion tajemnic.

A także słuszne pretensje do przyszłego teścia. Musiała przecież widzieć, jak traktował Artura. Jeśli kochała narzeczonego, obserwowanie jego cierpienia pewnie było dla niej torturą.

Ależ to wszystko pięknie do siebie pasowało.

Tylko po co miałaby mordować pozostałych niewinnych ludzi? – niechciana myśl pojawiła się zaraz potem. – O, to proste – odpowiedział sobie od razu, tak bardzo pragnął, by to była prawda. – Może zwyczajnie jest psychopatką i wszyscy błędnie zakładają, że towarzyszy tym działaniom jakakolwiek logika. Może po prostu łatwo wychodziła z siebie i musiała w ten sposób rozładować wewnętrzne napięcie? Wiktor bez problemu byłby

w stanie sprowokować nawet o wiele zdrowszego człowieka. Albo zwyczajnie chciała odwrócić uwagę od swojego głównego celu?

Boże, jak by to miasto odetchnęło z ulgą. Ktoś obcy! Wszystko by wróciło na swoje miejsce. Poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że się rozumie, kim są otaczający nas ludzie, lokalny patriotyzm, te wszystkie ich obyczaje, które tak lubili, nawet cholerny festyn – pomyślał. – Poszedłbym jako pierwszy – obiecał wewnętrznie, jakby składał ofiary jakiemuś bóstwu sprawiedliwości.

Gdyby tylko sprawca się znalazł, tańczyłby do białego rana. Kurczę, kwiatki by żonie kupił! Wielki bukiet, pal sześć ile by to kosztowało. Ależ by to była ulga. W jak wielkim żyli napięciu, uświadomił sobie właśnie teraz.

– Słuchaj – powiedział cicho. – A może to ona?

Ania pokręciła delikatnie głową, a potem spotkali się wzrokiem. Czuła to samo. Jak pięknie byłoby znaleźć tak wspaniałe rozwiązanie. I właściwie to było jedyne, co go niepokoiło. Czasem faktycznie zagadkę morderstwa rozwiązuje się łatwo, bo mąż zgłasza zaginięcie żony, a dzień później okazuje się, że to właśnie on. Mieli się rozwodzić, zorientował się, że go zdradza, albo pojawiły się niespodziane problemy finansowe. Bywa, że ten pierwszy łatwy trop, który przychodzi do głowy, staje się słuszny. Jakże fajnie zamyka się wtedy teczkę z dokumentacją, pisze podsumowania. Czasem nawet dostaje się jakieś nagrody, w zależności od tego, jak prestiżowa jest sprawa.

Ta jednak była zawikłana i najgorzej wychodzili ci, którzy stawiali proste tezy.

– Nie wiem – powiedziała Ania. – Ale sprawdzimy. Podsunę to za chwilę Makarskiemu. Rzuci się na dziewczynę jak pies na kości. Bardzo tego potrzebuje. Ostatnio jego pewność siebie nieco się nadwątliła. Pisze raporty, robi podsumowania i zaczyna do niego docierać, że ludzie się śmieją, bo żadna z teorii, które

postawił, się nie potwierdziła. A stres sprawia, że niektórzy tracą takt i opanowanie, po prostu się boją. Chcą, żeby się wziął do roboty.

– Niech to sprawdzi.

Hubert wrócił na swoje miejsce. Oskar zakończył właśnie pracę i patrzył dziwnym wzrokiem w okno. Kiedy się nie ruszał, nic nie mówił i nie uśmiechał, widać było, jak jest zmęczony, a także zwyczajnie smutny. Miał na sobie ładną koszulę, która sprawiała wrażenie zupełnie nowej, firmowe jeansy i niezłe buty. Gdyby zasłonić jego twarz, wyglądałby na całkiem przystojnego, dobrze zbudowanego mężczyznę w średnim wieku, który czerpie satysfakcję ze swojej pracy i tego, do czego doszedł. Ale już włosy były nieco długie, pilnie wymagały fryzjera, a twarz bardzo zmęczona.

Najgorsze te puste oczy. Za czym tak wypatrywał? Na pewno nie podziwiał szpaleru rosnących za oknem ambrowców, z których tak dumny był jeszcze do niedawna Wiktor. Myślał o swoich dzieciach? To wysoce prawdopodobne. Pewnie się zastanawiał, co robią. Jak długo jeszcze przyjdzie mu na nie czekać.

W tym momencie z poddasza nagle zszedł syn Wiktora. Był blady, ale dość opanowany.

– Jeśli potrzebujecie lekarza – powiedział poważnym tonem – to weźcie pod uwagę, że mam już wszystkie uprawnienia.

– Ale daj spokój – ocknął się nagle Oskar. – To przecież twój ojciec. Nie musisz, a nawet nie powinieneś pracować przy tej sprawie.

– Może chcę – odparł chłopak, po czym tak śmiało przekroczył linię zabezpieczającą ciało, że nawet Ania nie zaprotestowała. Pochylił się, obejrzał ranę. – Szybko poszło – powiedział. – Nie miał szans – dodał dziwnym tonem.

Hubert spojrzał na panią prokurator, bo oboje czuli, że jest w tym jakiś trop, ale nie mieli pojęcia, w którym kierunku mógłby prowadzić.

– To dobrze czy źle? – zapytała przytomnie Ania.

– Myślę, że mordercy zależało, by cios okazał się skuteczny, i chyba wiem dlaczego – stwierdził młody lekarz.

W pomieszczeniu zapadła nagła cisza. Wszyscy przerwali swoje czynności i patrzyli na jego usta, jakby miała z nich za chwilę wydostać się niezwykle ważna wiadomość.

– Sądzę, że to raczej ktoś znajomy – powiedział Artur. – Musiał podejść do ojca bardzo blisko, a on nie wpuszczał byle kogo do domu. Do gabinetu na dole owszem, a i to nie zawsze. Najczęściej odsyłał do pana Oskara.

Artur skrzywił się nagle.

– Tak, to nie był idealny człowiek, raczej lekceważył pacjentów – dodał chłodnym tonem. – Zwłaszcza tych mniej zamożnych. Wiem, bo uczył mnie tego.

Nikt się nie odezwał. Byli zaskoczeni. Choćby z tego powodu, że Artur rzadko mówił tak dużo, a już na pewno nigdy źle o ojcu.

– Szanował tylko tych pacjentów – chłopak kontynuował, jakby mu się nagle otworzył jakiś nowy szlak komunikacyjny – którzy byli ciężko chorzy albo mieli szczególnie ciekawy przypadek. Rzadko tu przyjeżdżał, bo nie chciało mu się leczyć zwykłych ludzi. W Krakowie miał większy wybór. – Zrobił przerwę, ale nikt nie odważył się podjąć tematu. – Więc myślę, że jeśli wpuścił kogoś na górę, na dodatek w momencie, kiedy wybierał się na ważne spotkanie, bo dla niego ten ślub to było coś niezwykle istotnego, to na pewno przyszła osoba, którą znał. Morderca tu mieszka! – potwierdził obawy wszystkich. – I jest jakimś znaczącym człowiekiem – dodał po chwili.

Nawet Makarski stał z dziwną miną, niezdolny do przerwania tego wykładu. Widać było, że zapamiętuje każdy szczegół tej wypowiedzi. A pani prokurator całkiem jawnie włączyła dyktafon. Nikt nie chciał uronić ani słowa.

– Byle kogo ojciec przyjąłby w drzwiach – mówił dalej Artur. – Obcy musiałby się włamać, a potem z nim się szarpać. Na pewno by nie zdołał podejść go od tyłu. Tata był ostrożny i silny fizycznie. Dbał o formę, ćwiczył.

To się zgadzało – przypomniał sobie Hubert. Wiktor opowiadał o siłowni w Krakowie, którą regularnie odwiedzał.

– Musieli chwilę rozmawiać. – Artur odszedł od ciała i spojrzał w inną stronę. – Może ojciec się odwrócił, a może ten człowiek skłonił go do tego podstępem? Trudno powiedzieć. Ale z pewnością się znali. No i oczywiście wszystko zostało świetnie zaplanowane. – Rozejrzał się wokół. – Żadnych śladów. Morderca niczego nie dotykał. Może nawet miał na podeszwach butów takie specjalne nakładki. Można kupić w internecie – wyjaśnił.

Makarski patrzył na niego, jakby się dziś dowiedział, że ludzie mówią. Tak był tym wywodem zafascynowany.

– Silikonowe, przezroczyste – dodał Artur.

Czuł się coraz pewniej w tworzeniu hipotez i wyciąganiu wniosków. Dobrze mu szło.

Hubert pomyślał, że ten chłopak będzie świetnym lekarzem. Czasem ludzie wykonują jakiś zawód po prostu dlatego, żeby opłacić rachunki. Są zatrudnieni w przypadkowym miejscu, w którym udało im się zaczepić. Bywa, że nawet lubią swoje zajęcie. Ale są też osoby tak spójne z wykonywanym zawodem, że ta funkcja staje się integralną częścią ich osobowości. Ten chłopak całym sobą już był lekarzem, zachowywał się tak, mówił, myślał i ruszał. Ale co ciekawe, dało się to zauważyć dopiero teraz.

– Trzeba się dobrze przyjrzeć, by takie nakładki zauważyć – wyjaśniał dalej. – A mój ojciec nigdy specjalnie nie interesował się innymi ludźmi, a przynajmniej nie do tego stopnia, by analizować ich ubranie czy nastrój. I tym razem go to zgubiło… – dodał i nie zdołał całkiem usunąć z tonu głosu pewnej dozy satysfakcji.

Hubert sam nie wiedział, czy wywołało w nim większy szok zabójstwo Wiktora, czy ta chłodna analiza przeprowadzona przez jego syna.

Oskar nagle podszedł do niego i przytulił. To nie było do końca profesjonalne zachowanie na miejscu zbrodni, ale wszyscy się tutaj znali. Wielu pamiętało Artura, jak stawiał pierwsze kroki, chodził do przedszkola, skończył szkołę, zdał maturę i dokonał tego wielkiego czynu, jakim jest dostanie się na medycynę do Krakowa. Całe miasto mu wtedy kibicowało. Domyślali się, pod jaką presją znajduje się ten jedyny syn znanego lekarza.

Szczupły, drobny Artur na moment utonął w objęciach Lenartowicza. Błyskawicznym ruchem otarł łzy. Jednak jego chłód okazał się pozorny. Jego twarz ściągnęła się wyrazem ogromnego cierpienia.

– Będzie dobrze – powiedział Artur nie wiadomo, czy do siebie, czy też do wszystkich pozostałych.

– Ależ oczywiście. – Makarski zrobił kilka kroków przed siebie. Tak daleko na środek pomieszczenia, jak tylko pozwalało leżące na podłodze ciało. – Nad wyjaśnieniem tej sprawy pracują najlepsi specjaliści.

Artur jednak zupełnie nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Zostanę w Walewicach – zaskoczył znowu. – Będę pracował na miejscu. Nie chcę się przenosić do Krakowa. Ojca już nie ma, więc teraz liczy się już tylko to, co sam zdecyduję.

Oskar poklepał go po ramieniu, jakby był z niego dumny. Widać było, że cieszy go ta decyzja. To może nawet zrozumiałe. Pewnie

z młodszym Orłowskim lepiej się będzie współpracowało, a niełatwo znaleźć dobrego fachowca, który się chce zatrudnić na stałe w małej miejscowości.

Ale w głowie Huberta pojawił się jeszcze większy zamęt. Dziwnie zabrzmiało to oświadczenie Artura. Właśnie teraz. Jeszcze nad zwłokami ojca. W tym momencie je zabezpieczano, bo ledwo Artur skończył mówić, wszyscy znów rzucili się do swoich obowiązków, ale Wiktor wciąż tu był. Leżał na podłodze własnego domu z rękami dramatycznie rozrzuconymi na boki i zastygłym przerażeniem we wciąż otwartych oczach.

A jego syn planował przyszłość. Jakby ten chłopak był zadowolony, że ktoś usunął z jego drogi sprawiającego mnóstwo problemów ojca. Oczywiście to nie powinno dziwić, zważywszy na fakt, że Hubert sam był świadkiem, jak doktor Orłowski traktował swoje dziecko. No ale żeby do tego stopnia nie mieć uczuć? Przecież tutaj miała miejsce zbrodnia.

Niemniej jednak dopisał do swojej listy podejrzeń: „Bliscy, dla których śmierć staje się szansą…". Dodał trzy kropki. Nie wiedział po co. Postanowił podzielić się tą poszlaką z Anią.

– Znajdziesz dla mnie kwadrans? – zapytał, podchodząc do niej.

– Oczywiście – odparła szybko.

Poprawiła dłonią gładko uczesane włosy, choć leżały idealnie, a potem mimowolnie westchnęła. Zawsze widział w niej profesjonalną prawniczkę, która świetnie panuje nad emocjami. Ale teraz z bliska dostrzegł też kobietę bardzo zmęczoną, jakby jej się łzy cały czas czaiły w kącikach oczu, gotowe w każdej chwili, by popłynąć. Chyba docierała do jakiejś swojej granicy.

Nie mógł pomóc. Gdyby teraz poruszył temat jej męża, być może Ania nie zapanowałaby nad emocjami. A była w pracy.

Zaczął więc cod spraw służbowych. Opowiedział o swoich podejrzeniach i wnioskach. Nie wiedział, czy potraktuje go

poważnie.

Słuchała uważnie, a potem usiadła na eleganckim krześle przy dębowym długim stole. Wiktor miał rozmach. Dom został pięknie urządzony, zadbano tu o każdy szczegół. Stanowiło to mocny kontrast z czarnym workiem, w które pakowano właśnie zwłoki.

Hubert szybko odwrócił głowę.

– Sądzisz, że tu chodzi o dzieci, które chcą się wyzwolić z toksycznej relacji? – zapytała Ania. – To jakaś spółka, która wynajęła płatnego mordercę i dlatego zawsze mają alibi? Bo o to wcześniej zadbali? Szczerze powiedziawszy – dodała bardzo cicho – Artur to by mi nawet pasował.

Spojrzała na młodego doktora. Był wyraźnie spięty i nerwowo poprawiał włosy dłonią.

– No właśnie. – Hubert pokiwał głową. – Wiktor może być typowym przykładem ukrytego narcyza, który na zewnątrz doskonały, w czterech ścianach domu terroryzuje najbliższych.

– A inni? – zapytała Ania. – Czy to możliwe, że Piotr Maszkowski też był okropnym mężem i ojcem?

Hubert nagle poczuł, jak robi mu się nieco zimno. Przypomniała mu się Wika i obserwujący ją mężczyzna, wszystkie kłopoty w domu. Jak łatwo ocenić człowieka, którego sytuacji życiowej się nie zna, powiedzieć, że jest winny, nie radzi sobie.

Czy ktoś nieznający go dobrze, oceniający po pozorach też mógłby go uznać za toksycznego człowieka?

Każdy ma coś, z czym się zmaga. Czy można krzywdzić bliskich, kompletnie nie zdając sobie z tego sprawy? Często się mówi, że ludzie nie znają prawdy o sąsiadach czy znajomych. Ale chyba stokroć gorsze jest, jeśli nie znają prawdy o sobie.

Zakończyli czynności i szybko się pożegnali. Chyba oboje mieli głowy pełne niełatwych myśli.

ROZDZIAŁ 16

Hubert wszedł wieczorem do pokoju Wiki.

Stanął w progu z nieprzyjemnym uczuciem, że dawno tutaj nie był. Nawet nie wiedział, że córka założyła sobie wokół łóżka światełka, zmieniła poduszki i koc. W tej nieprzyjemnej chwili prawdy nie potrafił nawet sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak normalnie z nią rozmawiał. Zapytał, co czyta, co słychać, jak jej minął dzień. Zamknął się w skorupie, bo tak bał się pretensji i kolejnych sporów. W ten sposób generował jeszcze więcej pretensji ze strony rodziny i tak się nawzajem kłębili w tym niezrozumieniu. Ale teraz to wszystko musiało zostać odsunięte na bok, bo stali przed bardzo poważnym zagrożeniem.

Następna miała być nastolatka!

Całe miasto aż huczało od tych plotek. Wyczuł, że policjanci nie do końca poważnie traktują jego zgłoszenie. Wika straciła swoją wiarygodność. Była jeszcze dzieckiem, a już mogła się przekonać, jak złe decyzje szybko zmieniają życie. Złościło go to. Ludzie tak łatwo wystawiają oceny, przyklejają łatki. Ale nie miał na to wpływu. Musiał liczyć głównie na siebie, zdawał sobie z tego sprawę. Chronić swoje dziecko.

Rozejrzał się.

Pokój Wiki znajdował się na parterze, okno wychodziło na drogę prowadzącą wprost do bramy. Nie mieli alarmu. Ostatnie włamanie w Walewicach miało miejsce trzynaście lat temu, a zorganizowana grupa przestępcza okazała się pochodzić z Krakowa i co ciekawe, prowadząc z powodzeniem swoją działalność przez wiele lat, wpadła właśnie tutaj i poniosła konsekwencje. Trudno powiedzieć, czy uznano miejscowość za pechową, czy też ludzi za zbyt biednych. W każdym razie poważni przestępcy do tej pory dali im spokój.

Nie zmieniało to jednak faktu, że w związku z tym miasto było słabo monitorowane, a domy niezabezpieczone. Jeśliby Wika chciała dokądś wyrwać się w nocy, to wystarczyło otworzyć okno. Nie mieli nawet psa.

Jeśli natomiast, co jeszcze bardziej prawdopodobne, Franek chciałby ją odwiedzić, to też mógł się przemknąć niepostrzeżenie.

Wika weszła do pokoju. Miała na głowie zawinięty ręcznik. Pachniała balsamem truskawkowym.

To tylko dziecko – pomyślał. – Choć z pewnością już z wieloma cechami młodej kobiety.

Ogarnęła go fala czułości.

Usiadł na łóżku obok córki, która oczywiście trzymała już w dłoniach telefon. Wyglądała na smutną i zestresowaną.

– Mogę tu chwilę posiedzieć? – zapytał.

Spojrzała na niego zaskoczona. Traktowała jego obecność z dużym dystansem. Miał wręcz wrażenie, że próbuje udawać, że wcale go tu nie ma. Nie odpowiedziała.

– Chciałbym cię uspokoić i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie będę kłamał – zaczął.

Wika przewróciła oczami, więc poczuł się na znajomym gruncie, ale nie wdał się w dyskusję, czy zasługuje na takie traktowanie. Szkoda by mu było na to energii.

– Jeśli pozwolisz, położę się u ciebie w pokoju na materacu.

Chyba ją ujął tym początkiem zdania. Jej twarz nieco złagodniała.

– Może to i głupota, że następna ma być nastolatka – dodał. – Ale temu człowiekowi może przyjść do głowy wszystko.

Milczeli przez chwilę. Wika obracała w dłoniach telefon. Wyglądała jak ktoś, kto ma do podjęcia ważną decyzję.

– Kiedy przespałeś się z mamą po raz pierwszy? – zapytała nagle, a Hubert poczuł, jak robi mu się bardzo zimno.

I że chętniej teraz pobiegłby ścigać mordercę, niż siedział zamknięty w jednym pokoju z nastolatką, która żąda, żeby jej wyjaśniać takie rzeczy.

Rodzicielstwo jest trudne – pomyślał. – Cholernie trudne i nikt nie ostrzega przed tym, co człowieka czeka.

Ale nie chciał dać plamy.

– W maturalnej klasie – przyznał się zgodnie z prawdą, mając wrażenie, że oto zaprzepaszcza cały swój wychowawczy trud. Daje jej przyzwolenie, by robiła rzeczy niebezpieczne.

– I jak to zorganizowałeś? Jak się przygotowałeś?

– O, Jezu… – Hubert błyskawicznie przetarł twarz dłońmi. Nie miał pojęcia, w którym kierunku zmierza ta rozmowa, ale rozumiał, że jest ważna i może od tego, co powie, wiele zależy. A ponieważ kompletnie nie był pewien, co może zdecydować w jakiejś ważnej kwestii, nad którą Wika teraz się głowi, postanowił po prostu powiedzieć prawdę. – No… bardzo tego chcieliśmy oboje – zaczął niepewnie.

Nie dodał, że czuli się dojrzali i dorośli, a córka jest jeszcze dzieciakiem. To by zabiło dalszą rozmowę.

Wika gwałtownie odwróciła głowę, ale chyba czekała na kolejne słowa.

– Najważniejszym moim zmartwieniem było, żeby nikt nas nie nakrył. – Hubert kontynuował nieco śmielej. – A także żeby Marta mogła czuć się bezpiecznie.

Córka aż zadrżała. Wyczuł to. Coś istotnego jednak udało mu się powiedzieć. Potem ponownie zastygła w bezruchu, wyraźnie znowu czekając na dalszy ciąg.

Wziął więc głęboki wdech i postanowił powiedzieć, jak było.

– Wziąłem wszystkie moje oszczędności bez wiedzy rodziców – zaczął. – Były przeznaczone na inny cel – dodał uczciwie. – Wynająłem domek nad jeziorem. To było naprawdę tanie miejsce, ale mnie się wtedy wydawało szczytem luksusu. I oczywiście drożyzny. Pojechaliśmy tam pociągiem… – Poczuł, jak głos mu mięknie, kiedy wraca do tych pięknych wspomnień. – Dużo się przytulaliśmy, całowaliśmy, ciągle mówiłem jej komplementy. Nie mogłem uwierzyć, że się zgodziła, bo oczywiście doskonale wiedziała, jaki jest plan.

Wika słuchała całą sobą. Chłonęła każde słowo, a on coraz śmielej opowiadał.

– Miałem duży plecak, a w nim wszystko, co potrzebne – powiedział. – Miękki koc, pierścionek, kanapki, które też wydawały mi się szczytem luksusu, bo miały sałatę, szynkę i ogórka. Sam je przyrządziłem – pochwalił się.

Wika nie odpowiedziała, ale zauważył delikatny uśmiech.

– W pudełku trzymałem róże. – Teraz już opowiadał z pasją, przypominając sobie każdy szczegół. – Zawinąłem je w wilgotną szmatkę, a potem zapakowałem w woreczek. Babcia mi to poradziła, nie zdając sobie sprawy, jak wykorzystam ten patent. – Puścił do niej oko. – Miałem też wino. Ale oboje byliśmy już wtedy pełnoletni – zastrzegł szybko. – No i świeczki. Koniecznie świeczki, żeby był nastrój. Oprócz tego jeszcze narwałem z ogródka babci mnóstwo płatków róż, schowałem do słoika, żeby

potem je rozsypać na podłodze. Wiem. – Spojrzał na nią. – Amatorszczyzna, trochę kicz, ale kierowały mną najlepsze intencje.

Córka jednak nie śmiała się z niego. Wręcz przeciwnie, słuchała uważnie.

– Chciałem, żeby Marta miała wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. – Hubert ze zdumieniem przypominał sobie swoje dawne uczucia. Naprawdę taki był? W takim facecie zakochała się jego żona? – Co tylko widziałem w jakimkolwiek filmie, a leżało w zasięgu dziewiętnastoletniego chłopaka z niezbyt bogatego domu, to dla niej zdobyłem.

– I co? – zapytała Wika nieco drżącym głosem. – Podobało jej się?

Hubert mimo woli się zaczerwienił.

– Tak. – Kiwnął głową. – Bardzo jej się podobało – przyznał.

Uśmiechnął się. Cokolwiek by się w życiu wydarzyło, nikt nie mógł im odebrać tego, że faktycznie przez pewien czas byli szczęśliwi.

Wika milczała.

– Kompletnie bym się tego po tobie nie spodziewała – powiedziała.

– Jak to? – zapytał odruchowo, choć sam już czuł, jak wiele się zmieniło.

– W ogóle nie kochasz mamy! – odparła z pretensją. – Nie dbasz o nią, nie interesujesz się niczym.

Znowu to samo.

– Wika. – Złapał ją nieoczekiwanie za rękę i chyba tylko dlatego jej nie wyrwała. – Ja rozumiem – powiedział, patrząc jej w oczy. – Słyszę cię. Parę rzeczy faktycznie poszło nie tak. Nie wiesz, jak to jest, kiedy zmęczenie daje się człowiekowi zbyt mocno we znaki.

Przewróciła oczami i dotarło do niego, niestety, że nieważne, ile ma racji, nastolatki nie są zainteresowane niczyimi wyjaśnieniami, wymówkami ani życiowymi żalami. Zależy im tylko na tym, co konkretne.

– Zmieniam się – wyszeptał. – Widzisz to przecież. Po prostu potrzebuję trochę czasu.

Wika skuliła się w sobie. Pomyślał, że jest taka krucha, delikatna. Desperacko chciał ją chronić i na nowo zrozumieć. Wiedział, że znajduje się w niebezpieczeństwie i nie chodziło tylko o grasującego w mieście mordercę.

Czuł, jakby w ostatniej chwili zrobił krok w tył znad skraju przepaści i w nieco bezpieczniejsze miejsce pociągnął też swoją rodzinę. Ale do tego, by określić sytuację jako dobrą, miał jeszcze bardzo daleko.

– Przyniosę materac – powiedział. – Poczekaj tu na mnie, proszę.

Kiedyś było to nie do pomyślenia, ale teraz bał się, że jego córka ucieknie.

* * *

Ledwo za ojcem zamknęły się drzwi, Wika odblokowała telefon i po raz setny odczytała pełną pretensji wiadomość od Franka.

Wkurzył się, że wczoraj nie przyszła. Potraktował to jak kompletne lekceważenie i nie chciał słyszeć żadnych wyjaśnień, że niby ktoś ją obserwuje, a ona się boi. Postawił jej ultimatum. Ma do niego przyjechać dzisiaj w nocy albo on wpadnie do niej. Jeśli się nie zgodzi, będzie sobie musiała szukać nowego chłopaka.

Była gotowa przystać na jego propozycję. Sądziła, że nie ma innego wyboru. O tym, że znajdzie nowego chłopaka, nie miała nawet co marzyć. Szare kujonki nie cieszą się wielką

popularnością w szkole. Chyba że w pakiecie dysponują błyskotliwą osobowością, innymi osiągnięciami czy śmiałością w kontaktach z chłopakami. Niektóre dziewczyny dobrze się uczyły, a mimo to z łatwością nawiązywały relacje. Ona takiej cechy nie miała. Franek był dla niej wszystkim.

I na pewno, jeśli ze sobą zerwą, on rozpowie wśród znajomych okropne rzeczy o niej. I nikt nie zapyta, co z tego jest prawdą. Musiała się do niego wyrwać dziś w nocy. O tym, żeby mogli się spotkać tutaj, nie było nawet mowy.

Ale płakać jej się chciało, kiedy słyszała opowieść swojego jakże mało kompetentnego ojca. Tego faceta, który w jej oczach prawie wcale nie był autorytetem, a jednak umiał zadbać o to, by jego dziewczyna w tak ważnym momencie poczuła się dobrze, bezpiecznie, żeby jej się podobało.

Wika była pewna, że Franek niczego takiego nie zrobi. Tliła się w niej jedynie nadzieja, że może przygotuje bezpieczne miejsce, zadba o atmosferę, o jej uczucia, ale musiałaby być bardzo głupia, żeby się w ten sposób łudzić. A niestety nie była. Jej wysokie stopnie nie wynikały tylko z wkuwania na pamięć, lecz także z wysokiego ilorazu inteligencji, a ten nie pozwalał jej teraz nie wyciągnąć oczywistych wniosków.

Franek miał gdzieś, że ona się boi. Nie poruszył go nawet fakt, że ktoś ją śledził. Tego wieczoru nic pięknego się nie wydarzy. Zaliczy ją i kto wie, jak to się skończy. W jej klasie była dziewczyna, która kiedyś z nim chodziła. Podobno wylądowała na terapii.

Wika żałowała teraz, że nigdy do niej nie podeszła, nie porozmawiała, nie zapytała, o co tak naprawdę poszło. Raczej ją lekceważono, tym bardziej że faktycznie zdarzało jej się nerwowo reagować czy płakać w toalecie z powodu najmniejszej uwagi. Nauczyciele nie odpytywali jej przy tablicy, miała jakieś

orzeczenie. Wika za nic nie chciała być taka, ale teraz pomyślała sobie, że powinna była lepiej poznać faceta, któremu zamierzała oddać tak dużo.

Cholerny ojciec! Czy musiał się wtrącić akurat teraz? Siadać przy niej na łóżku, odpowiadać szczerze na pytanie. Mógł przecież rzucić jakąś wymijającą uwagę. Może do wieczora wszystko by się wyjaśniło z tym mordercą i Franek mógłby tu wpaść.

Z… czym? – pomyślała przez chwilę. – Prawdopodobnie z niczym.

Może by kupił prezerwatywę po drodze, pod tym względem był bardzo świadomy. Ale na tym koniec. Nawet głupiego kwiatka z ogródka mamy by nie zerwał, a już na pewno nie nagrał dla niej piosenki. Czy powiedziałby jakiś komplement? Miłe słowo? Czy zamierzał zadbać o to, żeby ojciec ich nie nakrył? Chyba nawet nie miał takich myśli.

Wika sobie tego nie wyobrażała. To byłby jakiś horror, prawdziwy koszmar, nie umiałaby się nawet na sekundę odprężyć. Ale on nie zapytał jej o zdanie, tylko stawiał swoje żądania.

Cholerny ojciec! To przez niego wszystko stało się nagle bardziej oczywiste.

Ale też jedno należało mu przyznać. Był świetnym pretekstem, żeby nieco przedłużyć proces podejmowania niełatwej decyzji. Właśnie wpakował się do jej pokoju z pościelą i pogwizdując nieco nerwowo, zaczął sobie przygotowywać miejsce do spania. Na pewno w ciągu najbliższych godzin się stąd nie ruszy.

Chętnie bym przyszła – odpisała Frankowi – *ale niestety mój okropny ojciec uparł się spać na materacu na podłodze ze względu na tego faceta, który mnie dzisiaj śledził. Ojciec wbił sobie do głowy, że to na pewno jest morderca, a ja będę tą nastolatką, która zostanie zaatakowana jako następna. Nie przekonam go, żeby*

zmienił zdanie. Nie ryzykuj, nie przychodź do mnie, policja też się kręci wokół domu.

Wysłała.

Tata nadal krzątał się po pokoju, uśmiechnął się do niej. Przez moment przypomniały jej się dawne czasy, kiedy faktycznie był fajny.

Zerknęła na telefon. Czekała na odpowiedź. Franek odczytał jej wiadomość, ale nic nie odpisał. Ani słowa. Czekała i czekała.

W tym czasie tata przyniósł sobie jeszcze koc, a potem stare nintendo, na którym kiedyś grali. Jeśli chciał odświeżyć jakieś dobre wspomnienia, to wybrał niezły sposób, bo Wika uśmiechnęła się na ten widok. To mógłby być całkiem miły wieczór, gdyby nie fakt, że lekceważenie Franka piekło ją każdym centymetrem skóry. Wciąż nie odpisywał. Ani jednego słowa.

Ojciec przygotował kanapki z kiełbasą krakowską i pomidorem, a także szczypiorkiem. Tak pachniało, że aż Kamil wylazł ze swojej pieczary, siadł w pokoju Wiki pod ścianą i zapytał, czy może się poczęstować. A potem przyszła do nich mama.

Tata dorobił kolejne kanapki. Jak tylko Kamil zobaczył stare nintendo ojca, skoczył od razu po swoje.

– Ja się tylko poprzyglądam – powiedziała mama.

– A kanapki jeszcze są? – zapytał Kamil z pełnymi ustami, choć odpowiedź była oczywista. Pusty talerz świecił jasnym dnem. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. – Skoczę do żabki po chleb – zaproponował chłopak, a on nie zgłaszał się dobrowolnie do żadnych prac.

– Sam nie pójdziesz. – Ojciec od razu spoważniał.

– Ale głodny jestem! – zawołał Kamil takim głosem, jakby co najmniej od kilku tygodni nic nie jadł. – Trzeba było nie robić takich dobrych kanapek – dodał z pretensją.

– Jak to wygodnie jest mieć rodziców. – Marta się uśmiechnęła. – Zawsze masz na kogo zwalić winę. Chodź – dodała, zanim zdołał jej coś ciętego odpowiedzieć. – Ja z tobą pójdę. Ojciec ma rację. Trzeba uważać.

Gdy wrócili, we dwoje zrobili jeszcze więcej kanapek. Wprost nieprawdopodobne, jak dużo potrafili zjeść. Potem grali na trzech starych sprzętach nintendo, przekrzykując się, jakby byli szczęśliwą rodziną. I niestety Wika musiała przyznać, że i to było zasługą ojca.

ROZDZIAŁ 17

Poszli spać późno. Tej nocy światło w pokoju Kamila nie świeciło się długo, Hubert nie musiał tam chodzić i robić awantury o prąd, którego zużycie napawało go ciągłym lękiem. Nie musiał się też czepiać o jego oczy, zdrowie, przyszłość i wszystko inne. Chłopak przykrył się kołdrą i po prostu padł, podobnie jak Wika. Spała mocno, oddychając przez usta. Męczyła ją alergia i Hubert pomyślał, że trzeba wreszcie znaleźć jakiegoś lepszego specjalistę.

Marta też spała. Przyszedł na chwilę do sypialni, przykrył ją kołdrą, po czym wrócił na dół.

Usiadł na materacu. On jeden nie mógł zmrużyć oka. Sam się dziwił, że w ferworze wieczornego rozgardiaszu udało mu się na chwilę zapomnieć o zagrożeniu. Rodzina w stresowej sytuacji może okazać się wielkim wsparciem, a nie dodatkowym obciążeniem, jak to do tej pory postrzegał.

Rozmawiali ze sobą, śmiali się, znaleźli sobie wspólne zajęcie. Nie musiał więc spędzać całych godzin, myśląc tylko o jednym, że po mieście krąży chory psychicznie człowiek, który wypatruje kolejnych ofiar. Tak naprawdę nikt nie może czuć się bezpieczny. Wiedział, że w wielu domach mężczyźni dzisiaj czuwają, śpią w przedpokoju, chodzą dookoła swoich domów, boją się o bliskich. A morderca wciąż jest na wolności. I choć nadal byli daleko od

jakiegokolwiek kroku, by go odnaleźć, to jednak czuł, że udało mu się poczynić postępy. Ta rozmowa z Anią była dobra.

Przewracał się z boku na bok na materacu, który służył im do nocowania gości. Wiedział, że nie zaśnie. Za dużo myśli, emocji, wniosków, spraw, którymi natychmiast należy się zająć. Rzuciły się na niego natychmiast, jak tylko w domu zapadła cisza. Wszystkie naraz. Takie leżenie i wpatrywanie się w ciemność bardzo męczy. Ale nie miał wyboru. Nie mógł wyjść z domu.

Zerknął na zegarek. Była pierwsza w nocy. Przyszła mu nagle na myśl jeszcze jedna osoba, którą można byłoby przesłuchać. W kwestiach, które go dręczyły, jego matka mogła się okazać cennym źródłem informacji. Wiedziała przecież o ludziach, jeśli nie wszystko, to z pewnością sporo.

Wyszedł na korytarz, ale zostawił uchylone drzwi. Przez szparę miał widok na okno, jedyne źródło zagrożenia.

Wika oddychała równym rytmem. Uznał więc, że śpi mocno, zatem on może zadzwonić. Wiedział, że mama kładzie się późno spać, siedzi wieczorami, ogląda seriale, szydełkuje, robi mnóstwo przetworów, których potem nie ma kto jeść. Zabija czas.

Czekał chwilę, wsłuchując się w długie sygnały telefonu. Odebrała.

– Cześć, mamo. Przepraszam, że tak późno – powiedział cichym głosem. – Chciałbym z tobą pogadać, a nie mogę, niestety, podjechać. Pilnuję Wiki.

– To dobrze – odparła. – Naprawdę. Rozmawiałam z Martą. Prosiłam, żeby też tego przypilnowała. Odmówiłam już cztery różańce, ale ciągle nie mogę się uspokoić. Nic nie szkodzi, że dzwonisz, i tak nie mogę spać.

– Chciałem z tobą pogadać o tym, co się wydarzyło.

– Dobrze – zgodziła się.

– O tych ludziach, którzy stali się ofiarami – uściślił. – Piotrze, pani Broni, znałaś ich przecież. Mam pewne tropy i brakuje mi szczegółów.

– Pewnie. Pytaj, o co chcesz.

Hubert domyślił się, że mama właśnie ułożyła się wygodniej w fotelu i otuliła kocem. Znał każdy z tych gestów. Ją też bardzo kochał, dotarło do niego nagle. I nie chciałby jej stracić, choć i ona czasem dawała w kość. Ale to nie oznaczało, że nie jest ważna i cenna.

– Jak ty to oceniasz? – zapytał po chwili, z trudem wracając do tematu zbrodni. – Czy Piotr Maszkowski mógłby być takim mężczyzną, który na zewnątrz sprawia dobre wrażenie, ale kiedy jest w domu, nagle się zmienia i znęca się nad swoją rodziną?

Mama zastanowiła się dłuższą chwilę.

– Wiesz, różne rzeczy się zdarzają – powiedziała powoli. – Widzisz, myśleliśmy wszyscy, że Lenartowiczowie to takie udane małżeństwo, doktor Oskar dba o rodzinę, a potem Asia nagle odeszła i zabrała dzieci. Znam ją na tyle, że nie wierzę, by zrobiła to bez powodu. Nie wierzę nawet, że to była jakaś błaha przyczyna, sprzeczka czy coś. Sądzę, że wydarzyło się coś poważnego. I to raczej niejeden raz.

– Dlaczego tak myślisz?

Nie o tym właściwie mieli rozmawiać, ale Hubert się zaciekawił.

– Bo czasem było po niej widać, że jest bardzo smutna – odparła mama. – Ale miałam wrażenie, że bardziej ma problem z teściem niż z mężem, więc tym bardziej nie rozumiem, co się tam wydarzyło. I pewnie gdyby nie wyjechała tak daleko, może byśmy ją mieli szansę zapytać. Ale nigdy tu nie przyjeżdża, zawsze on jedzie do nich.

– Tak, to faktycznie dziwne.

– No właśnie. – Hubert był pewien, że mama kiwa teraz energicznie głową i to wiele razy. – Najpierw byłam w szoku – dodała – a potem pomyślałam, że to przecież nie jest pierwsza sytuacja, w której ludzie są zaskoczeni, że sąsiedzi mają jakąś tajemnicę, problemy. Czasem nawet rodzice nie wiedzą, jakie kłopoty męczą ich dziecko.

Hubert poczuł dreszcz, bo miał wrażenie, że w tych słowach jest przygana skierowana do niego.

– No, a Piotr Maszkowski? – wrócił do głównego wątku. – Myślisz, że u niego też tak było?

– Może… – przyznała po chwili namysłu. – Takie ciche osoby, zwłaszcza mężczyźni, lubią mieć drugą twarz.

– Męskość kojarzy mi się raczej z siłą, energią, wesołością, a ten chodził zawsze taki sflaczały – odparł Hubert.

– Może nie czuł się pewnie – powiedziała mama. – I sobie odbijał jakimiś złośliwymi uwagami? Jego dzieciaki też takie raczej zahukane, nic o nich powiedzieć nie można. Siedzą zawsze na tych koncertach u matki w pierwszym rzędzie, jakby były dorosłe. Pamiętasz, jak ostatnio zabraliśmy dzieci naszego Adama? Myślałam, że się ze wstydu spalę. Wojtuś wlazł pod krzesło, a Martynka bez przerwy zdejmowała buty. Jakby ich nikt nigdy nie wychowywał, choć przecież Adam z żoną bardzo dbają. A te małe Maszkowskie zawsze niczym słupki soli.

– No, coś w tym jest – powiedział Hubert. – Zwykle ocenialiśmy to raczej jako coś pozytywnego. Uzdolniona artystka, grzeczne dzieci, wysoka kultura, muzyka poważna. To wszystko się spina razem. Myślisz, że byli dobrym małżeństwem? Że się kochali?

– Trudno mi powiedzieć. Na początku może tak, ale raczej nie ma szansy, żeby prawdziwa kobieta, a Olga taką z pewnością jest, szanowała faceta, który nie jest męski.

Hubert się zdziwił. Nie spodziewał się po mamie aż tak głębokiej analizy.

– Nie zrozum mnie źle – powiedziała. – Wiem, że jestem stara i mam staroświeckie poglądy, ale ludzka natura nie zmieniła się aż tak bardzo, chociaż teraz macie tyle technologii. Pamiętasz, jak Olga przyjechała do Walewic, to była radosna dziewczyna. Z każdym rozmawiała, śmiała się, dzieci w szkole ją uwielbiały.

– Do tej pory ją lubią.

– No tak – przyznała mama – ale już tak z nimi nie gada, nie podchodzi. Przecież na początku nawet miała zamiar tę scholkę otworzyć w kościele.

– Okej. – Hubert przewrócił oczami, ciesząc się, że się teraz nie widzą. Mama miała swoje specyficzne kryteria oceniania ludzi. Ci prowadzący chóry kościelne i scholki znajdowali się bardzo wysoko w hierarchii ważności.

– A potem tak gasła powoli – dodała kobieta. – Tak dyskretnie, żeśmy wszyscy tego nawet nie zauważyli. I teraz ona tylko gra. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ją widziałam, żeby stała w sklepie i gadała z kimś. Albo na ulicy czy nawet na szkolnym korytarzu. Mam dużo różnych znajomych, mają dzieci starsze, młodsze. Wiem, jak jest. Opowiadamy sobie różne rzeczy. Olga znikła, została tylko pani grająca na pianinie.

– Tak, tak, to prawda. – Hubert złapał się na tym, że sam kiwa głową po kilka razy dokładnie jak matka. Ale zgadzał się ze wszystkim, co powiedziała. Był na siebie zły, że tak późno na to wpadł. Miał przecież obok niewyczerpaną skarbnicę wiedzy o ludziach. A zwrócił się do niej dopiero teraz. – Więc myślisz, że on był dla niej przykry? – zapytał.

Rany! – pomyślał nagle. – Może to on jej nie pozwalał grać w Krakowie ani nigdzie wyjeżdżać? Może dlatego nie mogła w pełni realizować swojego talentu?

– Wszystko możliwe – odparła mama. – Tacy słabi faceci w głębi serca mają się za nic niewartych. Czasem zresztą słusznie, więc się panicznie boją sukcesu innych, zwłaszcza kobiet, a już przede wszystkim własnych żon.

Hubert zastanawiał się intensywnie. Nawet jeśli to miałoby sens i rzeczywiście w tej rodzinie sprawy nie układały się wzorcowo, to jednak wciąż nie było tam dramatycznej patologii, przemocy fizycznej, znęcania się, zdrady. Olga mogła podejmować własne decyzje. Przecież mąż nie trzymał jej siłą w domu. I kto miałby to wszystko zorganizować? Dzieci Olgi i Piotra były małe. Nie, to się jednak nie trzymało kupy.

– A pani Bronisława? – zapytał zrezygnowany. Jednak nie zawsze więcej informacji oznacza więcej sensu. – Czy ona była dobra dla swojej rodziny?

– O tak! – wyraźnie usłyszał, jak mama się rozpromieniła. – Święta kobieta! – zawołała. – Wszystko dla rodziny. Była już dobrze po siedemdziesiątce, a prała, sprzątała, gotowała dla nich wszystkich. Powiem ci, że ta jej synowa to miała złote życie. Wychodziła do pracy i nic jej nie obchodziło. Teściowa posprzątała po śniadaniu, wstawiła pranie, a obiad to u nich zawsze dwa dania i kompot. – To ostatnie słowo wypowiedziała takim tonem, jakby własnej roboty kompot był takim ostatecznym sprawdzianem kompetencji życiowej człowieka albo luksusu, w jakim inni żyją.

– A oni to doceniali? – zapytał celnie Hubert. To chyba właśnie przez ten kompot nagle pomyślał, że gdyby on sam żył w takim układzie, może czasem czułby się nieco przytłoczony.

– A skąd! – odpowiedziała. – Wiesz, jacy teraz są ci młodzi. Jedna niewdzięczność i nic więcej. Bronia modliła się za nich cały czas, ale z synowymi to ciężka sprawa. Oczywiście nie każdymi – dodała od razu. – Twoja Marta jest naprawdę bardzo w porządku

i ja się nie wtrącam, ale mógłbyś czasem lepiej o nią zadbać. To nie jest moja sprawa, wiem, ale prawda jest taka, że twoja żona też ostatnio trochę przygasła.

No tak, rozmowa z mamą miała swoją cenę.

– Dziękuję ci – powiedział Hubert dość wieloznacznie. Mogło się to bowiem odnosić zarówno do uwag dotyczących jego życia, jak i śledztwa. – Śpij dobrze i spokojnie.

Był z siebie dumny, że tak dyplomatycznie kończy. Ostatnio zmienił poglądy w wielu kwestiach. Także odnośnie do uwag swojej matki. Może i były wkurzające, ale na pewno widziała rzeczy, których on sam długo nie umiał dostrzec.

– Jeśli będziesz się bardzo stresować, zadzwoń do Adama i poproś go, żeby cię tu przywiózł – powiedział. – Obudź go nawet teraz. Zresztą i tak być może wcale nie śpi, jak wielu facetów dzisiaj. Ja się nie mogę ruszyć, mam też trochę swoich obaw.

– Oczywiście. Tu cię muszę pochwalić – dodała niespodziewanie mama. – Wszyscy słyszeli te głupie plotki, że Wika chce jechać do Franka na noc. Mądrze żeś zrobił, że siedzisz i jej pilnujesz. To jeszcze młode, głupie, a niektórych błędów w życiu nie da się odkręcić.

– Pa!

Rozłączył się. Więcej informacji naraz mogłoby być dla niego za dużo.

Plotki! – pomyślał. – Wszędzie tylko plotki.

Szybko uchylił szerzej drzwi do pokoju córki. Spała mocno. Miała na sobie jasną kremową piżamę i wyglądała jak mała dziewczynka o zaróżowionych policzkach. Ale widział ją, jak przymierzała bieliznę, pytała go o jego pierwsze doświadczenia. Coś było na rzeczy.

Pilnuj jej – nakazał sobie. – Po prostu lepiej jej pilnuj.

Usiadł na materacu i wpatrywał się w łóżko córki. Przez chwilę nawet nie mrugał, jakby dziewczyna mogła się w kilka sekund zdematerializować. Ale czas mijał i powoli się uspokajał. Wyciągnął notes służbowy i zapalił latarkę w telefonie, zasłaniając ją dłonią, żeby nie obudzić córki.

Zaczął podsumowywać informacje od mamy.

Nie wiedział, czy cokolwiek mu to daje. Okej, może faktycznie nawet w małych miasteczkach ludzie nie znają się za dobrze. Może na niektóre rzeczy nie zwracają uwagi. Mówi się powszechnie, że nie ma ideałów, trzeba przymykać oko, iść na kompromisy. To z jednej strony jest słuszne, bo źle, jeśli związki rozpadają się z powodu byle błahostki. Ale z drugiej strony też uczy akceptacji, bylejakości, toksycznych zachowań, które nie powinny mieć miejsca, kiedy ludzie się kochają.

No i co z tego?

Miał ochotę głośno zawołać: „Co z tego?!". Przecież nikt nie morduje ludzi za to, że ich życie nie jest perfekcyjne. Jeszcze może gdyby oni coś temu mordercy zrobili. Ale przecież nie istniał człowiek, którego jednocześnie skrzywdziliby pani Bronisława, Piotr Maszkowski i doktor Wiktor. Nawet jeśli założyć, że wszyscy troje mieli mocno toksyczne usposobienie, to przecież każdy z nich działał w innym otoczeniu, wobec innych ludzi. Hubert nie potrafił sobie wyobrazić takiego łamańca umysłowego, który by umożliwił sytuację, gdy tak różni ludzie spotkaliby się w jednym miejscu i za sprawą swoich cech, które przecież ukrywali, zrobili coś, co sprowokowałoby jakiegoś, choćby i chorego psychicznie człowieka do zbrodni.

Jeszcze ta cholerna kokarda! Nikt o niej nie mówił, nawet Makarski się nie wymądrzał, jakby nikt nie wiedział, o co chodzi. Albo jakby wszyscy wiedzieli.

To się jednoznacznie kojarzyło z prezentem. Na dodatek wyjątkowym. Świątecznym. Piękna, czerwona, starannie zawiązana kokarda.

Zabójca musiał się pochylić nad ofiarą i poświęcić chwilę, by ją tak fantazyjnie zamotać. Nie był to gotowiec zapinany na rzepy czy na gumkę, lecz gruba czerwona kokarda, za każdym razem podwójnie związana, z ładnie wyprofilowanymi końcówkami. Jak u kogoś, kto daje drugiemu człowiekowi wymarzony upominek. A jest to osoba dla niego tak bliska, że stara się, by prezent nie tylko był wartościowy, lecz także pięknie wyglądał.

Zgasił latarkę i odłożył notes. Położył się na niewygodnym materacu.

– Kim jesteś? – wyszeptał w mrok. – O co ci właściwie chodzi? Dlaczego robisz takie straszne rzeczy?

Od tego ustawicznego myślenia o mordercy czuł pulsowanie w głowie.

Odpowiedź nie nadchodziła.

ROZDZIAŁ 18

Czuł się ogromnie zmęczony. Dopadł go głęboki kryzys, choć dziś wieczorem spodziewał się raczej czegoś innego. Radości i satysfakcji. Szło mu przecież tak dobrze. Nikt się nie domyślał. Był bezpieczny. Mógł dalej działać bez obawy, że ktoś go złapie.

Ostatnim razem i tak trochę zaryzykował. To nie była idealnie przygotowana zbrodnia. Raczej impulsywne, spontaniczne działanie. Dom Wiktora Orłowskiego znajdował się w ścisłym centrum miasta, przy dość popularnej, gęsto zabudowanej uliczce. Do gabinetu znajdującego się w suterynach często chorzy wpadali bez zapowiedzi. Wiktor się wściekał z tego powodu. Czasem kazał pacjentom godzinami czekać, ale i tak to robili.

Chodnikiem mógł ktoś przejść w każdej chwili, a ludzie, zmierzając na zakupy czy w innym celu, zwykle odwracali głowę w stronę tej dość reprezentacyjnej posiadłości. Duży ogród, stare drzewa, wypielęgnowane krzewy, a od frontu przepiękna kwiatowa rabata, która zmieniała się wraz z porami roku i ciągle była inna. Pani doktorowa zamawiała przez internet niezwykłe rośliny, jakich nikt tutaj nie miał, tworzyła profesjonalne kompozycje.

Jeśli ktoś skradałby się ukradkiem koło ich domu, na pewno zwróciłby uwagę.

Dlatego wyszedł jawnie, z wysoko uniesioną głową.

Na szczęście na nikogo się nie natknął ani na ścieżce prowadzącej do furtki, ani kiedy opuścił posesję. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej pojawili się pierwsi przechodnie. Ryzykował, wiedział o tym.

Przejeżdżały samochody, w domach naprzeciwko mieszkali ludzie, nigdy nie wiadomo, kto akurat stoi za firanką i przygląda się okolicy. Może pije kawę, pali papierosa albo nosi na rękach dziecko, jak jego żona kiedyś, od jednego okna do drugiego okna, godzinami.

Jednak był pewien, że nikt go nie zobaczył. To zabójstwo zgodnie z jego spodziewaniem wywołało w ludziach spory szok, a do tej pory nikt nie wymienił jego nazwiska. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by go skojarzyć ze zbrodnią. Gdyby jakikolwiek człowiek widział go w tym samym czasie pod domem doktora, na pewno by się odezwał.

Wmieszał się później w tłum. Pochodził trochę po rynku, odwiedził okolice komisariatu, wszedł do baru mlecznego, zamówił obiad. Słuchał czujnie.

Trochę się bał. Najgorsze, co może zgubić przestępcę, to pewność siebie, a on trochę przeszarżował z tą trzecią zbrodnią. Ale nic. Wszędzie toczyła się jedna dyskusja. Dziesiątki przypuszczeń, rozkładanie sprawy na czynniki pierwsze i nic. Był bezpieczny.

Dwie godziny później rozluźnił się nawet i wrócił do domu. I wtedy właśnie dopadło go to dziwne znużenie. Nie znosił tego miejsca, było okropne. Śmierdziało, wszędzie walały się jakieś rzeczy, nie miał nawet za bardzo gdzie usiąść. Ale co zrobić? Wyjść i znowu plątać się po mieście? Nie miał na to siły. Wszedł więc na górę, do jedynego w miarę czystego pomieszczenia, po czym padł na łóżko kompletnie bez sił.

Przez mikroskopijną szczelinę w mózgu, która nagle mu się utworzyła, dopuszczając konkluzje, jakie wcześniej zupełnie nie docierały, wpłynęła myśl, że stało się coś strasznego.

Wiktor Orłowski nie żyje. Wydarzyło się coś niemożliwego do naprawienia.

Szybko ją jednak zdusił. Nie ma sposobu, żeby sobie z czymś takim poradzić. Umysł sam zamyka niektóre drzwi. Nie dopuszcza wniosków, których nie mógłby udźwignąć.

Mężczyzna westchnął. Powieki same mu się zamykały, ale nie mógł zasnąć. Próbował odnaleźć drogę do tego zadowolenia, które towarzyszyło mu po pierwszej zbrodni. Poczucia słuszności wszystkiego, co zrobił, satysfakcji, ale dziś nie była to nawet ścieżka ani cienka nić. Po prostu nic. Był tylko on, jego beznadziejny dom, przesrane życie.

Próbował, ciągle próbował, ale wcale nie miał przekonania, że kiedykolwiek jeszcze w życiu usiądzie ze spokojem i pomyśli: wszystko się układa, jak należy.

Ktoś może nazwałby go katem, ale on wiedział, że jest tylko ofiarą.

Kat znajdował się gdzie indziej.

Jego ojciec całymi latami bił go pasem, gdzie popadnie, po nogach, plecach, po głowie, po policzkach. Mówił, że robi to z miłości. W ten sposób miłość, krzywda i cierpienie zlały się w jego głowie w jedną całość. Trwało to latami, tak długo, że w pewnym momencie nie był już w stanie oddzielić tych uczuć. Myliło mu się, co jest miłością, a co krzywdą. Dobro ze złem. Prawda z kłamstwem. Dobroć z przemocą. Stanowiły jedną wielką plątaninę nie do rozsupłania.

Ale jedno świetnie potrafił. Był doskonały w zachowywaniu pozorów, udawaniu, że nic się nie dzieje. Kiedy siniaki stawały się zbyt mocno widoczne, nie chodził do szkoły, kłamał, że się

przeziębił. Gdy znajdował się w stanie uniemożliwiającym pokazanie się ludziom, udawał, że wszystko jest w porządku. Patrzył, jak jego matka zmyśla niestworzone historie, byle tylko ukryć przemoc w domu, i sam też kłamał. Patrzył, jak jego matka nie potrafi obronić swoich dzieci, i potem sam nie umiał tego zrobić wobec własnych bliskich.

Ale teraz zmieniał świat na lepsze. Miał poczucie, że przynajmniej tyle może.

Jeszcze dwa punkty na liście, a potem odpoczynek.

Może gdzieś wyjechać? – przyszło mu nagle do głowy.

W sumie to niezły pomysł. Sprzedać wszystko i przeprowadzić się do ciepłych krajów, daleko, gdzie nikt nie zna ani jego ojca, ani matki, ani jego samego. Nikt by się nie zdziwił, gdyby wystawił dom na sprzedaż. Sam wczoraj widział cztery ogłoszenia, a na pewno posypie się ich więcej.

Ta myśl dodała mu trochę otuchy. Wykonać zadanie i zniknąć. Zacząć nowe życie daleko od Walewic. To cholerne miasteczko, które kochał tak bardzo, że był gotów mordować, nie przyniosło mu w gruncie rzeczy nic dobrego. Był tu szczęśliwy zaledwie przez chwilę. A dramat trwał latami.

Wstał. Nagle siły powróciły, a wraz z nimi chłodny umysł. Zdjął przepoconą koszulę. Sam nawet nie zauważył, że był taki mokry. Czy to ze stresu, czy z innego powodu, trudno powiedzieć, ale po prostu się z niego lało.

Potem poszedł pod prysznic. Wykopał z kabiny jakieś puste opakowania po szamponach i żelach do kąpieli. Ciągle coś niedbale ciskał pod nogi i teraz okazało się, że jest tych rzeczy tak dużo, że już dla niego nie znajdzie się miejsca.

Wykąpał się, ubrał w ciemną koszulę i takie same spodnie, wrzucił do plecaka kominiarkę i sztylet. Kolekcja ojca. Dziesięć identycznych platynowych sztyletów, które tata przywiózł dawno

temu z Tajlandii jako lokatę kapitału. Słusznie przewidywał, że na przestrzeni lat wartość tego kruszcu wzrośnie, ale nie wiedział, że jego syn wykorzysta je zupełnie inaczej. Nie do pomnażania rodzinnego majątku. W sposób, jaki ojcu nigdy nie przyszedłby do głowy.

Widzisz? – pomyślał, podnosząc spojrzenie. – Przynajmniej w czymś jednym jestem od ciebie lepszy. Krzywdziłeś, byłeś potworem, ale nigdy nikogo nie zamordowałeś!

Już sobie wyobrażał ten wzrok ojca. Pełen wylewającej się niewyczerpanej pogardy. Ojciec potrafił go uderzyć, nawet gdy był już dorosły, albo popchnąć, gdy mijali się w korytarzu, który przecież nie był wcale aż tak ciasny, czy szturchnąć. Gdyby nawet w dzieciństwie zbudowała się w nim jakakolwiek wiara we własne możliwości, toby ją to wytrząsnęło. Te ciągłe uderzenia, szturchnięcia, dziabnięcia.

Dedykował mu każdą zbrodnię i trochę żałował, że świat nigdy się nie dowie, kto tak naprawdę jest ojcem chrzestnym tych wszystkich walewickich morderstw. Ależ byliby w szoku!

Niestety nie mógł usiąść na rynku i zacząć opowiadać całej historii. Poszedłby za to do więzienia na długie lata, być może do końca swoich dni. Tego nie chciał i starannie się przygotowywał, żeby nie popełnić żadnego błędu.

Z ulgą wyszedł z domu. Poszedł na miejsce piechotą, choć miał spory kawałek. Samochodem zawsze większe ryzyko. Trzeba parkować, czasem przejechać przez jakiś monitorowany odcinek. Natknąć się na radiowóz. Pewnie i tak by nie skojarzyli, ale po ostatniej zbrodni postanowił nie dopuszczać nawet do minimalnego ryzyka.

Miał wprawdzie w garażu drugie auto, którego nikt nie kojarzył, ale zdecydował, że ono też może zwrócić uwagę. Wika je widziała. Musiał być teraz szczególnie ostrożny.

Gdyby go złapali, nie miałby szans. Trzy morderstwa. To spory wyrok. A przecież nie o to chodziło, żeby skończyć w więzieniu.

Szedł długimi krokami, pokonując kolejne metry.

Stanął dość daleko od domu następnej ofiary. Jednak mimo że w plecaku miał przygotowany sztylet, wiedział, że dziś tego jeszcze nie zrobi. Cała rodzina znajdowała się w środku i trudniej teraz zebrać dane na temat tego, gdzie się pojawią na przykład jutro. Ostatnie morderstwo wstrząsnęło Walewicami. Wiele osób zmieniło plany i codzienną rutynę. To komplikowało sytuację.

Wika przestała chodzić do szkoły i mężczyzna wiedział, że ojciec jej pilnuje. Widział także samochody policyjne patrolujące teren regularnie, choć nieco bez przekonania. Łatwo byłoby ich zwieść. Ale i tak musiał trochę poczekać, a bardzo tego nie lubił. Wręcz nie znosił.

Kiedyś sądził, że jest niecierpliwy, nawet próbował z tym walczyć. Potem psycholog wytłumaczył mu, że nie jest niecierpliwy, tylko po prostu śmiertelnie zmęczony. Życiem w długotrwałym stresie.

Ten psycholog ocenił poziom jego wyczerpania emocjonalnego na bardzo wysoki, chociaż nie znał nawet cząsteczki prawdy, a historie, które usłyszał, to były te najłagodniejsze. Mężczyzna nie wierzył w żadną tajemnicę lekarską ani tego typu rzeczy. Wiedział dobrze, że w razie sprawy w sądzie każdy specjalista ma obowiązek udostępnić dokumentację. Mówił więc niewiele, ale nawet ta garstka szczegółów sprawiła, że psycholog kiwał głową i mu współczuł.

Wytrzymał tylko dwie wizyty i zrezygnował z terapii. Jednak potem, kiedy wrócił do domu, doszedł do wniosku, że faktycznie czekanie w jego życiu zawsze było czymś złym. Czekanie na ojca, który wróci nie wiadomo w jakim nastroju, będzie agresywny albo

nie. Czekanie na kolejny cios, uderzenie, złe słowo. I to zbyt długie czekanie na najważniejsze, czyli wolność. Okazała się dość gorzka.

Ściemniło się. W domu Górskich zapalono światło. Podszedł trochę bliżej. Ludzie w Walewicach są tacy nieostrożni. Żałują pieniędzy na alarmy, rolety, zabezpieczenia w ogrodzeniach. Tak łatwo było do każdego ogrodu wejść, zdobyć informacje, podejrzeć przez okno.

Zobaczył ich. Siedzieli przy kolacji. Niewielki stół, tania lampa. Na meble pewnie się wykosztowali albo spłacali je na raty jak w wielu tutejszych domach. Wyglądali całkiem nieźle. Pozornie szczęśliwa rodzina. Z tej odległości nie widział oczywiście, czy się uśmiechają, ale gestykulowali i można się było domyślić, że rozmawiają.

Ktoś patrzący powierzchownie mógłby nawet odnieść wrażenie, że się lubią, ale on doskonale wiedział, jak bardzo pozory mogą być mylące. Jak straszliwie może się różnić obraz zewnętrzny od tego, co rzeczywiście dzieje się w środku. Jego ojciec był szanowany, lubiany przez wiele osób. Określany jako miły, serdeczny, cierpliwy. Podczas kiedy dla własnych dzieci był opryskliwy, brutalny, okrutny. Żadnych punktów stycznych.

Też czasem tak siedzieli przy stole. Sterroryzowane dzieciaki, którym kęsy chleba stawały w gardłach, matka bojąca się odezwać, żeby nie wywołać kolejnej awantury. Dlaczego nikt nie przyszedł? Nie pomógł im? Czemu nikt nie zauważył?

Wiedział, że musi przestać o tym myśleć, bo kiedy wracał do emocji tamtego chłopca, ogarniała go tak wielka rozpacz, że żaden człowiek nie jest w stanie tego przeżyć. Ludzkie serce nie ma takiej wytrzymałości. Musiał się skupić na swoim zadaniu, zdobyć informacje o tym, co Górscy planują na jutro. Czy Marta pójdzie do pracy, a Kamil do szkoły? Hubert zmieni zaplanowaną służbę? Czy puszczą Wikę na lekcje? Każą nadal patrolować te uliczki?

Zadanie nieco trudniejsze niż w poprzednich przypadkach, ale przecież nie tak bardzo.

Dowiem się – postanowił.

ROZDZIAŁ 19

– Słuchaj. – Mateusz zadzwonił w czasie kolacji. Hubert widział, że Marcie to się nie podoba, ale niestety nie mógł sobie pozwolić na to, żeby w sytuacji, gdy mieli trzy morderstwa i grasującego bezkarnie sprawcę, nie odebrać telefonu z pracy. – Wiesz, może nie potraktowałem poważnie twojego zgłoszenia, ale chciałem dać znać, że dziś w nocy będziemy patrolować okolice twojego domu już ściśle według procedur.

– A co się stało? – Hubert poczuł, jak włoski jeżą mu się na karku.

– Ktoś widział jakiegoś faceta. Podobno stał i wpatrywał się w wasze okno kuchenne, ale…

– Ale co?

– Nie rozpoznał go, niestety. Gość ukrył się w tych krzakach, które rosną naprzeciwko ulicy. Szybko zniknął, zanim tamten zdecydował się zbliżyć. Było ciemno. To może nic nie znaczyć, więc nie chcę siać paniki.

– Dobrze, dziękuję. Będę czujny. – Rozłączył się.

Hubert wstał i wyszedł do przedpokoju już chwilę temu i teraz pogratulował sobie w duchu tej decyzji. Poczuł ten sam strach, co wtedy o poranku, w dniu pikniku. Ktoś z jego rodziny był zagrożony. To dlatego od początku miał przeczucie, że sprawa

dotyczy go osobiście. Wcale nie chodziło o to, że złapie przestępcę, ale być może zginie!

Niemożliwe…

Otarł nagle pot z czoła, spojrzał na ściany dobrze znanego mu pomieszczenia. Szafa na ubrania, byle jak rozrzucone pod ścianą buty, duże lustro, komoda, nad nią zdjęcia dzieci. Wszystko normalne. W kuchni unosił się zapach pieczonych kiełbasek na cebulce. Zrobili sobie dzisiaj taką pyszną kolację.

Zmienił się, naprawdę to zrobił, stał się milszy dla swoich bliskich i wiedział, że teraz potrzebuje już tylko czasu, żeby niektóre rzeczy odbudować. Chciałby dzisiaj posprzątać kuchnię z Martą, żeby sobie odpoczęła przed wieczorem. Zamierzał obejrzeć z nią dobry film, a potem pójść razem do sypialni, kochać się jak dawniej. Może nie wyjaśnili sobie wszystkiego, ale przyjmowała jego dobre gesty. Nie odpychała go, choć nie reagowała z przesadnym entuzjazmem. Ale miała prawo się bać. Zawiódł ją pewnie wiele razy, nawet nieświadomie. Tylko że to w końcu ich sprawy. Poza tym nic nikomu nie zawinił.

Kiedy patrzył wstecz na swoje policyjne życie, nie widział nawet jednego niesłusznie danego mandatu, za to mnóstwo takich, które komuś podarował. Nie miał wielkich marzeń. Chciał tylko rodziny i spokojnego życia. Może jeszcze odłożyć na remont dachu, może w jakiejś niedalekiej przyszłości kupić nową lodówkę. Zabrać rodzinę w niedzielę nad rzekę.

Czego w takim zwykłym życiu miałby szukać morderca?

W tym momencie znowu zadzwonił Mateusz.

– Wiesz – powiedział. – Makarski ma taki nowy trop.

– Ciekawe – zainteresował się Hubert.

– Moim zdaniem trochę głupi – zastrzegł się od razu Mateusz. – Jak to on. Ale chciałem ci przekazać, bo to może cię trochę

uspokoić. Łaził chłop po sąsiadach ofiar, pytał i pytał po różnych ciotkach, wujkach. No to się i paru rzeczy dowiedział.

Hubert słuchał w napięciu.

– Podobno ta cała pani Bronisława – zaczął kolega – choć taka pobożna, wcale nie była miła dla swoich bliskich. Mieli tam ponoć z nią prawdziwe piekło. Do wszystkiego się wtrącała, o wszystkim chciała decydować. I choć nikt się do tego głośno nie przyznawał, rodzina czuła się przez nią sterroryzowana.

Właśnie! – pomyślał Hubert. – Jednak mama źle oceniła panią Bronisławę. Dla niej to była pełna poświęcenia Bronia, a dla bliskich ktoś bardzo trudny.

– I powiem ci jeszcze – dodał Mateusz – że mimo iż Wiktor oczywiście pasuje do tych wniosków, to w sprawie Piotra także mamy swoje podejrzenia. Siedzimy w komendzie i debatujemy. Morderca szuka ludzi toksycznych dla bliskich. To jest klucz – dodał z satysfakcją.

Hubert nic nie powiedział. Szedł tym samym tropem, ale nie rozumiał, czemu Mateusz jest taki zadowolony. Nawet jeśli mieli słuszność, to wciąż nie zbliżało ich ani trochę do znalezienia sprawcy.

– Więc ty nie pasujesz! – przekazał mu z entuzjazmem kolega. – Marta jeszcze mniej. Natomiast co do Wiki, ciągle nie jesteśmy całkiem pewni.

Hubert poczuł, jak strach znów podpełza mu pod gardło.

– W każdym razie sprawdzamy też tego całego Franka – opowiadał Mateusz. – Wyobraź sobie, że on na żaden z momentów tych trzech morderstw nie ma alibi – rzucił prawdziwą bombę.

– Jak to? – zapytał Hubert, ledwo łapiąc oddech.

– Nie był w szkole ani w domu przez nikogo wiarygodnego widziany. Na razie kręcimy się koło niego dyskretnie, ale pierwsze doniesienia są dość alarmujące. Pilnuj córki jak oka w głowie.

– To mi się nie wydaje prawdopodobne. – Hubert próbował opanować panikę i wysilić wyobraźnię.

Franek może i był chłopakiem sprawiającym najwięcej kłopotów ze wszystkich licealistów, ale przecież nie zimnym mordercą, do tego owładniętym dziwaczną misją poszukiwania toksyków.

– Widzisz – odezwał się Mateusz. – Ania mówi, że on ma bardzo ciężką sytuację rodzinną. Ojciec się nad nim ponoć znęca i już parę razy zastanawiano się, czy przypadkiem nie ograniczyć mu praw rodzicielskich. Za to matka go kocha. To dobra kobieta i trudno przewidzieć, jakie skutki miałby dla niego na przykład ośrodek wychowawczy. Może jeszcze gorsze niż ten niedoskonały, ale zawsze dom rodzinny. W końcu nikt z nas nie ma idealnie. A wiesz, jak jest w tych ośrodkach. Muszę kończyć, na razie. – Rozłączył się gwałtownie i Hubert domyślił się, że coś tam się nowego wydarzyło.

Oby nie kolejne złe wieści.

– Dziękuję – powiedział do milczącego już telefonu.

Najpierw usiadł na schodku prowadzącym do domu. Chciał pomyśleć. Ale zaraz potem się zerwał.

Nie ma ani minuty do stracenia!

Który z tych tropów jest słuszny, ciężko powiedzieć. Czy jakiś nastolatek doprowadzony do rozpaczy przez despotycznego, być może narcystycznego ojca może się nasłuchać dziwnych treści w internecie i stworzyć swoją wizję, że jest obrońcą świata i chronić innych przed swoim losem? Polować na ludzi, którzy znęcają się nad swoją rodziną, choć nikt tego nie widzi? Pozornie zwyczajni, wiodący normalne życie, ale w gruncie rzeczy bardzo dla bliskich niebezpieczni.

Otworzył drzwi i wpadł do środka. Stanął w drzwiach kuchni. Nogi się pod nim ugięły.

Wszyscy dalej siedzieli przy stole, wciąż pachniało kiełbasą i smażoną cebulą. Lampa nad stołem świeciła ciepłym światłem. Wszystko normalnie. Nadal byli razem. Bezpieczni.

Usiadł naprzeciwko nich.

Odpowiedź na pytanie, co by zrobił, gdyby został mu tylko jeden dzień życia, była w jego przypadku dość banalna. Jak wszystko, co go dotyczyło. Chciałby spędzić ten czas z rodziną. I kiedy jeszcze myślał, że może to zagrożenie dotyczy jego, zamierzał nic im nie mówić, po prostu być ostrożnym. Ale teraz bał się, że zamieszana jest w to jego córka. Jak? Nie wiedział. Przecież ona z całą pewnością nie była toksyczna. Nie miała dzieci. A może Franek patrzył inaczej? Psychopaci mają swoją zawikłaną logikę, która pozornie wydaje się konsekwentna. Ale w gruncie rzeczy może prowadzić w każdym kierunku.

Wika chodziła ostatnio bardzo najeżona, rzucała cynicznymi uwagami i wobec nikogo nie miała zbyt dużej dozy tolerancji. Oskarżała, oceniała, choć była jeszcze zbyt młoda, by rozumieć niektóre kwestie. I choć miała rację w wielu sprawach, to każdy toksyk sądzi, że ma rację i to usprawiedliwia jego zachowanie.

– Posłuchajcie – powiedział, siadając ciężko. – Przepraszam cię, kochana – zwrócił się do Marty – że nie powiedziałem ci tego wcześniej, ale Wika miała wrażenie, że ktoś ją śledził. Patrolują nasz dom i dlatego pozwoliłem jej zostać w domu.

Na moment zapadła cisza, ale zaraz potem odezwała się Marta:

– I naprawdę sądzisz, że ja nie wiem? – zapytała. – Że się nie zainteresowałam, dlaczego dziecko nie poszło do szkoły? – Spojrzała na niego tak jak jeszcze niedawno. Z lekceważeniem i żalem. – Wszyscy pilnują teraz dzieci, wielu uczniów zostało w domu, ale ty zachowywałeś się szczególnie.

– Przepraszam – powiedział raz jeszcze. – Przepraszam – powtórzył. – Nie pomyślałem o tym – przyznał.

Marta kiwnęła głową.

– Teraz dostałem wiadomość, że jakiś mężczyzna stał w krzakach i patrzył na nasz dom – wyznał Hubert i sam się przejął jeszcze bardziej. – Zaraz potem uciekł. Oczywiście to nie musi nic znaczyć – wyjaśnił pobladłej rodzinie. – Po prostu zbieg okoliczności. Jakieś zwykłe zdarzenie, na które normalnie nikt nie zwróciłby uwagi. Tyle że teraz wszyscy się boją.

Marta zaplotła dłonie, bo jej drżały.

– Nie wiem, do jakiego stopnia poważnie to traktować, ale na pewno nie możemy sobie pozwolić na lekceważenie – dodał Hubert, choć naprawdę wolałby próbować ich uspokoić. Ale sprawa była zbyt poważna. – Proponuję, żebyśmy wszyscy przespali się dzisiaj w salonie – dodał. – Przyniosę z góry materace z naszego łóżka i od was. Zrobimy sobie taki nietypowy piknik z mordercą w tle – próbował żartować, choć wcale mu nie było do śmiechu. – Zamówiłbym nawet pizzę, ale wszyscy jesteśmy strasznie napchani po tych kiełbasach.

– Jak ty możesz myśleć w tym momencie o jedzeniu, to ja nie wiem. – Marta objęła się mocno ramionami.

Pewnie jeszcze tydzień temu by się oburzył. Zaczął kłótnię, wyjaśniał, że przecież chce dobrze, a jeszcze go za to spotykają uwagi. Ale teraz tylko poszedł do żony i ją przytulił. Mocno. Stali tak bardzo długo. Czekał, aż ona sama się odsunie, uzna, że ma dość. Ale to nie następowało. Wtulała się w niego z całej siły. Dzieci wciąż siedziały przy stole i patrzyły na nich. Nikt się nie odzywał.

Hubert zrobił to dla Marty. Chciał ją pocieszyć. Jednak im więcej minut upływało, tym bardziej sam czuł się podniesiony na duchu. Ciało żony było ciepłe i miłe, płynęła z niego dobra energia. Marta odsunęła się i uśmiechnęła do niego. Pierwszy raz od dawna.

– Jakoś trzeba się trzymać! – powiedział. – Ten facet zostanie znaleziony, jestem tego pewien. – Po raz pierwszy czuł, że w tych słowach jest prawda.

Skoro faktycznie przeczucia miały ochotę trafiać właśnie do niego, to już z tym nie dyskutował. Jego strach okazał się słuszny, może więc także to przekonanie, że ten okropny morderca popełni niedługo jakiś błąd, też go nie myli? Miał tylko nadzieję, że nie stanie się to przy kolejnej zbrodni. Nikt już nie zginie. Nikt więcej nie zapłaci za urojenia chorego umysłu. Jakkolwiek źli byli ludzie, których ten człowiek zamordował, jakiekolwiek by popełniali błędy, on z pewnością był od nich wszystkich stokroć gorszy.

– Proszę, żeby nikt się stąd nie ruszał – dodał poważnym tonem. – Teren wokół domu jest patrolowany, nawet do łazienki chodzimy parami.

– Ty chyba oszalałeś! – zareagował natychmiast Kamil.

– Nie mam na myśli, że do środka – poprawił się Hubert. – Po prostu jeden wchodzi, drugi stoi pod drzwiami, żeby w razie czego usłyszeć wołanie o pomoc.

– Nie przesadzasz przypadkiem? – zapytał chłopak.

– Chciałbym, ale sądzę, że nie – odpowiedział ojciec bez cienia wątpliwości. – A nawet jeżeli, wolę przesadzać niż coś zaniedbać. Łazienka na dole ma okno nisko. Sam bym się przez nie włamał bez najmniejszego problemu. A przy dzisiejszym sprzęcie to po prostu pestka. Jeśli ktoś dostanie jakąś wiadomość – spojrzał na córkę – a już zwłaszcza taką, która nakłania do wyjścia, proszę natychmiast o informację.

Wika ścisnęła w tym momencie mocno telefon. Patrzyła na tatę, który imponował jej swoją stanowczością, chęcią do chronienia rodziny, a także tym, że przyjął krytyczne informacje i w sposób widoczny, choć dość nieudolnie, starał się wprowadzać je w życie. Nie wściekał się, nie bronił i nie wymyślał tysiąca wymówek,

tylko po prostu wziął się do roboty. Sprzątał, przytulał mamę i organizował energicznie piknik na środku pokoju.

Nie mogła mu jednak powiedzieć o Franku. Są rzeczy, których nawet najlepsi ojcowie nie rozumieją. Dostała od niego wiadomość przed kwadransem i nie zamierzała się nią dzielić. Z całą pewnością po mieście krążył morderca, być może nawet ją śledził, ale przecież to nie jest jej chłopak. On chciał się spotkać tylko na chwilę blisko domu, dwie przecznice dalej. Żeby przez moment porozmawiać. Tyle mogła dla niego zrobić. Było tam ustronne miejsce, w którym już parę razy się umawiali.

Walewice obfitowały w takie różne zakamarki, niespodziewane skupiska drzew, jakieś trawniki, małe stawy. Pozostałość po tym, jak kiedyś rosły tutaj lasy i rozpościerały się przetykane oczkami wodnymi łąki. Teraz miejscowość powoli rozrastała się na boki, ale wciąż jednak pełno w niej było takich nieużytków czy terenów, gdzie przyroda radziła sobie sama. Wymarzone miejsce na romantyczne spotkanie. Wika pomyślała też, że to wymarzone miejsce dla jakiegoś psychopaty. Ale przecież nawet najbardziej sprytny morderca nie mógł być wszędzie. Mało prawdopodobne, że pojawi się akurat w miejscu, w którym umówiła się z Frankiem.

Wbrew temu, czego obawiali się tata i wszyscy policjanci, Wika nie sądziła, żeby morderca nadal stał pod ich domem. To zbyt ryzykowne. A jak wszyscy ciągle powtarzali, ponoć to był jakiś megainteligentny gość. Po co zresztą miałby tu stać? Co więcej by zobaczył? Mama w panice pozasłaniała wszystkie okna, a w tym kuchennym, które nie miało zasłon, zaczepiła dwa duże ręczniki plażowe. Dziwne to robiło wrażenie. Jednak nawet gdyby ktoś zajrzał do środka, to przecież i tak nic interesującego by nie zobaczył. Zwykła rodzina przygotowująca się do snu.

Wika poszła do łazienki. Telefon schowała w piżamie, którą trzymała w objęciach. Mama zgodnie z instrukcjami taty,

uśmiechając się nieco niezręcznie, ruszyła za nią.

– Będę tu czekać – powiedziała, stając pod drzwiami.

– Oczywiście – zaśmiała się Wika. – Jeśli ktoś wybije szybę, zacznę wrzeszczeć. Jak zobaczę jakąś dziwną ciemną rękę, która wsuwa się do środka, również.

– Ty się lepiej bój jakiegoś dziwnego zapachu – podpowiedział jej Kamil. – Słyszałem, że wpryskują taki specjalny gaz do środka i usypiają ofiarę. Nie zdążysz nawet pisnąć.

– Co ty mówisz? – wystraszyła się mama. – Na wszelki wypadek się nie zamykaj – zwróciła się do córki.

– Proszę cię, daj spokój – zdenerwowała się Wika. Jeszcze tego brakowało, żeby jej pilnowali podczas kąpieli. Ta mała chwila prywatności była jej jedyną szansą. – On wymyśla! – zawołała, spoglądając na brata. – Poza tym jest głupi. Żadnego zapachu podobno się wtedy nie czuje.

– I właśnie dlatego jest to takie niebezpieczne – podkręcił panikę Kamil.

– Ja idę – odparła Wika stanowczo. – Nie denerwujcie się, jeśli to chwilę potrwa. Nie róbcie żadnych alarmów. Potrzebuję porządnie umyć głowę i trochę się pomoczyć w wannie. Odstresować. Kto chce szybko się umyć, może iść do łazienki na górze.

– Jasne. – Mama odpowiedziała w miarę spokojnym tonem.

Wika uznała więc, że udało jej się zyskać odrobinę czasu. Weszła do łazienki i szybko przekręciła klucz, a potem, nie tracąc ani sekundy, wpakowała się do wanny, otworzyła okno i cichuteńko wspięła na parapet, po czym wyskoczyła na zewnątrz. Złapała mocno framugę i przymknęła z trudem, bo z tej strony nie było klamki.

Miała nadzieję, że okno samo się nie otworzy, nie zacznie stukać i w ten sposób nie ściągnie uwagi rodziców. Plan był ryzykowny.

Cisza w łazience mogła zaalarmować mamę. Ale z drugiej strony drzwi były masywne, a Wika zawsze w łazience zachowywała się cicho.

Ledwo znalazła się w ogrodzie, poczuła przejmujące zimno. Pogoda dopisywała w ciągu ostatnich tygodni, a teraz wiał nieprzyjemny wiatr.

Ruszyła sprintem. Każda minuta była cenna. Biegła co tchu. Tuż za bramą potknęła się i dopiero tam zorientowała się, że cały czas ściska w dłoni swoją piżamę, którą kompletnie niepotrzebnie zabrała ze sobą. To z tych nerwów.

Rzuciła ją w krzaki, mając nadzieję, że odnajdzie, jak wróci. Trzęsła się ze strachu. Im dalej była od domu, tym bardziej głupi wydawał jej się pomysł, by słuchać Franka. Po raz pierwszy od dawna pomyślała ciepło o ojcu. O tym, co by się stało, gdyby odkrył, że uciekła. Złamała dane mu słowo, nadużyła jego zaufania i zaryzykowała życiem, które on próbował cały czas chronić.

Oczywiście trochę się czuła głupio, że takie górnolotne myśli przychodzą jej do głowy, ale całkiem nie mogła się ich pozbyć.

– Tylko na chwilę! – zawołała, kiedy wpadła prosto w objęcia Franka, a on uściskał ją mocno i natychmiast włożył jej rękę pod bluzkę. Bez ostrzeżenia. Zdrętwiała, umawiali się tylko na chwilę rozmowy.

– Nareszcie! – krzyknął. – Wymykasz mi się, nie słuchasz, a tego nie lubię. W miłości lojalność jest tak samo ważna jak wszystko inne.

– Mówiłam ci, że nie mogłam wyjść – próbowała się bronić.

Poczuła, jak robi jej się bardzo nieprzyjemnie. Byle jakie miejsce, niebezpieczne, do tego ten zimny, porywisty wiatr. Zanosiło się na deszcz. Franek niedbale ubrany i – dopiero teraz to zauważyła – z nieświeżym oddechem. Nawet mu się gumy do

żucia nie chciało wrzucić do ust, choć wszystko wyglądało na to, że umówił się z nią tutaj wyłącznie w jednym celu. Żeby wreszcie to zrobić.

Obie jego dłonie błądziły odważnie po jej ciele, jedną mocno ścisnął Wikę za pośladek. Zabolało.

– Poczekaj! – krzyknęła zaskoczona tym, co się działo. – Masz jakiś koc? Cokolwiek?

– To niepotrzebne – powiedział. – Zresztą nie będzie długo trwało, jesteś nowa w te klocki. Na pewno wiele jeszcze nie umiesz, z czasem to się pewnie zmieni.

Powiedzieć, że to wcale nie było romantyczne, to zdecydowanie mało. Jego słowa wbiły się w jej serce, powodując jeszcze większy ból niż ten fizyczny. Ściskał ją coraz mocniej, a jego pasek od spodni okropnie wbijał jej się w brzuch. Próbował rozpiąć jej bluzkę, ale w ciemności nie mógł znaleźć guzików. Zachowywał się coraz bardziej jak szaleniec, który nie zważa na nic. Myśli tylko o tym, żeby jak najszybciej zrobić to, na czym jemu najbardziej zależy.

– Nie chcę! – zawołała nagle Wika, próbując się bezskutecznie wyswobodzić z jego objęć.

Dotarło do niej wszystko w jednym momencie. Kim Franek tak naprawdę jest. Jak mocno ona się boi i nie chce, żeby taki facet zdzierał z niej bluzkę. Bez przerwy szarpał cienkim materiałem, bo małe guziki nie chciały się rozpinać.

Wika krzyknęła i natychmiast poczuła jego dużą dłoń na ustach.

– Cicho bądź, idiotko! – powiedział Franek zimnym, gniewnym tonem. – W mieście pełno policji. Chcesz, żeby cię przyłapali? Co powie twój ojciec?

To ją zmroziło. Już nie wiedziała, czego boi się bardziej, ale na pewno nie chciała się godzić na wszystko. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach, a w głowie kołatały się słowa ojca: „Chciałem, żeby

była bezpieczna, żeby czuła się wspaniale, żeby to była dla nas obojga wyjątkowa chwila".

W tym momencie guziki bluzki puściły, rozsypały się gdzieś po ziemi, a ona poczuła, jak robi jej się nie tylko zimno, lecz także, wbrew porze roku, wręcz lodowato. Potem Franek szarpnął mocno za biustonosz, a Wika zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Było jej już wszystko jedno. Jeśli ojciec się dowie, trudno. Wolała stanąć przed nim jak ostatnia idiotka w poszarpanym ubraniu niż to wszystko przeżywać. Tak krytykowała tatę, miała się za kogoś, kto lepiej zna się na życiu, tymczasem okropnie się pomyliła.

Franek wzmocnił uścisk na jej ustach. Chciał stłumić wrzaski. Wtedy go ugryzła tak mocno, jak tylko potrafiła, i poczuła silne uderzenie. Chlasnął ją całą dłonią w twarz. Z szoku aż nie mogła złapać oddechu.

– Zamknij się, idiotko, powiedziałem! – syknął, a potem wykręcił jej rękę i zaczął gdzieś ciągnąć. – Nie drzyj się, bo twój tata i tak cię dzisiaj nie będzie szukał. Chodzi plotka po mieście, że to on ma być następny, więc nie wyściubi nosa z chałupy. Cicho bądź.

Wika rozumiała już wszystko. To nie tata był jej największym wrogiem. Tylko że ta wiedza przyszła do niej nieco za późno. Franek był bardzo silny i ciągnął ją opustoszałą ulicą, cały czas zasłaniając jej usta. Była w samym biustonoszu, spłakana i przerażona.

Jak na złość nikt nie przechodził chodnikiem, nie stał w ogrodzie, nie palił papierosa, nie przejeżdżał samochodem. Ludzie się bali. Ta noc wydawała się o wszystkim decydująca. Przeczucie, że morderca znowu dzisiaj uderzy, męczyło niejednego i nie tylko Górscy czuli się zagrożeni.

Dlatego nikt nie pomógł młodej dziewczynie, która popełniła w życiu swój pierwszy, ale za to bardzo duży błąd.

ROZDZIAŁ 20

– Hubert, patrolujemy okolice twojego domu. Mamy jeszcze dwa inne podejrzenia, ale też parę niedobrych wieści.

– Słucham cię. – Hubert tak naprawdę wolałby nie wiedzieć. Ale musiał stawić temu czoła.

– Po pierwsze, Franek wymknął się z domu i zniknął chłopakom z radiowozu z oczu.

Świetnie – pomyślał Hubert. – Same sukcesy policja odnosi w tych Walewicach.

– Ale nie martw się – dodał szybko Mateusz. – Oczywiście go szukamy. Najważniejsze, żeby twoja rodzina siedziała teraz w domu – powiedział z takim naciskiem, że Hubert zaczął szybko się zastanawiać, czy jest coś, czego mu nie mówią. – Pilnuj Wiki, a sam nawet się nie waż uchylić drzwi. Nie wychodź. Ten psychopata zawsze dotąd atakował w domu. Ale nie mamy żadnej pewności, że nie wymyśli czegoś innego, rzuci tym sztyletem, użyje broni. Nie wiemy, czy jesteś bezpieczny, ale też nie panikuj, bo może w ogóle nie o ciebie chodzi.

A potem się rozłączył.

Hubert stał w przedpokoju, czując totalny mętlik w głowie. Sprawdził zamek od drzwi – były zamknięte. Wszystkie okna również. Kamil siedział na środku legowiska z materacy i pisał

coś intensywnie w telefonie. Marta stała pod drzwiami od łazienki oparta o ścianę i też coś wystukiwała na klawiaturze.

– Gdzie Wika? – zapytał. – Ciągle w łazience?

– Wiesz, jaka ona jest. Spokojnie – powiedziała Marta. – Dajcie jej chwilę. Dziewczyna potrzebuje się odstresować.

– Wszystkim nam jest ciężko. – Hubert nagle poczuł ogromny niepokój, przeszywający go od stóp aż po czubek głowy.

Trzema dużymi susami pokonał korytarz i załomotał w drzwi od łazienki.

– Wika! Czy wszystko w porządku?! – zawołał. Nie usłyszał odpowiedzi. Tłukł w drzwi jeszcze głośniej. – Odezwij się, proszę! – I tym razem odpowiedziała mu cisza. Walnął mocno w drzwi. – Wika! Jeżeli nic nie powiesz, wchodzę!

Włożył rękę do kieszeni i szybko wyciągnął scyzoryk, przy którym miał różne podręczne funkcje, między innymi końcówkę, którą bez trudu mógł otworzyć drzwi od łazienki. Szarpnął za nie tak mocno, że omal nie wyrwał z futryn, i wtedy z łomotem otwarło się okno, zrzucając na ziemię stojącą tam niewielką doniczkę. Roztrzaskała się w wannie.

– Boże! – zawołała Marta, łapiąc się za serce. – Gdzie ona jest?! Proszę cię, nie biegnij za nią! Nie w pantoflach! Nie masz telefonu!

Hubert bowiem bez chwili namysłu jednym susem wskoczył do wanny, potem na parapet i na zewnątrz. Nawet nie zdążył przebrać butów i faktycznie nie wziął telefonu. Miał przy sobie tylko ten scyzoryk, z którym pobiegł w ciemność. Nie minęła nawet minuta, gdy nie byli go już w stanie zobaczyć.

ROZDZIAŁ 21

Nigdy w życiu tak nie biegł. Kilka metrów od domu zgubił pantofle i teraz mocno uderzał bosymi stopami w chodnik. Czuł, jak kamyczki wbijają mu się w stopy. Nierówne płytki ocierały skórę. Gnał tak szybko, że mimo całkiem dobrej kondycji już po chwili czuł, że powietrze ostro wpada mu w płuca, powodując ból. Wielkimi susami pokonywał drogę, rozglądając się na boki, jakby miał w oczach reflektory. Skanował rzeczywistość.

Nie mogła odejść daleko – myślał w panice. – Marta mówiła, że minęło dopiero dziesięć minut, odkąd Wika weszła do łazienki. Nie było tam żadnych śladów mycia, więc zapewne natychmiast uciekła.

Boże, jaki to niewyobrażalny strach! Kto nigdy nie szukał dziecka po nocy, nie zrozumie tego uczucia.

Hubert czuł także coś jeszcze. Wszechogarniającą miłość do tej sprawiającej kłopoty nastolatki. Jego córki.

– Boże! Wika, gdzie jesteś?! Wika! – wołał.

Nie miał pojęcia, w którym kierunku ruszyć. Mogła się przecież umówić z Frankiem wszędzie. Trochę to było głupie, że tak wyskoczył, zamiast wsiąść do auta, ale samochodem mógłby jeździć tylko po ulicach, a ona poszła piechotą, więc tak miał szansę dotrzeć w miejsce dla niej dostępne. Liczył, że może

spotkali się w jego domu, i szedł w tym kierunku, ale jednocześnie cały czas szukał innych rozwiązań i rozglądał się na boki.

– Wika! Wika, gdzie jesteś?! – krzyczał.

Puste ulice odpowiadały mu ciszą. Żadnych ludzi. Ani jednego przechodnia. Nikogo, kogo można byłoby zapytać o zagubione dziecko. I to straszliwe uczucie przerażenia i paniki w głowie. Ta pustka. Nagle Walewice stały się ogromne. Niemożliwe do przetrząśnięcia w tak krótkim czasie. Nie miał nawet telefonu, postąpił głupio i impulsywnie, a jego kompetencje policjanta okazały się nic niewarte. Teraz nie mógł nawet zadzwonić po posiłki.

– Boże, pomóż mi! – wołał. Modliłby się teraz do każdego, kto mógłby mu udzielić wsparcia. – Żeby tylko jej się nic nie stało, żeby tylko jej się nic nie stało – prosił.

Tyle lat miał w domu dzieci, jedli śniadania, kolacje, byli bezpieczni, kompletnie nie zwracał na to uwagi. Jakby to było coś oczywistego. Tak, to zdecydowanie była historia o niedocenianiu, a także o nieświadomości, że nawet zwykły człowiek może w jednej chwili wszystko stracić. Jeśli Wiki zabraknie, nic już nie będzie takie samo. Zeżrą go wyrzuty sumienia, bo jednak dał się nabrać jak pierwszy lepszy naiwny ojciec. Naprawdę nie przyszło mu na myśl, że ona ucieknie. A to świadczyło o tym, że wiedział o swoim dziecku mniej niż taki na przykład Franek, który ją bez problemu wyciągnął z pilnie strzeżonego domu.

Bez wątpienia punkt dla niego.

Złość sprawiła, że Hubert nawet nie czuł, jak zaczynają mu krwawić stopy, a w piętę wbił się kamyk.

Oby tylko była bezpieczna! Franek, jeśli ją kochasz, nie zrób jej krzywdy! – prosił.

Ale coraz bardziej się bał, że człowiek, którego tak usilnie poszukują, to właśnie ten zbuntowany, nieszczęśliwy nastolatek.

Zgroza!

ROZDZIAŁ 22

Franek ciągnął ją z całej siły i po chwili dotarło do niej, dokąd on zmierza. Przy tej ulicy stał opuszczony dom, a przy nim szopa. Koledzy Franka spotykali się w niej nieraz, palili papierosy, próbowali pierwszych narkotyków, a czasem tylko siedzieli, pili piwo i snuli różne opowieści o tym, jak kiedyś zwojują świat, a wtedy ci wszyscy dorośli, którzy się kompletnie na niczym nie znają, zobaczą, jaka jest ich prawdziwa wartość.

To tam najczęściej Franek przechwalał się, jak to świetnie dowalił na przesłuchaniu ojcu Wiki, jaką miał nad nim przewagę.

Teraz dziewczyna zrozumiała, że zapewne było dokładnie na odwrót i być może żaden z tych chłopaków nigdy nie wydostanie się poza poziom picia piwa i snucia opowieści.

A co – pomyślała w nagłej panice – jeśli to Franek jest mordercą?

Już wiedziała, że ma dwie twarze, a jedna z nich jest zdecydowanie mroczna. Ogarnęło ją tak wielkie przerażenie, że aż przestała się opierać. Już nie miała siły. Wszystkie jej mięśnie nagle zwiotczały. Stała się bezwładna, przez to nieco cięższa.

– Co jest?! – ryknął Franek. – Rusz się! Powinno ci zależeć, żeby nas tutaj nikt nie zobaczył.

– Zostaw ją! – zawołał ktoś w tym samym momencie, a Wika, choć wydawałoby się to niemożliwe, przeraziła się jeszcze bardziej, bo nagle z krzaków wyskoczyła ciemna postać, zgodna z opisem, którego tutaj wszyscy tak bardzo się bali. – Zostaw ją! – powtórzył mężczyzna, a ona rozpoznała ten głos i całkiem osunęła się na ziemię.

Doktor Lenartowicz! Jaka nieprawdopodobna ulga.

– Co ty wyprawiasz, człowieku?! – Oskar chwycił Franka za ramiona i mocno potrząsnął. – Na litość boską! Obudź się! Co ty wyprawiasz?!

Ku jej zdumieniu Franek faktycznie jakby nieco oprzytomniał. Doktor Lenartowicz był wysoki i postawny, Franek również, choć trochę szczuplejszy. Patrzyli sobie w oczy. Ale siła charakteru Oskara była większa, Franek jako pierwszy odwrócił głowę.

– Co ty robisz ze swoim życiem? – Tego pytania chyba nikt wcześniej Frankowi nie zadał. – Na siłę ciągniesz przez miasto półnagą dziewczynę?! Człowieku, ty za rok będziesz w więzieniu, na dnie, i już nigdy stamtąd nie wyjdziesz! Nigdy nie wyjdziesz! – dodał z mocą. – Już jesteś na dnie, młody.

Pchnął go z całej siły, a potem podniósł Wikę z ziemi i mocno przytulił.

Boże, jakie to było przyjemne! Taki ciepły mężczyzna w gładkiej koszuli objął ją ramionami, a ona poczuła się całkowicie bezpieczna.

Tego szukałam – pomyślała. – A znalazłam coś kompletnie przeciwnego.

Ledwo to jednak do niej dotarło, znów ktoś nią szarpnął.

– Zostaw ją! – usłyszała. – A to pan, panie doktorze. – Aspirant Mateusz wyłonił się jakby spod ziemi i szybko zorientował się, że to nie przed Lenartowiczem trzeba chronić Wikę.

Ale ten krótki moment zawahania został od razu wykorzystany. Franek odwrócił się na pięcie i zaczął bardzo szybko uciekać.

Policjant rzucił się za nim.

– Zabezpiecz ją! – zawołał jeszcze w stronę lekarza.

– Oczywiście. – Lenartowicz kiwnął głową.

Próbował ustawić dziewczynę, wziąć pod ramię i podprowadzić, bo nie miał samochodu. Jednak Wika nie była zdolna do tego, żeby iść. Doktor, nie namyślając się długo, wziął ją na ręce i zaczął maszerować w stronę jej domu. Spory kawałek. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jak daleko z Frankiem odeszli. Nie płakała, popadła w jakieś dziwne odrętwienie. Przytulała policzek do jego piersi, kołysała głową w rytm jego miarowych kroków, wsłuchiwała się w coraz bardziej przyspieszony oddech i nie była w stanie już sformułować żadnej myśli.

Po prostu czuła, że żyje. Chyba po raz pierwszy. Dotąd wstawała rano, jadła, szła do szkoły, przeżywała różne rzeczy, ale nie miała takiej świadomości, że żyje, jest i że wcale nie musi tak być. To nie taka normalna rzecz, jak się wydaje.

A potem przymknęła powieki, usłyszała w oddali jakiś głos, ktoś ją chyba wołał. Po chwili jednak ucichł.

ROZDZIAŁ 23

Marta nakazała Kamilowi pod żadnym pozorem nie wychodzić z domu. Uściskała go mocno, spojrzała mu w oczy i powiedziała, że darzy go całkowitym zaufaniem. Otarła łzy. Musiała wziąć się w garść, ale zupełnie nie wiedziała, jak skłonić swoje drugie dziecko, żeby nie zrobiło niczego głupiego.

Potrzebowała choć odrobiny poczucia bezpieczeństwa. A jedyne, co jej przychodziło do głowy, to przykuć go do kaloryfera. Kajdanki mieli, bo Hubert trzymał jedną parę w szufladzie. Wiedziała jednak, że to najgłupszy pomysł świata.

Zamiast tego znów uściskała syna.

Wzięła telefon Huberta, jego buty, skarpetki, środki opatrunkowe, wodę i paracetamol. Wrzucała to wszystko do plecaka trzęsącymi się z nerwów dłońmi, potem wyciągnęła jeszcze latarkę z szafki i ruszyła przed siebie.

Musiała go odszukać. Hubert pobiegł za dzieckiem kompletnie nieprzygotowany. Rozumiała jego emocje. To jest taki strach, że człowiek jest zdolny do wszystkiego. Miała nadzieję, że go znajdzie i razem z Wiką wrócą do domu. Walewice nie są przecież aż takie ogromne. Akurat w tym momencie mogło się to okazać sporą zaletą. Bała się. Bardzo się bała. Trzęsły jej się ramiona i szczękały zęby, nawet nie próbowała tego opanowywać.

W jej kieszeni rozdzwonił się telefon męża. Dłonie tak jej się trzęsły, że ledwo odebrała.

– Cześć, tu Ania – usłyszała głos pani prokurator. – Hubert, błagam cię, uważaj na siebie. Cała policja jest w Walewicach w gotowości, powinni się kręcić wszędzie. Mamy świadomość, że on planuje kolejną akcję i niestety wciąż żadnego tropu. Oprócz tego, że cały czas lawiruje pomiędzy nami wszystkimi. Pilnuj, proszę, siebie i Wiki.

– Dobrze – powiedziała Marta.

– O rany! – wystraszyła się Ania. – Przepraszam cię. Myślałam, że rozmawiam z Hubertem. Jestem taka zdenerwowana, że nawet nie zwróciłam uwagi, że się nie przywitał.

– Nic się nie stało – odparła Górska, ale chyba słabo to zabrzmiało.

– Wszystko u was dobrze? Jesteście bezpieczni?

– Nie mam pojęcia. Na razie bym tak tego nie ujęła. – Marta opowiedziała Ani o wszystkim, co się wydarzyło, a ta obiecała natychmiast pomóc.

– Dam znać, jak tylko czegoś się dowiem – rzuciła i szybko się rozłączyła.

Wiadomość o tym, że Wika uciekła, a Hubert błądzi gdzieś po ciemnych ulicach i jej szuka, wyraźnie nią wstrząsnęła. Jakby wiedziała coś, czym nie chciała się z Martą podzielić, i to było przerażające.

Na pewno nie miała dobrych wieści. Żaden z patrolujących miasto policjantów nie znalazł jej córki. Natychmiast by jej przecież o tym powiedziała.

Pewnie dzwoniłby też Mateusz, ale jak na razie przysłał tylko esemesa do Huberta, żeby mu przypomnieć o konieczności zachowania ostrożności, pilnowania siebie i dziecka.

Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Pozbawiające tchu, zdolności trzeźwego myślenia, nawet plączące nogi, bo Marta z coraz większym trudem stawiała kroki, jakby była pod wpływem alkoholu.

Kwadrans później zobaczyła jakiegoś wysokiego, ciemno ubranego mężczyznę, niosącego kogoś na rękach. Szedł bardzo wolnym krokiem, wyraźnie zmęczony. W pierwszej chwili pomyślała, że to morderca niesie swoją kolejną ofiarę. Ale zaraz potem podbiegła bliżej i zobaczyła, że to Oskar Lenartowicz niesie jej córkę.

– Boże! Wika! – zawołała. Dziewczyna była w fatalnym stanie. Rozczochrana, spłakana, w samym biustonoszu, brudnych spodniach, miała otarte do krwi łokcie. – Co się stało?! – krzyknęła.

– Pomóż mi – powiedział Oskar, po czym postawił dziewczynę na ziemi. Wzięli ją oboje pod ramiona i zaczęli prowadzić. – Człowiekowi się wydaje, że ma siłę – dodał Oskar, z trudem łapiąc oddech. – Ale, kurczę, ledwo tu dotarłem.

Marta nie pytała więcej, po prostu skupiała się na tym, żeby pokonywać kolejne metry. Wika była słabiutka. Ledwo stawiała kroki. A wiatr wiał mocno akurat w ich stronę.

– Dzwoniłeś na pogotowie? – zapytała Marta.

– Nie – odparł Oskar. – Obejrzę ją, jak tylko dotrzemy do domu. Myślę, że jest w szoku. Bardzo przestraszona. Ale większych obrażeń wewnętrznych raczej nie ma.

– Obejrzyj ją dokładnie – poprosiła Górska.

Wika słyszała ich rozmowę, ale nie odezwała się ani słowem.

– Nie martw się. Wstępnie ją obejrzałem – powiedział Lenartowicz. Otarł pot z czoła. – Zrobię wszystko, co trzeba – obiecał.

– Jeszcze tylko kawałek.

Głowa Wiki kołysała się to na jedną, to na drugą stronę, a Marta też szybko dostała zadyszki. Nie zdawała sobie sprawy, jak ciężkie potrafi być takie na wpół bezwładne ciało.

Dotarli wreszcie do domu. Marta zadzwoniła, ale Kamil nie otwierał. Wściekła się, że znowu siedzi przed komputerem i pewnie ma słuchawki na uszach. Jak można w takiej chwili grać?! Rozumiała, że może to dla kogoś być ucieczka od problemów, ale mimo wszystko było to dość szokujące.

Siostra zaginęła, ojciec błąka się po mieście, narażając życie, a ten gra?!

Wysupłała klucz z kieszonki plecaka, kilka razy musiała celować, zanim udało jej się włożyć go do dziurki i przekręcić. Weszła do środka.

Z trudem podprowadzili Wikę na kanapę. Doktor Lenartowicz też ledwo trzymał się na nogach.

– Poczekaj! – zawołała Marta, biegnąc do kuchni. – Dam ci wody. Jej też.

– Najpierw koc – odparł szybko lekarz.

Wika miała mocne dreszcze.

Jej matka pobiegła do pomieszczenia obok i po chwili przyniosła dwa ciepłe koce. Ułożyli dziewczynę na poduszkach, a następnie ją przykryli. Cała się trzęsła, jak oni wszyscy. Marta pobiegła po wodę, a doktor poprosił jeszcze o termometr.

– Nie mam niczego ze sobą – powiedział, odkładając na bok niewielki plecak. – Nawet stetoskopu. Poproś Huberta, żeby mnie podrzucił pod dom, to sobie przywiozę jakiś sprzęt.

– Nie ma Huberta – odparła. – Pobiegł szukać Wiki i gdzieś zaginął. – Głos jej się załamał. – A ja się boję, że morderca poluje właśnie na niego.

Doktor Lenartowicz nie odezwał się ani słowem, spojrzał tylko jakoś dziwnie i wtedy Marta zrozumiała, że ma rację. On też tak

uważał. O ile dotąd nikt nie mógł wpaść na właściwy trop, tak teraz nagle wszystkim puzzle układały się w całość. Ale dlaczego Hubert? Nie mogła tego zrozumieć.

Zaczęła płakać.

– Poczekaj – powiedziała, zrywając się nagle. – Zawołam Kamila. Też przecież ma prawo jazdy. Podrzuci cię do domu.

Na miękkich nogach podeszła do pokoju syna. Musiała się przytrzymać ściany, żeby tam dotrzeć. Przykro jej było, że chłopak nawet nie wyszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje. Stu morderców mogłoby wejść i maszerować po domu, a on wcale by nie zauważył. Otarła szybko łzy, a potem otworzyła drzwi.

– Kamil! – zawołała.

Zamrugała, bo łzy jednak wciąż płynęły dość obficie. Chciała wyostrzyć obraz, bo wydał jej się jakiś dziwny. Wtedy dotarło do niej, że mówi do pustego fotela. Syna nie było. Myślała, że jej przerażenie już nie może być większe. Szukała córki po ciemnych ulicach, a potem zobaczyła ją w koszmarnym stanie. Miała świadomość, że gdzieś tam w mieście jest jej mąż. Boso, bez telefonu, a za każdym krzakiem mógł stać ciemno ubrany człowiek o złych zamiarach. A teraz dotarło do niej, że to samo niebezpieczeństwo zagraża także jej synowi.

Poczuła straszny ścisk w klatce piersiowej.

– Oskar, rany boskie! – Wbiegła do salonu. – Nie ma Kamila.

– Nie ma? – Wika podniosła głowę.

– Tak. A wcześniej ojciec poleciał cię szukać. Nawet butów nie zabrał.

– Naprawdę? – Wika płakała. – No to ja ci powiem, że Kamil na pewno poszedł szukać jego.

– Ale co ty mówisz? – oburzyła się Marta. – On nie znosi ojca, nie zaryzykowałby. Ostatnio prawie w ogóle się do niego nie odzywa.

– Mylisz się. On go kocha. – Wika się wyprostowała i podciągnęła koc pod brodę. – Jestem pewna, że popędził go szukać.

– Może lepiej, żeby nikt już się stąd nie ruszał. – Oskar wypił podaną mu wodę, pogładził włosy, westchnął ciężko i wstał. – Ja pójdę.

– Dobrze – zgodziła się Marta.

Bardzo potrzebowała teraz kogoś zaufanego.

– Chciałem powiedzieć: „Wezwijcie w razie czego jakiegoś innego lekarza", ale kurczę, nie ma. Nie wiem, czy ten młody Orłowski się do czegoś nadaje, jakby co, dam ci do niego numer telefonu.

No tak, do Wiktora mieli wszyscy, ale jego syn jeszcze nie zdążył tutaj zaistnieć jako fachowiec.

– Daj mi jakąś kartkę – poprosił.

Marta zdziwiła się, że tak się zabezpiecza, jakby wiedział, że prędko nie wróci. Może miał inne plany? Znalezienie Wiki z pewnością go zaskoczyło. Podeszła do komody, czując, jakby wzięcie notesu i długopisu stanowiło zadanie ponad siły. Była wyczerpana. Podała mu, co potrzebował, a on spisał z telefonu numer, zostawił kartkę na stoliczku i poszedł.

Marta westchnęła równie ciężko co on przed momentem, po czym wybrała numer Artura Orłowskiego. Czuła, że Oskar szybko się nie pojawi. Może to nic dziwnego, ledwo się trzymał na nogach, a do domu miał spory kawałek do przejścia. Nie mogła go jednak podrzucić, za nic nie zostawiłaby teraz Wiki samej.

Telefon dźwięczał długimi sygnałami. Straciła nadzieję, że Artur odbierze. Pewnie już spał.

– Dobry wieczór – przywitała się gwałtownie, kiedy usłyszała jego głos. – Przepraszam, że cię budzę, ale to szczególna sytuacja. – Płakała. Nie mogła przestać, aż łapały ją spazmy. – Ktoś napadł moją córkę, jest w domu. Czy mógłbyś sprawdzić, co z nią? –

poprosiła cicho. – Nie chcę dzwonić na pogotowie, bo mi ją zabiorą, a ona teraz potrzebuje domu i spokoju. Poza tym doktor Oskar powiedział, że prawdopodobnie nie ma wewnętrznych obrażeń.

– Żaden problem – odparł Artur zachrypniętym głosem, wskazującym, że jeszcze przed chwilą spał. – Wsiadam do auta – dodał. – I do dziesięciu minut będę. Góra kwadrans.

– Dziękuję ci – odparła, ledwo zdolna, by skończyć tę rozmowę.

Wszystko było w porządku. Chłopak zachował się bardzo grzecznie, a jednak Marta nie mogła opanować spazmów przerażenia. Czemu tak szybko się zgodził? Czy to nie podejrzane? Jest teraz z córką sama w domu. Co za świat? Nikt nie może czuć się bezpiecznie. A co, jeśli to on jest mordercą?

Przecież my za chwilę wszyscy tutaj oszalejemy! – pomyślała przerażona. – Nie da się żyć w świecie, w którym każdy może być podejrzany.

* * *

Dokładnie dziesięć minut później zadzwonił dzwonek do drzwi i w progu stanął młody doktor Orłowski.

Mimo przerażenia i okropnej sytuacji Marta pomyślała, że ten chłopak zawsze będzie w Walewicach młody i nawet po pięćdziesiątce pozostanie synem starego doktora Orłowskiego. Ale ta lekka myśl, która łączyła ją cienką nicią z dawnym światem i życiem, gdzie była sobie po prostu kobietą myślącą o takich sprawach, szybko zniknęła.

Artur nie był taki śmiały jak jego tata. Wszedł do pomieszczenia ostrożnie, a zbliżył się do Wiki dopiero, kiedy Marta pokazała mu dłonią kanapę, choć przecież z daleka było widać, gdzie jest pacjentka. Podszedł do niej powoli. Był spokojny. Usiadł obok niej i spojrzał jej w oczy. A potem wziął ją za rękę.

– Już wszystko w porządku – powiedział, a ona gwałtownie otarła łzy. – Jesteś bezpieczna i drugi raz nie pozwolisz sobie tego zrobić, prawda? – To były chyba właściwe słowa. – Obronisz się, podejmiesz dobre decyzje i będziesz się sobą lepiej opiekować. Ja to wiem…

O tak! – mówiły oczy Wiki, a jej siła, która na chwilę zniknęła, prowadząc ją do bardzo błędnych decyzji, wróciła na swoje miejsce. Dwa razy większa. Bogatsza o trudne doświadczenie.

Artur wyciągnął stetoskop. Zbadał ją, obejrzał źrenice, sprawdził brzuch, zadał jej kilka pytań cichym głosem, tak że Marta nie słyszała. Domyśliła się, że dotyczyły ewentualnego gwałtu. Słowa, które do tej pory znała tylko z filmów, książek, nawet nie z opowieści, bo nigdy nie spotkała człowieka, którego by to dotknęło. A teraz stanęła wobec świadomości, że może jeszcze chwila, kto wie, kwadrans, pół godziny, i zgłaszaliby taki fakt na policji. A ona tygodniami, może latami, musiałaby wspierać córkę, która przeszła przez takie piekło.

Marta cały czas wykonywała telefony do Kamila, ale nie odbierał. Wreszcie przyszedł esemes:

Mamo, żyję.

Dość charakterystyczny dla syna, który w ten lakoniczny sposób komunikował się z nią z różnego rodzaju obozów, wyjazdów czy wyjść do kolegów. Odkąd skończył trzynaście lat, nie było już szczegółowych raportów: co słychać, co robi i że tęskni.

Ale teraz ten zwięzły komunikat miał szczególną wartość. Wielką i dosłowną. To było najważniejsze. Żyje.

Znalazłeś ojca? – zapytała.

Nie była pewna, czy odpowie, skoro nie odbierał, ale odpisał.

Niestety nie.

Na kanapie toczyła się wciąż przyciszona rozmowa. Marta odnosiła wrażenie, że badanie już się zakończyło, a oni ciągle siedzieli. Artur miał w sobie spokój, który udzielił się jej córce. Przestała się trząść, a po policzkach nie płynęły już łzy, mimo że ciągle była przerażona. Ale widać było, że chce rozmawiać z młodym doktorem, dobrze to na nią wpływa. Marta bacznie się temu przyglądała. Ten chłopak miał jednak w sobie nie tylko spokój, lecz także wielki smutek.

Marta uświadomiła sobie, że Artur zawsze, odkąd go pamiętała, nawet jako dziecko, miał już w sobie ten rys. I w nagłym przebłysku dotarło do niej, że od pewnego czasu Wika też ma takie smutne oczy. Być może stało się to jakimś zalążkiem porozumienia, bo ci młodzi wyraźnie złapali wspólny temat. W tej dramatycznej sytuacji Wika zdecydowanie nie wyglądała dobrze. Spłakana, potargana, z ciemną smugą błota na policzku i czole. A jednak ten chłopak patrzył na nią z ogromnym zachwytem i sympatią. Ona na niego również.

Normalnie Marta by pomyślała, że coś zaskoczyło między nimi. Połączenie na głębszym poziomie, jak pomiędzy ludźmi, którzy są sobie bardzo bliscy, podobni w istotnych sprawach i dlatego dobrze się rozumieją.

Bez sensu! – pomyślała szybko. – On przecież dopiero co miał się żenić, a ona jest w liceum. Owszem, poważna nad wiek. Ale co mi w ogóle chodzi po głowie? – Palnęła się w czoło. – Nie w takim momencie. Przecież chemia między ludźmi nie może się narodzić wśród takiej katastrofy.

Miała do tego chłopaka tak wiele pytań. Czy wie, kiedy wydadzą mu ciało ojca? Co z pogrzebem, kto go zorganizuje? Jak sobie radzi jego mama? A narzeczona?

Wszystkie jednak były dość nietaktowne i niosły spore ryzyko, zwłaszcza to dotyczące przyszłej żony Artura. Teściowa już jej zdążyła przekazać najnowsze plotki, że podobno dziewczyna zawinęła się do Krakowa i nie daje znaku życia. Minęło jednak niewiele czasu. Może się w każdej chwili odezwać, też jest pewnie w szoku.

– Jak mama się trzyma? – zapytała wreszcie, bo zaczęło ją denerwować, w jaki sposób Wika patrzy na tego chłopaka.

Chciała odwrócić uwagę młodych od siebie, bo to się stawało powoli aż niezręczne.

– Źle – odparł Artur. Wyprostował się i puścił dłoń Wiki. – Nie ma co ukrywać, po prostu źle. Przepisałem jej tabletki na uspokojenie, ale to chwilę potrwa. Wszystko jej się posypało. Żyła tylko życiem ojca, a jego już nie ma. Żyła też naszym ślubem, ale jego też nie będzie…

– Spokojnie – powiedziała Marta, która wystraszyła się tą ostatnią wiadomością. Tym bardziej że Wika wyraźnie się nią zainteresowała i chyba uznała za coś pozytywnego. – Spokojnie – powtórzyła. – To, co was spotkało, jest zaskakujące i straszne, ale wszystko się ułoży. Żałoba minie i choć może nie zrobicie takiego spektakularnego ślubu, jak chciał twój ojciec, to jednak się pobierzecie.

Artur uśmiechnął się z tym swoim charakterystycznym smutkiem.

– Gdybyśmy się kochali, to owszem – przyznał. – Myślałem, że tak właśnie jest.

– Na pewno. – Marta energicznie kiwnęła głową, choć przecież nie mogła tego wiedzieć.

Artur się skrzywił.

– Moja narzeczona kochała ten ślub – powiedział cicho, po czym spojrzał na Wikę, a ona miała taką minę, jakby go chciała przytulić, a przeszkadzała jej w tym tylko obecność matki. – I zdecydowanie bardziej była pod urokiem mojego ojca niż moim… – zakończył chłopak.

Marta aż się wyprostowała.

– Co ty mówisz? – Mimo woli też się przejęła.

– Zerwała ze mną dwie godziny po tym, jak zabrano ciało ojca z domu – przyznał się Artur. Widać było, że jest mu ogromnie przykro. Wika zakryła dłonią usta, jakby chciała krzyknąć. – Nie odzywa się – dodał. – Nie odpisuje na esemesy i zablokowała mnie w mediach społecznościowych. Ludzie robią takie rzeczy z dwóch powodów: żeby ukryć jakieś podwójne życie, wiem, że to nie miało miejsca, albo żeby ukryć jakieś nowe życie. I to się może stać bardzo szybko. – Pochylił głowę.

Teraz Wika złapała go za rękę. Już się nawet nie przejmowała matką.

– Okropne – powiedziała. – Dobrze rozumiem, jak to jest. Okropne – powtórzyła.

– Wiem, wiem. – Artur pokiwał głową. – Okropny to moja specjalność. Ciągle ktoś mnie ma za tego gorszego od ojca… Taki los…

Marta poczuła wyrzuty sumienia. A oni go podejrzewali! Jak to człowiek czasem się zmienia pod wpływem dramatycznych doświadczeń. Od nieumiejętności podejrzewania nikogo przeszli do szybkiego podejrzewania każdego.

– Moja mama też się załamała tym ślubem – odezwał się jeszcze Artur. – Liczyła, że zajmie się teraz moim życiem, pojawią się dzieci i zapełni się pustka wynikła z tego, że ojciec nigdy nie pozwolił jej niczego swojego zrobić ani zbudować. Wymagał

całkowitego posłuszeństwa i oddania jego karierze, sprawom i pasjom.

Marta zamarła.

– Tak, tak, wiem – powiedział Artur. – O zmarłych tylko dobrze. Ale u nas w domu długie lata obowiązywała inna zasada: o żywych tylko dobrze. I trochę się nazbierało.

Obie kobiety wpatrywały się w niego, chłonąc każde słowo, zwłaszcza Wika.

– Ale nie martwcie się, zostanę tutaj, więc mama będzie miała komu gotować obiady. – Uśmiechnął się blado. – Ojciec miał sporą praktykę, pewnie uda się ją przejąć. To nie jest też tak, że nie zostawił po sobie nic dobrego.

Marta drgnęła, bo nagle zadzwonił telefon. Uświadomiła sobie, że siedziała w czasie tej rozmowy zahipnotyzowana do tego stopnia, że na moment nawet przestała się tak mocno trząść.

ROZDZIAŁ 24

Hubert się przewrócił. Obtarł sobie łokcie bardzo boleśnie. Próbował wstać. Wydawało mu się, że stres jest motywatorem, który pozwala pokonać wszelkie fizyczne ograniczenia, ale jednak zmęczenie dało mu radę. Nie mógł się podnieść. Nogi się pod nim trzęsły, ręce również, na dodatek stopy miał tak poranione, że nie był w stanie postawić kolejnego kroku. Usiadł na chodniku i oddychał ciężko.

Wiki nigdzie nie było. Znowu mu się nie udało. Nie tylko nie był dobrym policjantem, a już na pewno żadnym bohaterem, bo nie zdołał znaleźć mordercy, lecz nawet nie mógł się nazywać porządnym ojcem czy obrońcą rodziny, bo żaden wewnętrzny instynkt ani głos nie podpowiedział mu, gdzie jest Wika, w którą stronę biec, żeby ją znaleźć. Zbyt późno dotarło do niego, że nie ma sensu gnać przez miasto bez telefonu. Podobno tyle radiowozów patrolowało malutkie Walewice, a jednak on nie spotkał żadnego.

Nic, tylko być tu przestępcą – pomyślał rozżalony.

Nawet w chwilach, kiedy wszystkie służby postawione są na nogi, można bezkarnie przejść przez miasto niezauważonym przez nikogo, a co dopiero, gdy służby działają normalnie, leniwie wykonując swoje obowiązki.

Musiał podjąć decyzję, w którą stronę ruszyć, ale nie miał siły. Wszędzie było za daleko. Zarówno do komisariatu, jak i do domu. Był tak zdyszany i zmęczony, że ledwo oddychał. Słaby i przerażony. Straszne uczucie dla silnego zawsze mężczyzny, który szczycił się tężyzną fizyczną. Ile czasu tak biegł? Może pół godziny? Co z tego, że boso? Dlaczego tak bardzo go to wykończyło?

Nie zważając na nic, położył się na chwilę na chodniku. Musiał odpocząć, zebrać myśli i znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie. Wiatr chłodził jego rozpaloną głowę i obolałe stopy.

– Boże, proszę cię, spraw, żeby ona była bezpieczna – błagał. Tylko to się dla niego w tym momencie liczyło. – Niech ona będzie bezpieczna – powtórzył.

Obiecał sobie spędzać z dziećmi każdą wolną chwilę, pilnować niczym źrenicy oka, doceniać wszystko, co dobre, jeśli tylko dostanie na to jeszcze jedną szansę.

Nie wiedział, jak długo tak leżał, gdy jakieś dłonie nagle go podniosły.

– Tata?! – Kamil okazał się wcale nie tak słaby, jak się zawsze ojcu wydawało. Dźwignął jego ciężkie ciało i ustawił do siadu. – Co się dzieje? Żyjesz?

– Tak, nie, nie wiem – odparł Hubert trochę bez sensu. – Zasłabłem. Chociaż mnie się to nie zdarza. Ale może jednak nie zasłabłem, skoro z tobą gadam?

Kamil na dobre się zaniepokoił. Ojciec mówił bez składu i sprawiał bardzo dziwne wrażenie.

– Każdemu się zdarza – powiedział szybko, po czym wyciągnął telefon. – Zadzwonię po pogotowie.

– Nie, proszę cię, nie rób tego – zaprotestował Hubert, czując, jak nagle wracają mu siły. Za nic nie chciał się teraz znaleźć

w jakimś szpitalu. – Muszę wrócić do domu – powiedział. – Zadzwoń po Mateusza. Dam ci numer.

Tak, czasem udawało mu się nawet wpaść na dobry pomysł. Jeden z nich był taki, że jakiś czas temu ważnych numerów nauczył się na pamięć. Wiedział, jak bezradni potrafią być ludzie, którzy zgubią swój telefon i nagle nie mogą się dodzwonić nawet do najbliższych osób.

Aspirant Mateusz odebrał dość szybko. Hubert podał mu swoje położenie i poprosił, żeby natychmiast przyjechał.

– Boże, jak to dobrze, że się odezwałeś! – zawołał Mateusz. – Szukamy cię tutaj wszyscy.

– Serio?! – krzyknął Hubert. – Szukacie?! Leżę na chodniku od kwadransa i żaden radiowóz tędy nie przejechał. Ludzie! Co się z wami dzieje? Ktoś tej nocy zginie, jeżeli wszyscy natychmiast nie weźmiemy się w garść.

– Jadę już po ciebie. – Mateusz nie dyskutował. Chyba nie miał żadnych argumentów.

– A gdzie byłeś do tej pory?

– No, w komisariacie – odparł niepewnie Mateusz. – Jesteśmy tu z Łódzkim i debatujemy, co robić.

– To przestańcie debatować i patrolujcie miasto. Wika zginęła! – Teraz Hubert już wrzeszczał. Było mu wszystko jedno, co kto sobie pomyśli.

– Wika jest! – zawołał szybko Mateusz, wyraźnie z ulgą, że chociaż w tej jednej sprawie ma jakieś dobre wieści. – Twoja żona dała nam znać. Jest w domu, bezpieczna. Znalazł ją Lenartowicz. Wszystko u niej w porządku, choć jest trochę poturbowana.

Hubert poczuł, jak ta niewielka ilość sił, którą zyskał na widok Kamila, znowu go opuściła. Poturbowana?! Miał nadzieję, że to nie jest to, o czym w pierwszej chwili pomyślał. Męczyła go wściekłość, to znowu ulga, już sam nie wiedział, co mocniejsze.

Rozłączył się i miał ochotę znowu położyć się na tym cholernym chodniku. Przymknąć na chwilę oczy. Dotarł jednak do niego jeszcze jeden szokujący fakt.

– Coś ty zrobił?! – zawołał do syna. – Dlaczego mnie nie posłuchałeś i wyszedłeś z domu? Ryzykowałeś życie? Doskonale wiesz, jakie to jest niebezpieczne.

– A ty nie ryzykowałeś? – zapytał Kamil, patrząc mu w oczy. – Poleciałeś za Wiką bez butów! Przyznaję, miałem cię trochę za słabego gościa, ale taki nie jesteś – dodał cicho.

Hubert miał ochotę go uściskać, ale pomyślał, że to nie bardzo męskie i może nie pasuje w stosunku do tak dużego syna. Ten jednak nie miał oporów. Objął ojca.

Młode pokolenie teraz jest odważniejsze – pomyślał Hubert i wzruszenie, cecha, którą również uważał za niezbyt męską, złapało go za gardło.

Kamil poklepał go po plecach. Niesamowite uczucie.

– Zwijajcie się! – Mateusz podszedł do nich.

Hubert wyswobodził się z objęć syna, a potem spróbował wstać. To nie było proste. Nie miał pojęcia, w jaki sposób dotarł aż tutaj, bo teraz stopy tak bardzo go bolały, że choć stawiał kolejne kroki wyłącznie na piętach, to chciało mu się wyć.

– Pokaż to. – Mateusz podniósł jego nogę, kiedy Górskiemu udało się wreszcie zająć miejsce na fotelu pasażera. – Rany boskie! Masz tu coś powbijane, otwarte rany! Gdzieżeś ty biegał?

– Nawet nie wiem – odpowiedział Hubert zgodnie z prawdą. – Ale teraz to już bez znaczenia. Najważniejsze, że Wika się znalazła. Napisz do mamy, że jedziemy – zwrócił się do syna.

– Już to zrobiłem – powiedział Kamil.

– Całkiem z ciebie sensowny gość. – Tym razem to ojciec poklepał go po plecach.

Trochę poznał tego nowego człowieka, który pojawił się w jego życiu w miejsce małego synka, i czuł mocno, że ma ochotę zrozumieć go jeszcze lepiej.

– Naprawdę się nie martw – odezwał się Mateusz. – Od tego momentu miasto jest pod kontrolą.

Górski nie odpowiedział.

– Tak, wiem. – Mateusz kiwnął głową. – Wcześniej powinniśmy byli to lepiej zrobić. Ale każdy się stara. Uwierz mi, mysz się nawet nie prześlizgnie. Czuję się okropnie z tym, co się u was dzisiaj wydarzyło. Makarski też się wściekł. Ściągnął posiłki z województwa. Złapiemy go. Tym razem go złapiemy – powiedział z mocą.

ROZDZIAŁ 25

Położył się spać. Dziś już nic się nie wydarzy. Zużył zbyt wiele sił i wróciło do niego tamto okropne zmęczenie. Nawet rozebrać się nie dał rady. Po prostu padł tak, jak stał.

Oddychał tak spokojnie, jak tylko mógł.

Tuż przed jego oknami przejechał radiowóz na sygnale. Brak mu było słów wobec niekompetencji policji w Walewicach. Gdyby tylko miał trochę więcej siły, dokończyłby dzisiaj swojego dzieła, ale też był tylko człowiekiem. Choć czasem mu się wydawało, że ma nadludzkie moce i dźwiga na swoich plecach cały świat.

Jeszcze dwie sprawy i wyjadę – postanowił.

Ten pomysł coraz mocniej zagnieżdżał się w jego głowie. Uciec stąd jak najdalej. Walewickie zbrodnie na zawsze pozostaną nierozwiązane.

Uświadomił sobie, że ten w pierwszej chwili bardzo emocjonalny pomysł jest głosem rozsądku. Nie mógł tu zostać na dłużej. Nie pomyślał o tym wcześniej. Rozmowy, spotkania. Musiałby już zawsze uważać na każde słowo. Rozejrzał się wokół. Sporo tu dowodów. Ten dom przestał być bezpiecznym schronieniem, a Walewice miastem, które kochał.

Zbrodnia zmieniła wszystko. Niektórych konsekwencji nie przewidział, choć jeszcze kilka miesięcy temu wydawało mu się,

że wziął pod uwagę wszystko.

Wyjechać. To stanowczo dobry pomysł. Jeszcze tylko dokończyć, co trzeba, nie popełnić błędu, a potem uciekać. Gdzieś daleko. Stać go było na prawie każde miejsce. Ojciec zostawił sporo pieniędzy, a on też nie najgorzej zarabiał. Tylko po co mu ta cała kasa?

Po nic! Tak brzmiała odpowiedź.

Tego, co stracił, nie dało się kupić za żadne pieniądze.

A co najgorsze, uświadomił sobie, że nawet trzy tak świetnie zaplanowane morderstwa nie przyniosły mu spokoju, którego tak pragnął, ani poczucia, że sprawiedliwość wygrała. I to okazało się bardzo frustrujące.

ROZDZIAŁ 26

Było późno. Dzieci mocno już spały. Ania ledwo trzymała się na nogach. Kończył się wreszcie bardzo ciężki dzień. Nie uczestniczyła osobiście w akcji monitorowania miasta i nie było jej na zwołanym przez Łódzkiego zebraniu. We wszystkim brała udział online lub przez telefon. Nie miała z kim zostawić dzieci.

Atmosfera w mieście zgęstniała do granic możliwości. Ale u niej w domu było jak na te okoliczności zaskakująco spokojnie. Jej dzieci były zbyt małe, żeby rozumieć, co naprawdę się dzieje, choć zdawała sobie sprawę, że nawet w przedszkolu dzieciaki rozmawiały ze sobą o mordercy. Jednak jej synek i córeczka bawiły się wieczorem spokojnie, śmiały się. Zrobiła im placki bananowe na kolację i w całym domu ładnie pachniało. Potem długo przytulali się w łóżku, śpiewała im kołysanki, czytała bajki.

Wszystko to zawdzięczali faktowi, że Grzesiek nie wrócił jeszcze do domu. Ania na początku po prostu się cieszyła. Już nawet nie chciało jej się analizować, co to oznacza i o czym świadczy. Zresztą przestała sama przed sobą ukrywać, że straciła już nadzieję na jakąkolwiek zmianę rodzinnej sytuacji. Musiała wytrzymać te trzy lata do końca kredytu i potem faktycznie będzie mogła się wyprowadzić i zacząć od nowa.

Nie ma się co czarować. Idealizm wiedzie donikąd. Żeby móc się wyprowadzić od toksycznego męża, trzeba także pieniędzy. Już od pewnego czasu oszczędzała każdy grosz, próbując z napiętego budżetu wygospodarować coś, co można by było odłożyć. Dobre i dziesięć złotych, każda kwota się liczyła.

Powoli przygotowywała się do tego ważnego kroku. Cieszyła się chwilą odpoczynku od towarzystwa Grześka, choć cały czas była pod telefonem i monitorowała sytuację w mieście, to odpoczywała. Dotarło do niej, że napięcie domowe stało się gorsze niż wszystko inne. Trudniejsze do zniesienia niż jakiekolwiek wyzwanie zawodowe.

Jednak wraz z mijającymi godzinami jej niepokój rósł. Jak by na to nie patrzeć, żyli w miasteczku, w którym grasował morderca, a takiego spotkania nie życzyła nikomu, także Grześkowi.

Współczuła mu. Miał trudne dzieciństwo i teraz płacił za nie własnym życiem. Jednak z coraz większym trudem znosiła fakt, że ona także jest każdego dnia karana za coś, w czym nie zawiniła. Nie ona skrzywdziła go, gdy był chłopcem. Westchnęła ciężko.

Próbowała się do niego dodzwonić, ale nie odbierał. To była jedna z tych bardzo irytujących cech, których u niego nie znosiła. Wiecznie chodził z telefonem w ręce, grał w różne gierki, przeglądał media społecznościowe, nie mógł się od tego sprzętu odkleić. Ale kiedy trzeba było się z nim skontaktować, to nie odbierał.

O północy zaczęła wpadać w prawdziwą panikę. Powinna się była położyć. Czekał ją jutro ciężki dzień w pracy, o czym zresztą Grzesiek dobrze wiedział, a mimo to przepadł bez wieści i nie chciało mu się do niej wysłać nawet głupiego esemesa, gdzie jest i o której wróci.

W takim dniu, kiedy mężczyźni w każdym domu chronili swoich bliskich, ona nie dość, że siedziała z dziećmi całkiem sama, to jeszcze musiała się martwić, gdzie jest jej mąż.

Chodziła od okna do okna, czując, jak bardzo ma związane ręce. Nie mieli wspólnych przyjaciół, do których można by teraz zadzwonić i zapytać, czy się u kogoś nie zasiedział. Ona przyjaźniła się z policjantami i innymi osobami, o ile te znajomości można było nazwać przyjaźnią. Ludzie ją lubili, wszędzie była zapraszana, chętnie witana, jednak z powodu notorycznego braku czasu nie mogła z tego w pełni korzystać.

Grzesiek rzadko bywał z nią. A jeśli już, stanowiło to źródło tak wielkiego kłopotu, że nauczyła się unikać wspólnych wyjść. Miał ponoć swoich kumpli, o których w gruncie rzeczy niewiele wiedziała. Czasem coś tam mówił, że z kimś się spotkał, jednak nigdy nie widziała go pod sklepem w gronie miejscowych pijaczków, na przystanku ani też w parku, gdzie mieli oni swoje bazy.

Z całą pewnością też nie zapraszał nikogo do domu pod jej nieobecność, bo przecież zauważyłaby jakieś ślady. Tymczasem wszystko, jak zostawiła rano, tak czekało na jej powrót. Może czasem jakieś dwa dodatkowe kubki w zlewie, kiedy Grzesiek pił kawę. Albo brudny talerz po gotowym spaghetti, gdy się nie doczekał na jej powrót. Żadnego jednak innego bałaganu, zachlapanej łazienki, poukrywanych butelek i tym podobnych rzeczy.

W sumie – uświadomiła to sobie – niewiele o nim wiedziała. Była tak skupiona na odpieraniu jego ataków, radzeniu sobie z własnym nieszczęściem, że dopiero teraz do niej dotarło, iż w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, co on całymi dniami w domu robi. I teraz to uderzyło ze zdwojoną siłą.

Gdzie on jest? Czy potrzebuje pomocy?

Co mogła począć? Zostawić dzieci same i biec w ciemności? Szukać go? Zadzwonić na policję nie mogła. Zostałoby to odnotowane i wzbudziłoby sporo plotek.

Nagle zaczęły jej się pocić dłonie. W ten drażniący sposób, jakiego od dziecka nie znosiła. Męczyło ją to zawsze w sytuacji szczególnego stresu.

Po głowie zaczęły gonić paniczne myśli, że może to Grzesiek jest mordercą.

Z jednej strony kompletny idiotyzm, ale z drugiej czy można to całkiem wykluczyć?

Wiedziała, że jej mąż to wariat zdolny naprawdę do okropnych czynów, nieobliczalny. W głowie roiły mu się jakieś bezsensowne historie, w których on zawsze był ofiarą, a cały świat mu zawinił.

Czy mógł sobie stworzyć chorą opowieść o tym, że Piotr Maszkowski go obraził? Jasne, że tak. A pani Bronisława? Oczywiście. Wystarczyłoby, żeby rzuciła jakąś swoją umoralniającą uwagę, z których była dobrze znana. Nie znosiła alkoholików i niejednokrotnie dawała temu wyraz. Poza tym Grzesiek nigdy nie chodził do kościoła, a tacy zawsze znajdowali się wysoko na liście zainteresowań staruszki.

Zrobiło jej się tak gorąco, że aż musiała usiąść. Dłonie jej drżały. To by dopiero był skandal! Bała się, że ktoś odkryje, że jej mąż popija w parku, a tymczasem teraz stanęła przed bardzo realnym zagrożeniem, iż okaże się, że mąż pani prokurator to morderca. Ojciec jej dzieci. To by było najgorsze. Taka świadomość jest czymś niezwykle trudnym dla dzieci. Nie umiała sobie nawet wyobrazić rozmiarów takiej tragedii.

Ania za to już widziała Grześka w więzieniu. Te nagłówki gazet, szmery w przedszkolu, gadanie, potem szkoła podstawowa i dokuczające Maksiowi dzieciaki. Widmo życia z brzemieniem ojca mordercy. Obrazy błyskawicznie przebiegały jej przez głowę.

Boże, błagam cię, nie! Czy chociaż to jedno może zostać mi oszczędzone? Proszę cię, spraw, żeby to nie był on!

Próbowała złapać się czegokolwiek, jakiejś poszlaki, która by wykluczała Grześka. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to to, że morderca troszczył się o rodziny ofiar, o to, żeby nie padło na nich podejrzenie. Grzesiek nie był zdolny do tego, by zatroszczyć się o kogokolwiek, to by mu nawet do głowy nie przyszło.

Pewnie by się nawet cieszył, gdyby podejrzenie spadło na niewinnych. Uwielbiał to przerzucanie odpowiedzialności, zwłaszcza na osoby, które się przejmowały, płakały, a taka była przecież Olga czy rodzina pani Bronisławy. Być może Grzesiek też nie byłby zdolny do tego, żeby wykonać tak precyzyjny cios. Oskar miał w stu procentach rację. Podejść ofiarę z zaskoczenia od tyłu, a potem tak celnie wymierzyć mogła tylko osoba dysponująca sporym opanowaniem, a także wprawą. Grześkowi natomiast od dłuższego czasu trzęsły się ręce, widziała to. Nie przez cały czas, ale na przykład właśnie w momentach, kiedy próbował się skupić, zawiązać sobie buty, otworzyć puszkę czy coś napisać, a czasem nawet wstukać kod w telefonie. Zawsze, kiedy to się działo, uciekała na drugi koniec domu. To budziło w nim nieprawdopodobną wściekłość. Każdy, kto wtedy znalazł się blisko niego, był zagrożony wybuchem niekontrolowanej złości.

– To nie on – powiedziała szeptem, a brzmiało to jak coś pomiędzy błaganiem a stwierdzeniem.

Ponad wszystko chciała wierzyć, że taka jest prawda!

Przez kolejne kwadranse wydeptywała ścieżkę pomiędzy oknem a drzwiami tarasu, z których widać było wjazd na posesję.

O drugiej w nocy się poddała i postanowiła jednak zadzwonić na policję. Targały nią straszne wyrzuty sumienia. Może się myliła, oceniając tego człowieka tak surowo. A co, jeśli nie był zagrożeniem, lecz ofiarą? Potrzebował jej pomocy? Może go

napadli? Zgubił się? Pal sześć wstyd i plotki, trzeba ratować człowieka.

W momencie, kiedy to pomyślała, usłyszała jego kroki. Gramolił się do drzwi wejściowych. Znała te odgłosy doskonale. Oczywiście nie mógł trafić kluczem, co przewidziała i zostawiła dla niego specjalnie otwarte drzwi. Chyba jednak nie sprawdził tego, łomotał głośno, choć musiał wiedzieć, że dzieci śpią.

Zbiegła szybko do niego i mu otworzyła.

– Noż do kurwy nędzy! – bluzgnął na nią. – Do własnego domu wejść nie mogę! Człowiek haruje całe życie, a potem nic z tego nie ma!

Co zdanie, to kłamstwo. Ania i tak była już mocno zdenerwowana, do tego bardzo zmęczona. Gdyby ludzie mieli jakiś licznik, tak jak samochody pokazujące ilość benzyny pozostającej do wykorzystania, to u niej zdecydowanie świeciłaby się już kontrolka. Ledwo się trzymała na nogach.

– Gdzie byłeś? – odezwała się zupełnie niepotrzebnie, zapominając o tym, że nie ma żadnego sensu wchodzić z tym człowiekiem w jakąkolwiek interakcję, zwłaszcza gdy wracał nietrzeźwy.

– A co cię to obchodzi, jaśnie pani?! – zawołał głośno, po czym pchnął ją na szafę.

To był pierwszy raz, kiedy zastosował wobec niej przemoc fizyczną, a nie tylko psychiczną. Z szoku nic nawet nie poczuła. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Grzesiek faktycznie poważył się, by podnieść na nią rękę. W nocy, w momencie, gdy tuż obok spały dzieci.

Niestety było gorzej. Nie spały.

Wrzeszczący ojciec wywabił je z pokoju. Stały na szczycie schodów i patrzyły. Widziały, co zrobił. Maksio cały się trząsł. Drżał, przyciskając do siebie siostrzyczkę.

– Wynocha! – wrzasnął na nie kompletnie pijany Grzesiek. – Wynocha mi stąd! – krzyknął na nie znów i to był moment, kiedy w Ance coś na zawsze umarło.

A potem było tylko gorzej. Podszedł do niej i drugi raz popchnął ją mocno, choć teraz doskonale zdawał sobie sprawę, że dzieci wszystko widzą. Spojrzała mu w oczy. Nie było w nich ani śladu empatii. Ludzkich emocji. Sprawiał wrażenie człowieka zdolnego do każdego czynu. Bała się, że za chwilę ją uderzy.

Straszliwe uczucie. I jeszcze świadomość, że tuż obok są małe dzieci. Po raz pierwszy w życiu zalały ją te najgorsze uczucia. Gniew, złość, a także czysta nienawiść.

Nagle pomyślała, że morderca mógłby zrobić jej przysługę i odebrać męża! W tym momencie zrobiło jej się gorąco ze wstydu i przerażenia, że coś takiego w ogóle mogło jej przyjść do głowy. Wtedy otworzyły się przed nią oczywiste wnioski, skąd ta kokarda na szyjach ofiar. To oczywiście prezent. Dla osób takich jak ona.

Nie miała teraz już czasu, by zebrać myśli i zastanowić się nad tym, bo uderzyło ją z całą mocą, jak nisko upadła. W jakim miejscu życia się znajduje. Tak bardzo zmieniła ją codzienność z toksycznym człowiekiem, że życzyła mu śmierci, a przecież nie była taką osobą! Miała w sobie wiele pokładów dobra.

Kiedy wchodziła w tę relację, chciała być jak najlepszą żoną i mamą, stworzyć rodzinę. Ale to się nie udało. I dalsze starania, by ocalić, przeczekać, wybrać odpowiedni moment, mogły się okazać katastrofalne w skutkach. Zrozumiała, że jeśli natychmiast nie zareaguje, będzie odpowiedzialna za wszystko, co stanie się od tej chwili, bo już nie mogła się łudzić, że cokolwiek samo zmieni się na lepsze.

– Rozumiem – powiedziała spokojnie, choć drżały jej wargi. – Zaraz zabiorę dzieciaki. Masz rację – dodała magiczne zaklęcie,

które zwykle go uspokajało, choć nigdy nie mówiło prawdy. Nie miał, za cholerę nie miał racji. Nigdy!

Wybiegła na schody, porwała maluchy na ręce i zaniosła do dziecięcego pokoju. Były bardzo przestraszone, płakały. Chciała je choć trochę uspokoić, ale nie mogła skupić myśli. Co robić? Pakować się. Ubierać dzieciaki. Miały na sobie cienkie piżamki, a na dworze było dzisiaj wyjątkowo chłodno.

Nie miała szans ani czasu. Jeśli Grzesiek zorientuje się, jakie ma plany, nie wyjdzie dzisiaj z domu. W fizycznym starciu nie ma z nim szans. Z dziećmi na dodatek.

Wzięła je na ręce.

– Bądźcie cichutko – poprosiła. A one od razu posłuchały.

Pomyślała z rozpaczą, że tego je przede wszystkim nauczyła. Ukrywać strach, prawdę, własne emocje. Nie mogła uwierzyć, że do tego doszło, że tak długo zwlekała. Była jak zahipnotyzowana, a może lepiej oddaje jej stan słowo: zaczadzona. Niezdolna do realnej oceny sytuacji.

Jednak się obudziła. To było bolesne zderzenie z rzeczywistością, lecz wzrok bardzo jej się wyostrzył. Widziała wszystko.

Nie zastanawiała się ani chwili dłużej. Słyszała, że Grzesiek na dole trzasnął drzwiami od łazienki. To była jej szansa. Być może krótka. Przytuliła mocniej dzieci i zbiegła cicho po schodach. W pantoflach, tak jak stała, porywając tylko po drodze torbę z laptopem oraz telefon. Otworzyła drzwi do garażu, wsadziła dzieci do samochodu i wyjechała na ciemną ulicę.

Ruszyła przed siebie, kompletnie nie mając pojęcia, co dalej. Dzieci nawet nie były zapięte w fotelikach, nie miała na to czasu. Siedziały w szczelinie pomiędzy fotelikami. Maksio trzymał Zuzię na kolanach. Już nie płakali.

– Zabieram was – powiedziała Ania i chyba były to najwłaściwsze słowa, na które jej dzieci od dłuższego już czasu czekały. – Jeszcze nie wiem dokąd, ale tam już na pewno nie wrócimy.

Maksio patrzył na nią wielkimi oczami i widziała w nich respekt, że dała radę, a także wdzięczność. Słusznie postąpiła, jasne, sama to rozumiała. Tylko że wciąż miała na sobie domowe pantofle, żadnych rzeczy na zmianę i ani jednego człowieka, do którego mogłaby zadzwonić o drugiej w nocy, żeby ją przyjął pod swój dach.

Zaraz potem zrozumiała, że się myli. Tak wiele osób wysyłało jej dyskretne sygnały, że się niepokoją, dobrze jej życzą. Zaczęły jej się wyświetlać w głowie kolejne imiona.

Hubert. Zawsze darzył ją życzliwością, oczywiście, że by ją przyjął. Mateusz? Ile razy narażał się, zamykając Grześka tylko po to, by mąż nie narobił jej wstydu? Pewnie, że mogła do niego zadzwonić. Oskar też ciągle pytał, jak się czuje, czy wszystko w porządku.

Wiadomo, że każde takie zainteresowanie było podszyte tak naprawdę potrzebą tej jednej informacji. Co z Grześkiem. Czy nie jest agresywny? Dlaczego ona ciągle z nim jest?

Co miała powiedzieć? Bo mieszkam w jego domu? Bo sama nie mam nic? Bo nie mam prawa powiedzieć mu „Wynoś się”, a on mi owszem? Bo zdecydowana większość mojej pensji zajęta jest przez jego długi? Bo jeśli stracę wizerunek, to razem z tym również pracę? Bo czuję się złapana w potrzask, z którego nie ma wyjścia?

A jednak teraz, kiedy zdecydowała się na ten radykalny krok, zaczęła widzieć przed sobą niewielkie ścieżki, którymi mogła uciec. Byli ludzie, którzy ją przyjmą pod swój dach, nie mogła kłamać, że jest inaczej. Nieważne, na jak długo. Nieważne, jak to się potem ułoży. Miała kogo poprosić o pomoc.

Kiedy tak przewijała w myślach listę znajomych, krążąc jednocześnie po uliczkach niewielkiego miasta, wykluczała po kolei tych, którym mogłaby sprawić swoim pojawieniem się zbyt wiele kłopotu. Hubert miał dziś zdecydowanie ciężką noc. Jego rodzina zasługiwała na chwilę spokoju i odpoczynku.

Mateusz wiecznie opowiadał o swoich dzieciakach. Pewnie śpią i takie najście w nocy by je pobudziło. Najbliższa koleżanka z pracy niedawno urodziła i też pewnie chroniła każdą minutę snu pomiędzy poszczególnymi karmieniami.

Ale był jeszcze Oskar – przyszło jej do głowy. Krążyła po pustych ulicach Walewic i ta myśl wydała jej się najbardziej sensowna. Lenartowicz mieszkał sam w pustym domu po tych tragicznych zdarzeniach, jakimi było odejście jego żony, a wcześniej śmierć ojca.

Zadzwonić? – zastanawiała się, zerkając na zegarek.

Późno, ale wiedziała, że Oskar to człowiek, który śpi z telefonem. Ciągle do niego ludzie po nocach dzwonili w nagłych potrzebach, a on za każdym razem błyskawicznie się ubierał i jechał. Nieraz się zastanawiała, czy śpi w ubraniu. Miał szybszy czas reakcji niż CBA. Żartowali z tego, ale dziś mogło się to okazać wyjątkowo cenne i pomocne.

Zatrzymała się niedaleko kościoła na dużym parkingu, po czym rozejrzała trwożnie wokół. Wyglądało na to, że Grzesiek jej nie szukał. Może nie miał ochoty, a może możliwości? Przede wszystkim nie mieli drugiego samochodu, a poza tym w takim stanie i tak by nie wsiadł za kółko. Sąsiedzi go nie lubili, nie mógł więc zadzwonić i poprosić, by ktoś wspomógł go w tropieniu żony. Jego rodzice już nie żyli. Anka czasem odnosiła wrażenie, że z ulgą odeszli i uniknęli patrzenia, jak ich syn, któremu tak wiele dali, się stacza.

Brak możliwości mógł być przyczyną, z powodu której Grzesiek pewnie teraz rzucił się na łóżko, by po chwili obrzydliwie chrapać. Jednak prawdziwe też mogłoby być stwierdzenie, że zwyczajnie nie chce za nią iść, bo jest mu kompletnie obojętne, co się z nimi teraz stanie.

Absolutnie tego nie chciała i nie potrzebowała. Byłoby to najgorsze, co mogłoby ją teraz spotkać. Kłócenie się z pijanym człowiekiem. A nawet gdyby jakimś cudem okazał się trzeźwy, i tak nie umiałby odpowiednio zareagować ani okazać jej pomocy. Jedyne, co potrafił, to krytykować, wyśmiewać się i przerzucać na nią odpowiedzialność za wszystko, co go złego w życiu spotkało.

Łzy zapiekły ją pod powiekami.

Wystarczy – pomyślała. – Już dosyć!

Wybrała numer Oskara. Odebrał po dwóch sygnałach, naprawdę szybko, jak na prawie już trzecią godzinę w nocy.

– Dobry wieczór – powiedział zachrypniętym tonem, ale przytomnie.

– Cześć, to ja, Ania – przywitała się cicho.

Pierwszy raz w życiu dzwoniła do niego w nocy, choć opiekował się jej córką i synem od dnia ich narodzin.

– O rany! – wystraszył się. – Coś się stało dzieciom?

Już chciała odpowiedzieć, że absolutnie nie, wszystko jest w porządku, tak jak to zwykle miała w zwyczaju, ale zamiast tego powiedziała prawdę.

– Musiałam uciekać – przyznała się, choć kosztowało ją to wiele. – Grzesiek wpadł w jakiś szał, jest pijany, uderzył mnie. Czy mogłabym do ciebie przyjechać? – zapytała, czując, jak ze zdenerwowania i upokorzenia całe ciało jej się spina. – Jestem z dziećmi w samochodzie.

– Oczywiście, jasne – odparł wyraźnie kierowany odruchem. – A kiedy będziesz? – dodał już po chwili pauzy i pomyślała, że

chyba coś ukrywa. Zapewne namyślił się i teraz żałuje impulsywnej reakcji.

Zrobiło jej się głupio. Nie pomyślała o tym, ale może był z jakąś kobietą. Przecież nie musiał się zwierzać z takich spraw. Co innego wzywać go do swojego domu, a co innego wpakować się niespodziewanie w nocy do niego. Wyczuwała w nim chęć pomocy, tak dla niego charakterystyczną, ale też sporo zmieszania.

– Za chwilę, dobrze? – zapytała. – Ale mogę poczekać. – Spojrzała na śpiące dzieci.

– Dobrze, nie ma problemu. Przyjedź od razu. – Oskar chyba podjął już decyzję. – Trochę mam nieposprzątane…

Ach – pomyślała z ulgą. – O to chodzi. To jest drobiazg.

– Ale przecież nie będziecie mi chodzić po domu – dodał i wtedy poczuła niepokój. Jakby coś ją ostrzegało. Nie miała jednak pojęcia, przed czym.

Co się dzieje? Dlaczego Oskar tak dziwnie z nią rozmawia? Miał prawo mieć bałagan, to jasne. Każdy czasem go ma, choć jej to zdarzało się rzadko. Oskar mieszkał sam i był w bardzo trudnym momencie życia. Zrozumiałe, że nie myślał teraz przede wszystkim o pucowaniu okien.

Skręciła w prawo i ruszyła w jego stronę.

– Dokąd jedziemy, mamusia? – zapytał Maksio.

– Do doktora Oskara – odparła. – Przenocuje nas. Będziemy tam bezpieczni.

– To dobrze. – Chłopiec odetchnął z ulgą.

Wyraźnie schodziło z niego napięcie.

Zrobiło jej się przykro i wstyd. Czy ktokolwiek na tym świecie by uwierzył, że elegancka pani prokurator o zawsze ładnie ułożonych włosach kupowała ubrania na Vinted i nie miała kompletnie dokąd pójść, żeby się schronić przed mężem i ojcem jej dzieci? To on powinien był otaczać ich opieką i troską. Chronić.

Nie mogła teraz o tym myśleć, pozwolić sobie na to, by się rozkleić. Potrzebowała swojej siły. Tej, która jej kiedyś pozwoliła wyrwać się z biednego domu i skończyć trudne studia, a także odnaleźć się bez znajomości w silnie zhierarchizowanym i połączonym siecią rodzinnych koligacji prawniczym uniwersum, zrobić karierę.

Zaparkowała, potem otworzyła drzwi i wzięła dzieci na ręce. Były już bardzo zmęczone, śpiące, potrzebowały jakiegoś miejsca, gdzie mogłyby skłonić głowy i ufnie przymknąć oczy. Prawo każdego dziecka. Wydawałoby się, że podstawowe, a jednak doskonale zdawała sobie sprawę, także poprzez swoją pracę, że tysiące dzieci dziś w nocy tego nie zaznają. Zasną przerażone, spłakane, obciążone problemami dorosłych, zmartwieniami ponad siły i będą potem niosły to brzemię przez całe życie. Nie mogła tego zmienić. Niestety, nie była odpowiedzialna za to, jak zbudowano ten świat, ale miała obowiązek chronić te dwie istoty, które niosła na rękach.

Kiedy Oskar im otworzył, znowu poczuła niepokój, choć ten mężczyzna był jednym z tych ludzi, którym najbardziej ufała. Kojarzyła doktora jako człowieka zadbanego, może po trudnych przejściach, ale z ładem w głowie i otoczeniu. Tymczasem w jego domu panował przeogromny chaos, co dało się zauważyć od razu po przekroczeniu progu.

Nie taki zwykły nieład, jaki można zastać, kiedy się komuś złoży niezapowiedzianą wizytę, lecz taki miesiącami gromadzony. Ania bez trudu domyśliła się, że trwało to od momentu, kiedy Aśka wyszła stąd, zabierając ze sobą dzieci. Oskar nie ruszył żadnej rzeczy z miejsca. Nie miał odkurzacza w ręce ani mopa, a jego obecne życie pozostawiało po sobie ślady w losowych miejscach.

Rzucona gdzieś gazeta, but nie od pary, pozostawiona szklanka z niedopitą herbatą, jakieś pojemniki po zamawianym jedzeniu,

pokryte kurzem książki z biblioteki, nieotwarte pudła z przesyłkami, pewnie zamawiane przez internet, a także stos korespondencji na szafce z butami, zawierający zapewne mnóstwo niezapłaconych rachunków.

Przeraziła się. Spotykali się prawie codziennie i nikt nie zauważył, w jak głębokim kryzysie jest ten człowiek. Naprawdę na zewnątrz było to niedostrzegalne. Nosił czyste koszule, był ogolony i uczesany. Owszem, często odzywał się gorzko, komentując rzeczywistość, ale było to, zważywszy na sytuację, dość zrozumiałe.

Oskar podrapał się po głowie i rozejrzał wokół, jakby dopiero teraz dostrzegł rozmiar katastrofy, jaka go otaczała.

– Jeszcze raz cię przepraszam – powiedział. – Nie spodziewałem się gościa. Może bym trochę posprzątał. – „Może". Wcale nie był tego pewien. – Wziąłbym łopatę od śniegu – próbował zażartować. – I zmiótł to wszystko do garażu.

Podeszła do niego bliżej, postawiła dzieci na podłodze, a potem go przytuliła.

– Boże święty! – powiedziała. – Musi ci być strasznie ciężko.

Bardzo go zaskoczyła. Jakby była pierwszą osobą, która mu to powiedziała. Nawet on sam na siebie w ten sposób nie spojrzał i nie dał sobie tego współczucia, którego tak rozpaczliwie potrzebował.

Szarpnęło nim tak, jakby z jego wnętrza miał się wydobyć jakiś niezwykle głęboko umiejscowiony potężny szloch. Wystraszyła się, że jeśli on się wydostanie, to może być fala, z którą sobie nie poradzą, ale opanował się. Po chwili odsunął ją na długość ramion.

– Oczy im się zamykają – powiedział, spoglądając na jej dzieci, takim normalnym tonem, jaki wszyscy tutaj znali. Znów był doktorem Lenartowiczem. Człowiekiem, który nie tylko panuje

nad swoimi emocjami, lecz także służy pomocą innym. Jest wsparciem. – Chodź za mną – dodał.

Ruszyli po schodach na górę. Ania intensywnie się zastanawiała, czy nie powinna jednak uciekać. Wszędzie było tak samo. Nieopisany przygnębiający bałagan. Gdyby nie znała Oskara, pomyślałaby, że mieszka tu osoba chora psychicznie, i to poważnie, z jakimś niezwykle trudnym zaburzeniem wymagającym natychmiastowego leczenia.

Ale przecież go znała. Widziała, jak świetnie funkcjonuje, nie spóźnia się do pracy, wywiązuje się ze wszystkich zobowiązań i jeszcze pomaga ponadprogramowo. Te dwa obrazy były ze sobą tak bardzo niespójne, że nie umiała sobie z tym poradzić. Najbardziej logicznym wytłumaczeniem byłoby, że w gruncie rzeczy mieszka tu ktoś inny, a Oskar jest tylko gościem i nie ma na nic wpływu.

Była jednak zbyt zestresowana, zmęczona i niewyspana, żeby wyciągać wnioski, które nawet dla człowieka w dobrym stanie wcale nie byłyby tak łatwe do określenia. W tym momencie najbardziej pragnęła położyć dzieci spać.

Znów wzięła je na ręce, czując, jak ramiona im omdlewają, a ich głowy same pokładają się w ogromnym pragnieniu odpoczynku.

Oskar otworzył drzwi jednego z pokoi. Poczuła nieprzyjemny zapach. Jakby powietrze w pomieszczeniu stało bez ruchu Bóg wie jak długo. Od miesięcy niezmieniana pościel, porzucone zabawki, zapewne te, których dzieci ze sobą nie zabrały, zwiędnięte, przygniłe kwiaty na parapecie. W jednym miejscu odłaziła tapeta. Trudno powiedzieć, czy to z powodu wilgoci, czy z braku świeżego powietrza.

Jak w grobowcu – pomyślała, ale nie miała wyjścia.

Obok stał Oskar. Najlepszy lekarz, jakiego znała. Kochający dzieci ponad wszystko. Przecież im nie zrobi krzywdy! Jedną noc

jakoś wytrzymają.

Położyła oboje dzieci do jednego łóżka, przykryła tą nieświeżą pościelą i otworzyła natychmiast okno.

– Trochę tu ogarnę. Posprzątam…

– Jasne – przerwał jej nieprzyjemnym tonem. Stał w drzwiach i patrzył na nią w taki sposób, aż jej ciarki przebiegły po plecach. Zaczęła się bać. – Tu akurat jest najbardziej posprzątane, ale kobiety wszędzie dopatrzą się jakiejś niedoskonałości.

Znowu miała wrażenie, że widzi jakąś inną osobę, ale ani lekarza, którego znała, ani tego chorego psychicznie, który miał taki bałagan w domu, lecz kogoś jeszcze innego. Trzeciego. Również jej nieznanego, ale wzbudzającego największy strach.

Stał w drzwiach i blokował drogę odwrotu.

– Nie gniewaj się – powiedziała bardzo spokojnym głosem. Miała sporą wprawę w łagodzeniu cudzych emocji. – Tylko przewietrzę.

Miała zamiar pozbierać te zatęchłe kwiatki, pozamiatać i umyć podłogę, może nawet zmienić pościel, chociaż kołdrę, pod którą spały dzieci. Te zasnęły natychmiast i spały tak głęboko, że na pewno by tego nie zauważyły. Kto wie, może nawet dałyby sobie bez problemu wyciągnąć poduszki spod głów. Ale teraz nie miała odwagi.

– Nie wiem, gdzie cię położę – powiedział Oskar, rozglądając się dziwnym wzrokiem wokół, jakby znalazł się nagle w nieznanym sobie pomieszczeniu. – Myślę sobie teraz, że chyba nie mam godnego miejsca.

Ania z trudem przełknęła ślinę przez zasznurowane strachem gardło. Znowu poczuła się winna. Do tego miała wyjątkowo krótką drogę. Po co się w ogóle odzywała? Ktoś ją przyjął z dziećmi w środku nocy, a ona jeszcze stawia warunki. To faktycznie mogło być nie w porządku.

Z drugiej strony przecież nie powiedziała nic złego ani nic nienaturalnego. Chciała tylko trochę posprzątać. Ten Oskar, którego znała od lat, zareagowałby zupełnie inaczej.

– Może być na kanapie – zaproponowała. – Naprawdę jestem ci wdzięczna, że nas przyjąłeś. Nie oczekuję zbyt wiele. Możesz być zaskoczony, ale mój mąż jest bardzo trudnym człowiekiem i dopiero teraz zebrałam się na odwagę, żeby od niego odejść.

Kiedy wypowiedziała te słowa, znowu się przestraszyła. Kolejny błąd? Opuszczony przez żonę mąż być może nie jest najlepszą osobą, której można się zwierzyć z takiego życiowego kroku. Pewnie nie znosi kobiet, które uciekają, bez względu na to, jaki mają powód. A on już przed momentem wypowiedział się negatywnie na temat płci przeciwnej.

Ale znowu ją zaskoczył.

– To wspaniale – powiedział. Wyglądał na prawdziwie ucieszonego. – Cudownie. Od toksyków trzeba uciekać jak najszybciej i jak najdalej. Moja matka tego nie zrobiła i nigdy jej nie wybaczę.

Było w tych słowach tak wiele agresji, że Ania znowu zaczęła się bać. Dręczyło ją irracjonalne i pozornie bezsensowne przeświadczenie, że powinna natychmiast zabrać stąd dzieci i właśnie zrobić to, co Lenartowicz proponował. Uciekać.

Ale jak to? – próbowała się uspokoić. – Opanuj się, kobieto. Przecież to jest doktor Oskar, dobry człowiek, którego wszyscy świetnie znają. Na pewno nie żaden toksyk.

– Wiesz – zaczęła łagodząco. – Są różne trudne sytuacje. Twój tata był przecież fajnym człowiekiem.

Pamiętała jego ojca, lekarza. Przychodził do nich do domu dosyć często i udzielał pomocy za darmo, kiedy jej ojciec alkoholik przepijał całą wypłatę tego samego dnia, którego ją otrzymał.

– Nawet tak nie mów! – Oskar podniósł głos, a ona zobaczyła kolejnego człowieka ukrytego w tej jednej postaci. Również jej nieznanego i jeszcze bardziej przerażającego. Jak uosobienie gniewu. – Mój ojciec był potworem! – powiedział. – Znęcał się nad nami, a matka nie potrafiła nas obronić i nikt, kompletnie nikt nie przyszedł nam z pomocą. To przez niego moja żona uciekła, bo znęcał się także nad nią. I umarł za późno – dodał po chwili. – O wiele, wiele lat za późno!

Cofnęła się o krok. Nigdy by się czegoś takiego nie spodziewała. Może ojciec Oskara był faktycznie nieco wyniosłym człowiekiem, trochę przypominał zmarłego Wiktora, ale ani trochę się tak nie wywyższał jak on. Małżeństwo Lenartowiczów również uchodziło za bardzo zgrane.

Ania ostrożnie zamknęła drzwi od pokoju, w którym spały dzieci. Nie chciała, żeby znowu obudziły się z powodu czyichś krzyków. Nieświadomie wpadła z deszczu pod rynnę. Przestała nagle być senna i zmęczona. Zmysły jej się wyostrzyły, a siły wróciły. Nie miała zamiaru spać.

Spojrzała na zegarek. Była trzecia trzydzieści. Wystarczyło poczekać do rana, a potem zwinąć się stąd.

Zeszli na dół do salonu. Oskar zapalił światło.

Powinna być już na to przygotowana. Widziała przecież, jak wyglądały pozostałe pomieszczenia, ale szok uderzył w nią z całą mocą. Dobrze, że nie miała już planów, by się położyć. Tak, zdecydowanie trudno byłoby jej się przespać na kanapie. Zawalona wielką stertą brudnych ciuchów, pudełek, papierów i innych na pierwszy rzut oka trudnych do zidentyfikowania rzeczy sprawiała przygnębiające wrażenie. Tuż obok, pod oknem, stały niezliczone pudła, niektóre otwarte, pełen ubrań, i w tym momencie Anka zrozumiała, dlaczego Oskar zawsze ma czyste

ciuchy. Po prostu zamawia. Brudne rzuca byle gdzie i leżą na powiększających się sukcesywnie stertach.

Czuć było wszechobecną pleśń.

Spojrzała na jedno z pudeł i ze zdumieniem odczytała nazwę firmy produkującej talerze. Czy je też Oskar zamawiał? Nie mył? Pudło stało nietknięte, być może więc od wielu tygodni żywił się na mieście albo jadł z pudełek. Ilość jednorazowych opakowań na podłodze, szafkach, parapetach przyprawiała o zawrót głowy. Smród, który teraz w pełni dotarł do jej nozdrzy, wywoływał w niej odruch wymiotny. Spojrzała jeszcze raz na zegarek.

– Wiesz – powiedziała. – Chyba nie opłaca mi się już spać. Usiądę sobie w kuchni i poczekam – zaproponowała.

Rzucił jej tylko jedno spojrzenie i domyśliła się, że w kuchni jest jeszcze gorzej. Rozejrzała się już nieco panicznie wokół, szukając wolnej przestrzeni, nadającej się, żeby chociaż usiąść. Przez salon prowadziła tylko jedna ścieżka pomiędzy pudłami, stertami ubrań i zużytych opakowań. Domyśliła się, że Oskar chodził głównie tamtędy. Okazało się, że to droga do łazienki. Być może od jakiegoś czasu kuchni nie używał już wcale.

Wtedy zaczęła się trząść. Drżeć na całym ciele. Być może to była ta okropna, zbliżająca się czwarta godzina nad ranem, kiedy ludzie przechodzą najgłębsze kryzysy, tracą wiarę w życie. Być może po prostu za dużo szoku na raz jak na jednego człowieka. Na dodatek kobietę z natury delikatną i wrażliwą, która na każdym kroku, w pracy i w życiu prywatnym, ciągle przeżywała trudne emocje.

Albo zwyczajnie zapas jej sił nagle się wyczerpał?

Przerażenie oblewało ją falami od czubka głowy po palce u stóp raz po raz, jakby dobijały się do jej głowy wnioski, których chwilowo nie była w stanie dopuścić.

– Oskar, co się dzieje?! – zawołała. – Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc?

– Pomoc?! – ryknął na nią nagle, przyprawiając o jeszcze większe przerażenie. – Ludzie nigdy nie słyszą człowieka w potrzebie, możesz mówić, ile chcesz. Setki razy prosiłem matkę, żeby od niego odeszła. Dlatego jestem z ciebie bardzo dumny. Przynajmniej ty jedna nie potrzebujesz mojej pomocy. Wiedziałaś, co zrobić, nie trzeba było dawać ci prezentów…

W tym momencie spojrzeli sobie w oczy. Przez kilka zimnych sekund wypełnionych całkowitą pustką i spokojem, jakiego Ania nie pamiętała z żadnego okresu swojego życia, połączyło ich głębokie zrozumienie.

Ona już wiedziała i on też domyślił się, że Anka rozumie. Przez chwilę byli tylko przyjaciółmi znającymi się od dziecka, mieszkającymi w tej samej miejscowości, złamanymi przez życie nieszczęśliwymi ludźmi.

Jednak kilka sekund później ona stała się na powrót panią prokurator, głęboko zaangażowaną w śledztwo, a on winnym, którego szukali tak rozpaczliwie. I cała groza sytuacji dotarła do niej w pełni. Na górze spała dwójka jej dzieci, nie mogła więc wybiec natychmiast z okrzykiem „pomocy!” i uciekać w dowolnie wybranym kierunku, licząc na to, że wyćwiczone ciało pomoże jej uniknąć niebezpieczeństwa.

On stał po drugiej stronie ze świadomością, że ma oto przed sobą jedyną osobę, która domyśliła się prawdy. Pierwszą i zapewne ostatnią.

Jego dom stał się dla niej tropem.

Ale to nie problem – pomyślał szybko, przyzwyczajony do szukania rozwiązań. – Wystarczy posprzątać, zgarnąć największą ilość śmieci, wywieźć, a potem zamówić sprzątaczkę, żeby dopełniła reszty. Nikt się nie zdziwi, że trochę zaniedbał te

sprawy. Byle tylko nikt nie zobaczył całości tej katastrofy. W końcu zostawiła go żona. Sporo pracował, ludzie go lubili, litowali się nad nim.

Zatrze tropy bez problemu. A uciekać powinien zdecydowanie szybciej, niż zaplanował. Znowu popełnił błąd. Był środek nocy, nie spodziewał się telefonu z taką prośbą. Zareagował odruchowo i ściągnął pod swój dach najmniej odpowiednią osobę.

Otworzył się przed nią za mocno. Od dzieciństwa nie popełniał tego błędu, wiedział bowiem, że zawsze, kiedy prosi o pomoc, spotyka się z odrzuceniem. Ale to naturalna ludzka potrzeba i wyjdzie nawet z najbardziej opanowanego człowieka. I oczywiście natychmiast przyniosła mu klęskę.

Miał tylko jeden wybór. Wiedział, że Anka nie pójdzie na żadne kompromisy.

Jeśli zginie, nikt nie skojarzy faktów. Po prostu kolejna ofiara szalonego seryjnego mordercy, którego nigdy nikt nie znajdzie.

Ale to cholernie trudne. Nigdy nie podniósłby ręki na niewinną osobę.

Nie było na tym świecie żadnej kobiety, która wywoływała w nim tak głębokie współczucie jak Ania. Wszystkich innych ratował, kierując się żelazną logiką, układając ich bliskich na liście osób najbardziej potrzebujących pomocy. Ani Malik jednak współczuł szczerze i prawdziwie. A teraz jeszcze podziwiał za to, że sobie poradziła. Miała odwagę odejść, zadzwonić do znajomych, poprosić o nocleg w środku nocy, zabrać na ręce swoje dzieci i wyjść z tego okropnego domu.

Wszystko to, czego nigdy nie zrobiła jego matka. Zastraszona doskonałym wizerunkiem męża, ludzkimi językami i tym, co by z niej zrobiono, gdyby się zwierzyła, jak naprawdę wygląda jej życie. Nigdy nie miała odwagi powiedzieć: „Żyjemy strasznie, boimy się, szukamy dachu nad głową”. Mieszkała w tym pięknym

domu, dbała o niego i codziennie wkładała wiele wysiłków, by pozory trwały.

Może właśnie dlatego, że te kobiety nagle połączyły mu się w jedną postać, stracił czujność. Odezwał się na temat prezentu, słowa zupełnie neutralnego, wręcz odczytywanego przez większość ludzi jako pozytywne, ale w przypadku tej zbrodni słowa klucza, otwierającego drzwi do rozwiązania zagadki.

– Nie rób tego. – Ania stała naprzeciwko niego. Trzęsła się, ale podziwiał jej opanowanie. – Ja przecież nikomu nie powiem. Wiesz, jak to jest z dziećmi, które całe życie noszą tajemnice. Mój ojciec też był okropny. Pił, awanturował się, regularnie gwałcił moją mamę, a mnie nie wolno było nic powiedzieć.

Milczał. Zaciskał dłonie i chłonął całym sobą każde jej słowo.

– Ja cię bardzo dobrze rozumiem – mówiła dalej. – Poza tym nie mam przecież żadnych dowodów. Świetnie zacierasz ślady i działasz w dobrej intencji, naprawdę.

Zaskoczył ją. Spodziewała się teraz wszystkiego. Ataku, ucieczki, krzyku. Ale Oskar po prostu usiadł na wielkiej hałdzie śmieci i się rozpłakał. Wydostał się z niego ten wielki, spazmatyczny szloch. Pewnie gromadzony latami.

Ania zyskała kilka sekund, by stanąć w lepszym miejscu. Niedaleko kominka. Znajdowały się tam mocne żeliwne przyrządy, których w razie czego można było użyć w obronie własnej. Była przerażona, najbardziej faktem, że przyprowadziła tu dzieci. Gorzej chyba nie dało się trafić.

Włączyła w kieszeni dyktafon. Zawsze miała go przy sobie. Podobnie jak paralizator.

– Usiądź – powiedziała i tą wąską ścieżką podprowadziła Oskara do kanapy.

Złapała z obrzydzeniem stertę wstrętnych, brudnych, zapleśniałych ciuchów, rzuciła je dalej i posadziła mężczyznę w tej

szparze. Łkał rozpaczliwie.

– Zrobię ci herbaty. Nie przejmuj się, dam sobie radę.

– Nie! – krzyknął. – Nie wchodź tam!

Wystraszyła się, że może zobaczyć coś strasznego, kolejne zwłoki. Przypomniało jej się, że przecież w torebce ma butelkę wody. Wyciągnęła ją. Piła z niej wcześniej, ale w tym otoczeniu wszelkie zasady higieny nie miały przecież żadnego znaczenia. Podała mu, a on zaczął z ulgą pić.

Wykorzystała ten czas, by znów włożyć rękę do torebki i wysłać zawiadomienie do policji. Poprosić, by przyjechali, bez sygnału, dyskretnie pod dom Oskara. Człowieka, którego nikt nie podejrzewał.

– Wiesz – powiedziała. – Rozumiem, jakie miałeś intencje, ale to niczego nie zmieni. Nie możesz przecież wymordować połowy świata, a ludzie po prostu muszą nauczyć się bronić sami. Żyć na własny rachunek, stawiać granice…

– Nie mają szans! – zawołał. – To jedyne rozwiązanie.

– Trzeba pomagać im inaczej – zaczęła go wciągać w rozmowę, żeby zyskać trochę czasu. Policja nie potrzebowała wiele, by się tutaj dostać. Oskar mieszkał w centrum.

– Widzisz – powiedziała. – Olga Maszkowska po śmierci męża i tak nie zmieniła swojego życia. Nadal gra tylko w miasteczku, bo po prostu boi się wielkich scen. Nie wiesz, może za pół roku wejdzie w związek z takim samym toksycznym człowiekiem, bo do jej głowy nie dotarł żaden wniosek i niczego nie zrozumiała.

Skrzywił się i ścisnął pustą już butelkę wody. Anka drgnęła, słysząc ten upiorny trzask. Wiedziała, że po tym wszystkim prędko nie wypije wody z plastiku. Nie odezwał się i bała się go zostawić z własnymi myślami na dłużej. Odruchowo spojrzała w okno. Ulica wciąż pusta. Żadnego radiowozu. Na co oni czekają?

– A dzieci pani Bronisławy? – zapytała nieco prowokacyjnie. – Też wcale nie potrafią stawiać granic. Nie mają odwagi powiedzieć, co naprawdę myślą. Latami pozwalały sobą manipulować. I być może nic się nie zmieni. Teraz najsilniejszy z nich zajmie jej miejsce. Będzie terroryzować pozostałych.

– Nie! – krzyknął Oskar. Dał się jednak wciągnąć. – Ja tam bywałem jako lekarz. Widziałem, jak ona ich trzymała w garści. Taka niby katoliczka, a z nikim się nie liczyła. Sprawdź, to się przekonasz. Jej syn ma wniosek rozwodowy złożony w sądzie, choć nawet sprytny Makarski do tego nie dotarł. Przez matkę się rozstają! Wiem, byłem świadkiem wielu okropnych rzeczy, które miała na sumieniu ta stara wiedźma – dodał z nienawiścią w głosie.

Wyraźnie sklejały mu się w mózgu różne osoby. Ojciec, jego matka, pacjenci. Ból ściągnął jego twarz.

Ania chciała mu współczuć. Pewnie łatwo mu było zrozumieć człowieka, który przechodzi przez takie samo cierpienie, ale to przecież nie usprawiedliwiało zbrodni. Stała cały czas i okropnie bolały ją nogi. Dziwne, że poczuła to w chwili, kiedy zagrożone było jej życie. Miała wrażenie, że jeśli za chwilę nie usiądzie, zemdleje. Tylko że naprawdę nie było gdzie usiąść.

– Nie wiem, czy to im pomoże – powiedziała nieco znużonym głosem. Starała się nie dać po sobie poznać, w jak słabej jest formie, ale to stawało się z każdą minutą coraz trudniejsze. – Może są uzależnieni od stresu, tak bywa czasem, albo od tego, że ktoś za nich decyduje i bierze odpowiedzialność. Pozwolili jej na to wszystko.

Oskar zdecydowanie nie godził się na taką logikę. W jego głowie był wyraźny podział. Ofiary i kaci bez żadnych odcieni ani współodpowiedzialności.

– A syn Wiktora?! – zawołała Ania. – Zawsze był słaby i oczywiście teraz będzie mu trochę łatwiej, ale czy uda mu się zbudować lepsze życie po takim wstrząsającym doświadczeniu jak morderstwo ojca? Narzeczona wstrzymała wszystkie przygotowania. Być może do ślubu nigdy nie dojdzie. Nie wiadomo, ile w tej miłości było podziwu dla Artura, a ile dla jego ojca i pozycji, którą zajmował. Teraz wszystko padło.

– Co miałem zrobić?! – krzyknął na nią. – Patrzeć, jak inni cierpią? Jak przechodzą przez to wszystko co ja i nikt im nie udziela pomocy? Byłem w Walewicach w prawie każdym domu. Wiele razy. Napatrzyłem się. Wiem o tych ludziach wszystko.

– Mogłeś zrobić to inaczej. – Teraz to ona dała się wciągnąć w dyskusję. – Stanąć z Wiktorem do konfrontacji, porozmawiać z nim o synu, zaproponować dziecku terapię, przeprowadzkę, pracę daleko stąd, cokolwiek.

Ale łatwiej wbić nóż w plecy – pomyślała, nie powiedziała jednak tego głośno.

– Wybrałem najlepszą metodę – odparł twardo. – Gdyby ktoś kiedyś zamordował mojego ojca, uwierz mi, byłbym wdzięczny.

Patrzył na nią zimnym wzrokiem człowiek, którego wnętrze było puste, pozbawione uczuć. Aż zadrżała i się zachwiała. Było jej już wszystko jedno, usiadła na stercie brudnych, cuchnących śmieci. Bardzo się bała. Miała przed sobą naprawdę niebezpiecznego człowieka. Zrozumiała, że zabito w nim wszystko, co dobre. Dzień po dniu pogarda, przemoc, brak miłości zrobiły swoje.

I teraz w jakimś tragicznie logicznym wnioskowaniu podjął takie drastyczne decyzje. Chciała mu współczuć. Ale z drugiej strony wiedziała, że siedzi przed nią prawdziwy potwór, zdolny do wszystkiego.

Obliczała w myślach, ile jeszcze pozostało jej minut. Wokół panowała całkowita cisza. Świadczyło to o tym, że policja jeszcze

nie zareagowała. Wielokroć w swoim życiu żałowała, że wybrała zawód prawnika i że przyjęła funkcję prokuratora, ale teraz się cieszyła. Nie mogli zlekceważyć jej polecenia, a domyślała się, że gdyby je wysłała jako osoba prywatna, być może ktoś by pomyślał, że zwariowała.

Aresztować doktora Lenartowicza? To jakieś szaleństwo.

Proszę, pospieszcie się – błagała w myślach.

Wszystko mogło się przecież wydarzyć. A co, jeśli wcale nie odczytali jej wiadomości?

Dyktafon cały czas nagrywał. Miała już sporo materiału dowodowego. Wiedziała, że w czasie przesłuchania Oskar by się tak nie otworzył. Z pewnością pojawi się jakiś adwokat, może nawet świetny. Stary Lenartowicz zostawił sporo kasy.

Nie próbowała przekonywać Oskara, jak bardzo źle postąpił. Zdawała sobie bowiem sprawę, że osoby takie jak on wymagałyby lat pracy ze specjalistą. Ale też nie chciała, by śledczy musieli długo zmuszać go do powiedzenia prawdy. Tkwił na razie w swoim poczuciu słuszności, pewnie więc przyzna się do wszystkiego.

Na razie siedział spokojnie. Milczał. Ta rozmowa wyraźnie go wyczerpała. Znów wyglądał jak dobrze jej znany doktor Oskar. Niebieskie oczy, jasne włosy, miły wyraz twarzy. Ania bardzo się bała. Nie wiedziała, kiedy pojawi się inna twarz tego człowieka. Już ją znała. Pełna gniewu, groźna, pozbawiona skrupułów, ten drugi mieszkający w nim mężczyzna zdolny do strasznych rzeczy. Miała świadomość, że jej życie jest zagrożone, podobnie jak bezpieczeństwo dzieci.

Sekundy upływały boleśnie powoli i czuła, jak jej siły psychiczne się kurczą. Czekanie to było coś, co zawsze stanowiło dla niej ogromną trudność. Zawsze się zastanawiała dlaczego. Teraz w tej najmniej odpowiedniej chwili jej się to skojarzyło. Czym było czekanie? Zawsze jakąś niebezpieczną czynnością.

Czekanie w nocy na pijanego ojca. Jej pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, kiedy leżała przerażona, przytulając się do ściany, też o trzeciej nad ranem, i martwiła się o niego. Choć był dla nich straszny, to ta mała pięcioletnia dziewczynka drżała o jego bezpieczeństwo. O to, czy sobie nie zrobi krzywdy i nie spowoduje wypadku samochodowego. A może złapie go policja? Co zrobi, kiedy przyjdzie do domu? Rozwali szafkę w kuchni? Wybije okno? Uderzy kogoś? To było pierwsze czekanie w jej życiu.

A potem czekanie na męża, aż się zmieni, aż coś zrozumie, aż przyjdzie, aż obieca, że zajmie się dziećmi, aż dotrzyma słowa. Niekończące się, koszmarne czekanie, które zawsze kończyło się rozczarowaniem.

Strach, który teraz odczuwała, był tak wielki, że nie umiała sobie z nim poradzić.

Oskar zaczynał się budzić. Dał się wciągnąć na moment w rozmowę pełną pozornego zrozumienia, bo jest to coś, czego potrzebuje każdy. Nawet morderca. Wysłuchania, przyjęcia jego punktu widzenia, tej racji, za którą niektórzy gotowi są oddać życie. Ania wiedziała, że to nie potrwa długo. Oskar zaraz wróci do rzeczywistości. Przypomni sobie, kim ona jest i jakie niesie ze sobą zagrożenie. A ona była po prostu tylko człowiekiem i miała świadomość, że jej siły się kończą. Odnosiła wrażenie, że za moment zacznie krzyczeć, a to spowoduje jeszcze większą katastrofę.

Dlaczego ta policja nie przyjeżdża? Czemu tak długo ich nie ma? Nic dziwnego, że przestępcy wciąż są na wolności, skoro ludzie, którzy ich tropią, narażeni są na tak ogromne niebezpieczeństwo.

Oskar nagle wstał. Wyprostował się. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że jest taki duży. Jego ojciec, owszem, szczycił się postawną sylwetką i uchodził za najprzystojniejszego mężczyznę

w mieście. Oskar być może przez to, że zawsze był taki dobry i miły, sprawiał wrażenie mniejszego, bardziej przyjaznego.

Teraz jednak, gdy jego oczy z każdą sekundą wypełniały się coraz większą ilością gniewu i agresji, zmieniał się, stawał się jakby większy. Ania była przerażona. Widziała takie nagłe przemiany nie tylko w filmach Marvela. To nie jest wyłącznie domena fikcji. Ludzie zmieniają swoją postać pod wpływem emocji. W prawdziwym życiu też tak się dzieje i chociaż nie pojawia się kostium, skrzydła ani maska na twarzy, to przeobrażenie można dojrzeć gołym okiem.

Ania ćwiczyła sztuki walki. Z całą pewnością nie była łatwym przeciwnikiem, ale siła gniewu, zła, która skumulowała się na skutek bardzo długo doznawanej krzywdy, była przeogromna. Poza tym ten człowiek walczył o życie, a to dodaje niektórym kosmicznych sił. Matki ratujące swoje dzieci w czasie wypadków samochodowych w sytuacji silnego stresu potrafią podnieść ciężar, jakiego normalnie człowiek nie jest w stanie udźwignąć.

Osoby przechodzące przez ogień w czasie pożaru i nieczujące bólu, różnego rodzaju magiczne zjawiska trudne do wyjaśnienia, kiedy poziom stresu spada i wszyscy są już bezpieczni. Niestety siły te funkcjonowały też, kiedy działo się coś złego. Alkoholicy szarpiący się z trzy razy silniejszymi przeciwnikami i wygrywający starcie, agresorzy niesieni siłą gniewu, zdolni do czynów, o jakie nikt by ich nie podejrzewał.

Drżały jej usta. Wiedziała, że on to widzi, i być może ten fakt, że pozwoliła sobie na okazanie tych uczuć, a nawet nie tyle pozwoliła, ile po prostu nie była w stanie ich opanować, sprawił, że dostała kilkanaście dodatkowych sekund szansy, bo Oskar wyraźnie wpatrywał się w jej twarz, rejestrując każdy objaw paniki. Był tak skupiony na jej drżących ustach, spływających bezwiednie po policzkach łzach, trzęsącym się ciele i pełnych

przerażenia oczach, że nawet nie usłyszał bardzo cicho, prawie bezszelestnie otwieranych drzwi. Nie zarejestrował faktu, że ktoś wszedł do środka. A potem na wszystko było już za późno.

– Ręce do góry! – krzyknął Hubert.

Ania odwróciła się gwałtownie. Powinna była zachować spokój, ale to ją przerosło. Też została zaskoczona. Nagle policjanci pojawili się wszędzie. Przeszli przez kuchnię, kilku znalazło się w salonie, widziała ich na tarasie i przez okno.

Oskar nie namyślał się ani chwili. Uznał pewnie, że ucieczka nie ma sensu, i w pierwszym odruchu rzucił się na Ankę. Branie zakładników to niezły pomysł. Czasem przestępcy unikają w ten sposób zasadzki. Bywa, że nawet ratują głowy.

Jednak Oskar zadziałał zbyt późno. Może dlatego, że w jego chorym sercu i umyśle wciąż znajdowały się szufladki z uczuciami życzliwości wobec przyjaciół.

Hubert dopadł go szybciej. Sprawnie obezwładnił i zakuł w kajdanki. Dyszał ciężko. Nikt się tego nie spodziewał. Wszyscy policjanci mieli szok wypisany na twarzach. Nawet ci w kominiarkach patrzyli w taki sposób, że tylko z wyrazu oczu można było odczytać ich emocje.

Doktor Lenartowicz? To się nie mieściło w głowach.

Hubert Górski był blady, wyraźnie zszokowany, a na stopach miał dziwne klapki, chroniące obandażowane stopy.

Kiedy miał już pewność, że obie dłonie Oskara znajdują się za jego plecami, oddał go w ręce Mateusza, następnie Łódzkiego, który wbiegł do pomieszczenia spóźniony zaledwie kilkadziesiąt sekund. Zajął się aresztowanym.

Hubert podszedł do Ani.

– Jak się czujesz? – zapytał. Podał jej dłoń, pomógł wstać. A potem całkiem nieprofesjonalnie przytulił. – Mój Boże! Skąd się tu wzięłaś?

– Potem ci opowiem. Na górze są moje dzieci!

– Byłeś następny! – Oskar odwrócił się w jego stronę. Tak gwałtownie, że omal nie wyrwał się policjantom z rąk. – Następny na liście! – krzyknął.

– Rany! – wyszeptała Ania pobladłymi wargami. Nie miała pojęcia, co teraz robić. Zająć się obowiązkami prokuratora czy matki.

– Prześladowco własnych dzieci! Potworze! – Oskar darł się jak oszalały.

Hubert aż się zachwiał.

– Miałem przyjść do ciebie dzisiaj w nocy. Ona cię uratowała.

Mateusz, nawykły do traktowania Lenartowicza z szacunkiem, poczekał, aż ten skończy. Poza tym jego nieopanowane krzyki były policji na rękę. Podejrzany właśnie publicznie przyznawał się do winy. Zachowywał się jak oszalały.

– Gdyby mój ojciec umarł wcześniej, wszystko potoczyłoby się inaczej! – krzyczał, patrząc głównie na Anię. Jakby tylko jej opinia się teraz liczyła. – On się nad nami znęcał, rozumiesz? Nad moją żoną. To przez niego zabrała dzieci i się wyprowadziła. To dlatego nie wystąpiła o rozwód z orzeczeniem o winie. Tak bardzo się bała podnieść rękę na świętego doktora, którego wszyscy tutaj kochaliście. Szantażował ją.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?! – zawołała znowu Ania. – Przecież byśmy ci pomogli!

– Naprawdę?! – krzyknął. Mateusz, który miał go zamiar wyprowadzić, zatrzymał się w pół kroku. – A czemu ty nie poprosiłaś o pomoc?! – zawołał Oskar. – Przyjechałaś do mnie dopiero dzisiaj. Gdyby nie te dzieci w samochodzie, pewnie bym cię nie wpuścił. Ostatnio słabo śpię. Mózg mi nie działa, jak trzeba. Zadziałałem odruchowo. Ktoś potrzebuje pomocy, to ja zawsze pierwszy. Dopiero jak weszłaś z nimi, uświadomiłem

sobie, co widzisz, jak z przerażeniem patrzysz na mój dom. Taki piękny, kiedyś najładniejszy w okolicy.

– Gdybyśmy wiedzieli… – wyszeptała.

– Może, a może wcale nie – odparł Oskar już nieco spokojniej. Kordon policjantów, który go otaczał, stawał się coraz ciaśniejszy. – Nie wiecie, jak groźny potrafił być mój ojciec – dodał już teraz całkiem cicho. – I co umiał zrobić, kiedy ktoś go zaatakował. Nikt by nie uwierzył, a on straszył, że odbierze mi dzieci.

– Przecież i tak je straciłeś! – wtrącił się Łódzki.

Nikt nie mógł się oprzeć dyskutowaniu na ten temat. Tak wiele mieli pytań.

– No właśnie! – Teraz ten błysk szaleństwa w oczach doktora dostrzegli wszyscy. Czasem cierpienie jest tak wielkie, że pozbawia ludzi rozumu. – Wszystko na darmo! – zawołał. – Wszystko! Chciałem, żeby chociaż innym żyło się lepiej, żeby ten świat był trochę sensowniejszy.

Hubert nagle zrozumiał.

– No tak – powiedział cicho. – Faktycznie wszystko na nic. Jeśli ludzie, których ratujesz, sami nie umieją się obronić, w ten sposób nie pomożesz. Jedynym twoim ratunkiem było kiedyś wzięcie sprawy w swoje ręce, ocalenie rodziny, postawienie się ojcu. Jedyną osobą, którą potrzebowałeś uratować, byłeś ty sam!

Oskar się szarpnął, a w jego oczach pojawił się gniew. Wkurzył się.

– Tego jednego żałuję! – zawołał. – Że nie zdążyłem dojść do ciebie. Byłeś następny! – powtórzył raz jeszcze.

Hubert znowu poczuł ten przenikliwy dreszcz. Bez wątpienia Oskar mówił prawdę. Makarski miał rację. Tuż obok nich cały czas żył człowiek, z którym przyjaźnili się, rozmawiali, współczuli mu, kompletnie nie wiedząc, kim naprawdę jest. Co to w ogóle za konstrukcja myślowa, żeby mordować dla dobra innych ludzi?!

Hubert chętnie usiadłby na kanapie, choć, jak wszystko wokół niego śmierdzi, jest obrzydliwe, ale ledwo stał. Wciąż bardzo bolały go stopy, ale kiedy dostał wezwanie, stawił się na miejscu jako pierwszy.

– Ja się zmieniłem! – krzyknął jeszcze na koniec za odchodzącym Oskarem, choć przecież jemu i tak było wszystko jedno. – Ty chyba też. – Spojrzał na Anię.

Domyślił się, z jakiego powodu znalazła się nagle w środku nocy u doktora Lenartowicza. Pobiegła właśnie w stronę schodów, u których szczytu stały jej rozbudzone dzieci.

– Co się stało?! – wołały.

– Nic, nic takiego. – Przytuliła je mocno.

– Możesz pojechać do mnie – powiedział jednocześnie Łódzki. – Przenocujemy was.

Mateusz już wyszedł, pewnie zaproponowałby to samo.

– Albo do mnie – odezwał się Hubert. – Mamy duży dom. Nic się nie stanie, jeśli chwilę z nami pomieszkasz.

Z wielką ulgą pomyślał o tym, że może jej to bezpiecznie obiecać. Dogaduje się lepiej ze swoimi bliskimi. Może przewidzieć ich reakcje, a co najważniejsze, liczyć na wsparcie. Aż usiadł, sam nawet nie wiedział na czym i nie chciał w to wnikać.

To prawdziwa ulga mieć bliski kontakt z własną rodziną.

Po domu Lenartowicza kręciła się już ekipa techniczna. Zobaczył, jak wynoszą zabezpieczony czarny plecak, a w osobnych workach rękawiczki, kominiarkę i sztylet.

Odwrócił wzrok.

– Chodź – powiedział do Ani, a potem wziął jej dzieci na ręce. Ledwo stawiał kroki. Nie tylko z powodu obolałych stóp. Kolana też nie bardzo chciały współpracować. – Będzie dobrze – powiedział. – Wszystko się powoli ułoży.

ROZDZIAŁ 27

Następnego dnia Hubert obudził się wcześnie rano. Żona jeszcze spała. Noc wszystkim dała się we znaki. Dzieci jeszcze nie wiedziały, że ich ojciec był następny na liście.

Może nigdy im tego nie powiem – zastanawiał się.

Wstał cicho. Nie chciał nikogo budzić. Słońce dopiero ledwo się unosiło nad horyzontem. Wczoraj, a właściwie dzisiaj jego żona położyła dzieci Anki spać, troszcząc się o nie jak o własne. A potem oboje na ostatnich nogach poszli do sypialni.

Hubert spojrzał na plecy żony i tym razem ogarnęła go przeogromna czułość. Mieli tak wiele. Bezpieczną rodzinę, żyjące, zdrowe dzieci.

Podszedł do niej, pogłaskał. Nie wiedział, czy go poczuła, ale poprawiła się przez sen, ułożyła wygodniej.

Jak mógł być takim bucem, żeby nie widzieć, że to przecież wciąż ta sama kobieta? Jak mógł nie rozumieć, że skoro zostawi ją ze wszystkim samą, to jest przemęczona.

Na wspomnienie tych myśli, które jeszcze nie tak dawno chodziły mu po głowie, czuł przeokropny wstyd.

W miarę jak płynie życie, codzienność stawia coraz większe wyzwania i tak łatwo zapomnieć, co właściwie jest najważniejsze. Jak wiele jeszcze w Walewicach było takich osób, które powinny

powiedzieć stanowcze „nie” krzywdzącym je ludziom? Ile było dzieci, którym należało pomóc bardziej konstruktywnie, niż zrobił to Oskar? Ilu młodszych i starszych Oskarów cierpi w milczeniu i nikt nawet się nie domyśla, przez co przechodzą?

Westchnął ciężko, a potem zszedł na dół zaparzyć sobie kawy. Zamierzał natychmiast jechać na komisariat. Był ciekaw, co tam się dzieje.

Na myśl o Oskarze serce mu się ścisnęło. Dlaczego akurat on? Jak to się mogło stać? Próbował coś ratować, a wszystko stracił. Żony i dzieci z pewnością szybko nie zobaczy.

Westchnął znowu i podrapał się po głowie.

Cholerny świat – pomyślał ze złością. – Może faktycznie należałoby go nieco lepiej urządzić?

Wiedział, że jak poczyta akta, znów wygra oczywiste współczucie wobec ofiar. Ale w tej chwili był wściekły na wszystkich. Sam nie wiedział, na kogo najbardziej. Z tej złości zostawił nietkniętą kawę i pojechał do pracy.

ROZDZIAŁ 28

Ludzi było sporo. Aresztowanie nastąpiło w nocy, ale wieść poszła jeszcze szybciej niż poprzednio. I jeśli to w ogóle możliwe, szok okazał się jeszcze większy. Hubert wysiadł z auta. Ze zdumieniem zauważył Makarskiego stojącego u szczytu schodów.

– Mówiłem, że rozwiążę tę sprawę, i słowa dotrzymałem – puszył się. – Mamy w naszym zespole najlepszych specjalistów. – Głos mu zadrżał, kiedy zobaczył Huberta, jak na obandażowanych nogach kuśtyka w stronę wejścia. Ale zaraz potem przechwalał się dalej: – Aresztowaliśmy też innego podejrzanego – mówił, jakby to miało oznaczać, że w razie czego jest ktoś w rezerwie, gotów, by go oskarżyć.

Bez sensu – pomyślał Hubert, ale teraz już kompletnie nie chciało mu się niczego tłumaczyć. Wzruszył ramionami. W tłumie dostrzegł swoją mamę. Uniosła kciuk. Była z niego dumna. Domyślił się, że w najbliższym czasie będą mieli w domu sporo kompotów. Wcale się tym nie przejął, lecz uśmiechnął dyskretnie.

Wszedł do środka, ledwo stawiając kolejne kroki.

– Kogo Makarski zapuszkował? – zapytał oficera dyżurnego.

Hubert wczoraj pojechał z Anią do domu. Nie miał nawet siły dzwonić do Mateusza i pytać, co się dalej wydarzyło. Przeżył w ciągu jednego dnia więcej niż przez całe życie.

– Franka! – odparł policjant. – Upierał się, że to on. Dobrze, że winny się przyznał, bo pewnie jeszcze by się kłócił.

– No to chłopak dostał za swoje. – Hubert ze zgrozą przypomniał sobie wydarzenia z wieczora.

– Ponoć w całej tej historii chodziło o ciebie?

– Znowu? – zdziwił się Hubert.

– Ano tak – odpowiedziała mu Ania.

Weszła do komisariatu po raz pierwszy w płaskich butach i sukience jego żony. Miała rozpuszczone włosy. Wyglądała jak młoda dziewczyna. Mimo nieprzespanej nocy sprawiała wrażenie wypoczętej. Dawno jej takiej nie widział.

– A co ty tu robisz? – zapytał zaskoczony. – Jak dzieci?

– Śpią. Marta obiecała się nimi zająć. Nie idzie dzisiaj do pracy. Bardzo ci dziękuję – dodała cichym, serdecznym tonem.

Wiedział, że gdyby nie obecność wielu gapiów, pewnie by go uściskała.

– Możesz u nas być, dopóki czegoś nie wymyślisz – powiedział. – Jak długo będzie trzeba. A Grzesiek cię nie szuka? – zapytał jeszcze.

– Nie. – Pokręciła głową. – Pewnie śpi albo czeka, że sama wrócę…

– Hej, będzie dobrze – powiedział ciepło.

– Nie zawsze jest. Oskarowi się na przykład nie udało – dodała gorzko. – Ale ja zrobię wszystko, żeby zbudować dla moich dzieci lepsze życie.

– A co z tym Frankiem? – przypomniał sobie Hubert. – Dlaczego chodziło mu o mnie? – zwrócił się do oficera dyżurnego, który cały czas przysłuchiwał się rozmowie, z fascynacją wpatrując się w panią prokurator.

– Chciał ci przywalić za te momenty, kiedy go łapałeś na gorącym uczynku – odpowiedział, z trudem przenosząc wzrok na

o wiele mniej atrakcyjną twarz Huberta. – Przesłuchiwałeś i pouczałeś… Ponoć… Tak powiedział. – Oficer dyżurny dysponował najświeższymi nowinami. To była pierwsza noc w tym komisariacie, kiedy ani przez chwilę nie chciało mu się spać. I miał nadzieję, że ostatnia. Wcale mu się ten dramat nie podobał.

– Okropne – westchnęła Ania.

A potem ruszyła do środka. Już wiedziała, że domknięcie tej sprawy będzie jej ostatnim służbowym obowiązkiem. Potrzebowała zbudować na nowo nie tylko życie osobiste, lecz także zawodowe. Nienawidziła bycia panią prokurator. Zbrodni, zła, widoku zwłok.

Hubert wszedł do komisariatu jak do drugiego domu. I choć cierpła mu skóra na myśl o przyjacielu w areszcie i wszystkich czynnościach, które trzeba będzie wykonać, by sprawę doprowadzić do końca, czuł się kompetentny, by stawić temu czoła.

Żeby już nigdy więcej ta historia się nie powtórzyła.

SERIA BLIZNY PRZESZŁOŚCI

Stare zbrodnie są jak drzewa, głęboko zapuszczają swoje korzenie

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28

Reklama
Karta redakcyjna

Copyright © by Krystyna Mirek, 2024
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: archiwum autora

Redakcja: Katarzyna Wojtas
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-791-3

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia Sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.